

**Jurij Andruchowycz**

# **Moskowiada**

*Powieść*

*Przekład Przemysław Tomanek*

Niech i tym razem nic u nas nie upolują Hryhorij Czubaj JYlieszkasz na szóstym piętrze, ściany poobwieszałeś Kozakami i działaczami Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej, z okna widzisz moskiewskie dachy, smętne topolowe aleje, wieży telewizyjnej w Ostankino nie widzisz - widać ją z pokoiów, znajdujących się po drugiej stronie korytarza - ale jej bliskość odczuwasz w każdej chwili; promieniuje z niej coś bardzo usypiającego, jakieś wirusy znużenia i apatii, i dlatego rano w żaden sposób nie możesz się obudzić, przechodzisz od jednego widzenia sennego do następnego, jak z kraju do kraju. Śpisz zapamiętałe, najczęściej do jedenastej, póki Uzbek za ścianą nie włączy na cały regulator odurzającej orientalnej muzyki „adin pałka, dwa struna”. Przeklinając bez złości naszą nieszczęsną historię, przyjaźń narodów i układ związkowy dwudziestego drugiego roku, uświadamiasz sobie: dłużej spać nie można. Tym bardziej że Żyd za inną ścianą powrócił już z wyprawy po sklepach, kolejny raz nakupiwszy, powiedzmy, rajstop dla swojej niezliczonej starozakonnej rodziny z Birobidżanu, dla wszystkich jej pokoleń. Teraz w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku zasiądziesz do pisania nowych wierszy w średniowiecznym języku jidisz i rzeczywiście je napisze - całych siedem wierszy przed obiadem, i jeszcze trzy po południu. I wszystkie one zostaną wydrukowane w czasopiśmie „Sowietisch Heimland” jako żywe świadectwo bezustannej troski państwa o kulturę małych narodów.

Żyd za ścianą żywo i dotkliwie przypomina ci, sukinsynu, o tym, że i ty powinienes coś robić - kupować rajtki, pisać wiersze. Ty jednak leżysz w łóżku i po raz kolejny studiujesz portret dyktatora Petruszewycza, a orientalna muzyka za ścianą staje się coraz bardziej namiętna i monotonna, cieknie jak woda w kanałach irygacyjnych, jest to zresztą wielki marsz z wielbładami i słoniami, bawełniane plantacje, blues dla mafii konopnej.

I ty, ukraiński poeta Otto von R, fizycznie wręcz czujesz, jak gryzie cię sumienie, jak wyżera w tobie coraz większe dziury, aż wreszcie kiedyś wyjdiesz na korytarz akademika zupełnie podziurawiony, przezroczysty i nawet żaden Kałmuk nie przywita się z tobą.

Ale nie ma na to rady - twoje wiersze pozostały zapewne w powietrznych przestrzeniach Ukrainy, bo te moskiewskie okazały się zbyt nieprzenikliwe dla ich słowicznych tonów.

Po korytarzu już od dawna łążą tubylcze postacie, ściślej mówiąc, są to pisarze, i to w dodatku pisarze z „najdalszych zakątków” Związku Radzieckiego, tyle że nie przypominają twórców literatury, lecz raczej literackie postacie. I to postacie literatury grafomańskiej, wypich-conej wedle nudnych przepisów wielkiej tradycji realistycznej.

Rozróżniasz ich pisarskie głosy - a każdy z nich, jeśli wierzyć referencjom z miejsc poprzedniej działalności, „obdarzony jest własnym niepowtarzalnym głosem, którego nie

można pomylić z żadnym innym” - otóż te niepowtarzalne korytarzowe głosy mówią coś do siebie, krzyżują się, przecinają, kopulują, donoszą, że kipi czajnik, wyśpiewują „nie-syp-mi-soli-na-ranę”, cytują Wysockiego (Żwanieckiego), zapraszają kogoś na śniadanie, informują, że lafirynda z zaocznych (drugie piętro, pokój 303) nocowała dzisiaj w 727, i temu podobne.

W nierozzerwalnym dialektycznym zespoleniu z głosami pozostają też zapachy - bukiet zsypanego akademika, przetrawionego alkoholu i spermy. Syczą patelnie, brzęczą wiadra, klucze, trzaskają drzwi, bo - nawiasem mówiąc - dziś sobota i nie ma wykładów, więc żadne ścierwo nie zmusi mnie, żebym robił coś, na co nie mam ochoty. I niech wszyscy idą do diabła.

I tak stopniowo wnikasza w rzeczywistość, pamiętając, że gorącej wody może już nie być, że lafirynda z 303 nocowała nie w 727, jak błędnie głoszą na korytarzu, lecz w 729, że któryś z Czeczeńców (a najpewniej wszyscy Czeczeńcy razem wzięci) wyłomotał wczoraj w windzie nauczyciela wuefu Jaszę, że rosyjski poeta Jeżewikin mieszkający w przeciwległym skrzydle wczoraj po raz piąty pojawił się w telewizji i w swym wystąpieniu dziewięciokrotnie użył słowa DUCHOWOŚĆ, osiem razy natomiast wycierał wierzchem dłoni pot ze skacowanego czoła, że warto by zadzwonić do domu, że we wtorek rozpocznie się sesja Rady Najwyższej, że ukraiński przekład Sonetów do Orfeusza jest chyba najwierniejszym jaki znasz, że drugi rok twojej moskiewskiej biografii dobiega końca, a ty do dziś nie zdążyłeś jeszcze odwiedzić baru piwnego na Fonwizina, pamiętając o wszystkich tych absolutnie nie związanych ze sobą rzeczach, jak również o mnóstwie innych rzeczy, w żaden sposób nie związanych z poprzednimi, mimo wszystko wstajesz i - pokręciwszy się chwilę w samych majtkach po pokoju, rzuciwszy okiem na wciąż ten sam beznadziejny pejzaż za oknem z tymi samymi topolami i ciężkimi, mrocznymi, deszczowymi chmurami, zmuszasz się do ćwiczeń fizycznych - raz, dwa - dopóki nie zabolą mięśnie, zupełnie jakby do tego sprowadzało się jedyne uzasadnienie istnienia twojego i całej Moskwy, co więcej - w ogóle twojego istnienia na świecie. Nawiasem mówiąc, dosyć marnego istnienia, które Ten Ktoś w Górze mógłby zlekceważyć, gdyby nie tych kilka udanych wersów w paru w zasadzie nieudanych wierszach, co i tak, rzecz jasna, jest niczym wobec wielkiej sprawy narodowej.

A oto niektóre ze wspomnianych postaci. Ich to głosy tak rozdrażniły cię rano, że teraz możesz się z nimi policzyć, von F. Postaraj się przedstawić je możliwie jak naj-zgry zliwiej, stary.

Proszę bardzo. Dwie kobiety, dwa kwiaty z najgłębszych prowincji Wielkorosji. Dwie poetessy, czy też raczej dwie poetki, nie, przepraszam - dwaj poeci, bo obecnie w ich środowisku do dobrego tonu należy powtarzanie za Cwietajewą - Achmatową (Gorenko?), że słowo „poeta” nie ma rodzaju żeńskiego, w związku z czym ja, stary zboczeniec, oczyma

wyobraźni widzę już cały ten babiniec z dorodnymi penisami i - co najważniejsze - z jądrami w odpowiednim miejscu.

Ale nie w tym rzecz. Oto dwie kobiety z dwu równie zapadłych i równie oddalonych od Moskwy całkiem różnych Rosji. Dwie zazule-łabędzice, z których jedna jest trochę po czterdziestce, a drugiej czterdziestka niebawem stuknie. Któraś z nich jest mężatką, a któraś nie, ale która - zapomniałem.

To ekspozycja. Teraz rozwinięcie. Obie zbyt wiele złożyły w ofierze na tym ołtarzu. Dostać się tutaj każda z nich pragnęła przez połowę życia. Trafić do Moskwy na całe dwa lata! Trafić do Moskwy, gdzie niewątpliwie zostaną w końcu zauważone i wyniesione pod niebiosa! Trafić do Moskwy, aby pozostać w niej na wieki! Być w niej pochowaną (skremowaną!). Trafić do Moskwy, gdzie generałów, sekretarzy, cudzoziemców, patriotów, bioenergoterapeutów od cholery! A co najważniejsze - pełno bananów!

Takie marzenia pojawiają się wraz z dojrzewaniem płciowym. I władczo towarzyszą całemu życiu.

Dla osiągnięcia takiego celu warto było przejść przez wszystkie piekielne kręgi zasranych prowincji. Snuć intrygi. Wydzwaniać. Częstować. Sypiać z impotentami.

Po wielu latach porażek i rozpacz - ziściło się! Stało się! Przyjeżdżają niemal równocześnie, niezależnie od siebie przemierzywszy niezły szmat rosyjskiej równiny. Zawierają znajomość bez cienia obłudy, naprawdę jest im bardzo miło, stały się przecież „siostrami w szczęściu”. Już pierwsza wymiana zdawkowych uwag ujawnia wspólne upodobania: Jesienin, a nie Pasternak, Rubcow, a nie Brodski, młodzieżowe sukienki z poliestru: z przodu i na plecach wymyślny karczek, w szwach karczku z przodu kieszonki z zamkiem błyskawicznym, na plecach wewnętrzny fałdzik, no i pasek jako niezbędne dopełnienie wszystkiego. Jeszcze tego samego dnia, podniecone słodkim przecuciem totalnej zmiany na lepsze, idą razem pod Puszkina - złożyć kwiaty, tak po prostu, od siebie. Bo obie kochają Puszkina, a nawet uważają go za największego rosyjskiego poetę, za swego mistrza. Puszkina w zadumie przygląda się czubkom swoich butów. W dole, pod nim, chłopcy w szarych mundurach i czarnych beretach tłuką jakichś nie strzyżonych masonów, którzy sami siebie nazywają „związkiem demokratycznym”. Oburzone w imieniu Puszkina prowincjuszki jadą zameldować się w akademiku.

Komendant okazuje się być Czuczmekiem, ściślej mówiąc, Dagestańczykiem, ale dość młodym jeszcze Da-gestańczykiem: fizycznie dobrze rozwinięty, ramiona szerokie, pierś bez wątplenia pokryta bujnym włosiem, trzydzieści cztery lata, jakoś udaje mu się do każdej

puścić oko, ale tak by druga tego nie dostrzegła, zęby równe, czarne oczy, Ramazanow Murtaza, a może nawet całkiem na odwrót: Murtazajew Ramazan.

Ramazan (Murtaza?) proponuje pokoje na szóstym piętrze. Każdy może stać się ich mieszkaniem. Jest pokój z oknami na monopolowy, ale jest też z oknami na warzywny. Jest pokój z parkietem z klepki najnowszego typu. Jest też pokój z rozbitym oknem. Jest jeden tuż przy toalecie. Każdy na swój sposób nęcący.

Ale jest wariant, na który obie przystają bez wahania. To tak zwany „segment”, dwa sąsiadujące ze sobą pokoje oddzielone od reszty świata wspólnym przedpokojem. Doskonale] Wprowadzają się i od razu jedna drugą zaprasza na herbatę. I rozmawiają do późnej nocy o Puszkynie, o Jelcynie, recytują z pamięci swoje wiersze, wymieniają komplementy, następnie własne tomiki, wydane w obwodowych wydawnictwach na papierze makulaturowym. I najmniejszej nawet aluzji do miłości lesbijskiej.

Tak oto doszliśmy do kulminacji.

A rozwiązanie? Im dalej, tym silniej dociera do każdej z nich, że popełniły horrendalne głupstwo. „Segment” okazał się pułapką. Pułapką na głupie krowy, które Bóg jeden raczy wiedzieć po jaką cholere przywlokły się do tego bajzlu. Ich największe nieszczęście polega na tym, że nie dorosły do seksu grupowego. To dlatego nie udaje im się jednak uwieść ani generała, ani Dagestańczyka.

I w ten sposób, kontrolując się nawzajem, żyją zupełnie jak mniszki, wściekając się po cichu i zgrzytając zębami, a niegdysiejsza prawdziwa przyjaźń przeradza się w ledwie skrywaną, z każdym dniem bardziej oczywistą, bezdenną i czarną nienawiść.

/-j piątku na sobotę śniło mi się, że jadłem kolację z królem Ukrainy Olekiem Drugim (Dołgorukim-Rurykowiczem). Siedzimy sobie we dwójkę przy artystycznie zastawionym stole w barokowej loggii z błękitnego kamienia, od czasu do czasu dyskretnie pojawiają się służący, przeważnie Hindusi albo Chińczycy, z połączanymi tryzubami na wyłogach fraków, niepostrzeżenie zmieniają półmiski i talerze, potrawy, noże, widelce, szczypce do łamania pancerzy skorupiaków, pincety do wydobywania małży, skalpele do rozcinań zęb i równie niepostrzeżenie, bez zbędnych odgłosów się oddalają. Z loggii roztacza się wspaniały widok: w dole słońce zdaje się osiadać gdzieś na wodach jasnego jeziora, a niedostępne szczyty Alp albo - jak już idziemy na całość - samych Pirenejów wybuchają blaskiem, odbijając ostatnie promienie zachodzącego słońca. My zaś z królem popijamy najrozmaitsze wykwintne wina, koniaki, nalewki oraz starki i gawędzimy sobie o tym i owym.

- Wasza Królewska Miłość - zwracam się do niego z całym szacunkiem - Władco i Rządco Rusi-Ukrainy, Wielki Książę Kijowski i Czernihowski, Królu Halicki i Wołyński,

Hospodarze Pskowski, Przemyski i Koziatyński, Herzogu Dnieprodzierżyński, Perwomajski i Iljiczowski, Wielki Chanie Krymski i Izmailski, Baronie Berdyczowski, Obydwu Bukowin i Besarabii, a także Nowej Askanii i Kachowki Zwierzchniku, Dzikiego Pola i Czarnego Lasu Archiseniorze, Kozaków Dońskich, Berdiańskich i Krzyworożkich Hetmanie i Patronie, Hucułów i Bojków Niezmordowany Owczarzu, Panie Wszego Ludu Ukraińskiego z Tatarami i Pieczyngami włącznie, jak również z Małochochłami i Barszczojadami, ze wszystkimi Mołdawianami i Zaprzedańcami w Ziemi Naszej Będącymi, Wielkiej oraz Małej Słobożańszczyzny, a także Wewnętrznego i Zewnętrznego Tmutorakania Patronie i Pasterzu, potomku przesławnego rodu tysiącletniego, słowem, Monarcho nasz wspaniały i dostojny, Wasza Miłość, czy nie byłoby życzeniem Waszym na wieki zapisać się złotymi zgłoskami w pamięci powszechnej i wszechludzkiej?

- Chciołbyk - powiada Olelko Drugi - jeno bez jakie postempowania?

- A bez takie postempowania - odpowiadam - bez jakie wszytcy króle sławy wiecznej nieprzemijająco i zacnie dostąpili.

- To może bez prowadzone wojny? - zapytuje Olelko, ściągając swoje tysiącletnie brwi i rasowe czoło marszcząc.

- Bez wojny to i dureń może, Panie mój, i prezydent potrafi.

- Tedy bez prawa mondre i ułożenia rozropne, przywileje i deklaracje sprawiedliwe - zgaduje Olelko.

- I to do dupy, Wasza Miłość, dla takich rzeczy to szaleńcy istnieją albo posłowie w parlamencie - dalej staram się go zaintrygować.

- To już chyba bez wielość szkalną małżonek i nałożnic, bez pijaństwa huczne i bijatyki zadziorne, bez rozkosze i obżarstwa nieumiarkowane oraz insze niepoważne niepotrzebności?

- I to już było, Wielki Książę, komuchów i tak nie przewyższycie - morduję go jak mogę.

- No to nie menczże mie i powiadej, bez jakie tedy postempowania? - trochę prosi, a trochę już nakazuje Olelko Drugi.

Służący Malaj uprzęta ostatnie talerze, wazę z żywymi, jeszcze piszczącymi, nie dojezdzonymi ostrygami, puste butelki po małmazji, imiglikosie i keller-geistrze. Natomiast sługa Etiopczyk przynosi świece w brązowych kandelabrach oraz hebanowe pudełko, po brzegi wypełnione cygarami najlepszych gatunków. Nadchodzi zmierzch. Skądś z alpejskich połonin dolatują aromatyczne zapachy. U stóp loggii szemrze fontanna, a może źródło. Dwójka małych Murzynków prowadzi pod ręce ślepego starca-bandurzystę. My z królem

zapalamy, a bandurzysta, usiadłszy na kamiennym występie obok płaskorzeźby z tańczącym faunem, ledwie słyszalnie przebiera palcami po strunach. Na niebiosach pojawiają się pierwsze gwiazdy.

- To powiadajże, draniu, co żeś chciał mnie na-raić?! - zaczyna kipieć król, rozdrażniony moim znaczącym pykaniem z cygara.

- Bądźcie, Wasza Niepodzielność, cierpliwi i pobłażliwi - powiadam na to. - Starajcie się nawet głównia-nego, nikczemnego robaczka nie obrazić. W niedzielę bądźcie zawsze na mszy świętej, ale i o codziennych modlitwach nie zapominajcie. Darujcie, Panie, biednym majątki swoje, rozdawajcie uśmiechy wdowom i sierotom, bezdomnych szczeniąt nie zabijajcie. Myśli swe kierujcie na rzeczy wielkie i piękne, takie jak na przykład moja poezja. Czytajcie poezje moje, spożywajcie ciało moje, pijcie krew moją. Ufundujcie mi, Wasza Miłość, stypendium, powiedzmy, w markach i wyślijcie mnie w podróż dookoła świata. Po pół roku Najjaśniejszy otrzyma ode mnie taki panegiryk, że ponad wszystkich monarchów Was wyniesie. Minie kolejne pół roku - lud Ukrainy zażąda Waszego powrotu i w wyniku pomyślnie przeprowadzonego referendum wjedziecie do Kijowa białym cadillakiem. Zaprawdę, zaprawdę powiadam Warn: ufundujcie mi stypendium!

Ślepy bandurzysta coś sobie ciągle gra, gada, opowiada. W dole woda w wiecznie zielonych zaroślach mirtu szumi i wzywa w podróż dookoła świata. Gwiazdy na niebiosach robią się coraz większe, są coraz bliższe, można nawet rozróżnić na nich jakieś miasta, baśniowe manza-nillowe lasy, niezwykle pałace, kolumny, wieże. Ich blask obiecuje tak wiele, że chciałoby się wyskoczyć z loggii na łeb na szyję i - jak powiedział poeta - umrzeć choćby troszeczkę.

- Bo nie ma na tym świecie nic tak niepotrzebnego, bezsensownego i komicznego jak dobra poezja, ale równocześnie nie ma na tym świecie nic, co by było tak niezbędne, znaczące i doskonale jak ona właśnie, Wasza Arcy-ukraińskość. Raczcie zważyć, Panie, na historię wszystkich wielkich narodów, a sami przekonacie się, że jest to historia ich poezji. Zważcie również na historię narodów niewielkich. Tych, których jutro już nie będzie. Zważcie i odpowiedzcie mi, proszę: kto komu jest bardziej potrzebny - królowie poetom czy poeci królom? Cóż warci są królowie bez poetów? Czyż nie istnieją z Bożej łaski królowie tylko dlatego i tylko po to, by utrzymywać poetów z Bożej łaski?

Szumia płatany w gęstniejącym mroku, palą się świece nierównym płomieniem, dzwonią klasztory, śpiewają idące dziewczęta. Nieznane wieczorne ptaki, może nawet i nietoperze, latają wokół loggii. Z dalekich gór dolatują słodko-niepokojące wonie.

Król dopija dobrze zmrożonego szampana z kielicha na wysokiej masońskiej nóżce i rzecze - z wolna, mądrze, znacząco:

- A wiesz, jak po hiszpańsku będzie chuj?

- Jak, Wasza Miłość? - pytam bezmiernie zaciekawiony.

- Pinga! - woła król i klaszcze w dłonie. Wówczas dwaj senegalscy drągale chwytają mnie za ramiona i wyrzucają z loggii w dół. Lecąc, przypominam sobie znieca, że prawdziwe jego nazwisko brzmi: „Andegaweński”. Kalecząc sobie mordę o wiecznozielo-ne zarośla, słyszę, jak ślepy bandurzysta z siwym kosmykiem gorzko zaszlochał.

JVrzywiąc się i spluwając, wściekle samego siebie nienawidząc, przypominasz sobie tamten sen, próbując wymęczyć na podłodze dzienną dawkę ćwiczeń siłowych. Jak można tak się sprzedawać! Bezpardonowo, bezczelnie, cynicznie. „Ufundujcie mi, Wasza Suwerenność, stypendium, ufundujcie mi sty...” Cóż za podłe i nędzne lokajstwo ducha, cóż za sprostytuowanie wewnętrzne!

Nareszcie sprawa z mięśniami załatwiona. Teraz pozostaje zebrać niezbędne pod prysznicem manatki i triumfalnie zjechać windą w podziemia akademika, gdzie brygada posiniałych po przebytej odrze sprzątających (Sasza, Sierioza i Arutiun) ma swoją niezawodną kanciapę, nie tyle może do pracy, co do wypoczynku. Ale co oni mają tu do rzeczy?

W korytarzu z daleka machasz ręką do kogoś nieznanego (to znaczy znajomego, ale nie zidentyfikowanego, ponieważ znajduje się na samym końcu przeciwległego skrzydła, dobrych dwieście metrów od ciebie). Nieznajomy odpowiada ci takim samym machnięciem, również ledwie cię rozpoznając. Nastrój się poprawia. Na windę wcale nie trzeba czekać długo - najwyżej pięć minut. Jadąc w dół, oglądasz na ścianach i podłodze rozmaite napisy, rysunki, wydrapane wyznania - dawne, niedawne i całkiem nowe, krew nauczyciela wuefu Jaszy, wyło-motanego wczoraj za to, że ma „wielkom dupę”, albo za coś w tym rodzaju.

Winda to dla mieszkańców akademika szczególna okazja, by sobie zaszaleć, i to w jakiś niezwykły i oryginalny sposób. O tym, że Czeczeńcy lubią niszczyć w niej swoich wrogów, wiadomo wszystkim, z dzielnicowymi włącznie. O tym, że trzech recydywistów, z których jeden jest słuchaczem seminarium poetyckiego, drugi zaś studentem seminarium duchownego, przeleciało w niej młodą zdolną dramatopisarkę z Nowokuzniecka, też wiadomo wszystkim, z wyjątkiem dzielnicowych. Ale o tym, czego dokonał pisarz jakucki Wasia Moczalkin, wiedzą jedynie wtajemniczeni. Wasia Moczalkin mianowicie, twórca i pionier jakuckiej literatury radzieckiej, student czwartego roku i hodowca jeleni honoris causa, schlał się pewnego razu bełtem jak świnia i przekroczył na parterze próg windy.



Nacisnąwszy guzik z numerem odpowiedniego piętra (a Wasi Moczalkinowi, prawdę mówiąc, wisiało, na którym piętrze wysiadzie, albowiem wszędzie przyjmowano go jak brata i kochano), Wasia - wyrażając się górnolotnie - popłynął w górę. Jednak pod wpływem nieodłącznych przy tym zmian kinetycznych nie tyle nie utrzymał się na nogach, co nawet wręcz wywalił się, czy też - jak powiedziała by poeta Jeżewikin - wypierdolił się. Miało to miejsce o dziewiątej wieczorem, a o dziewiątej rano Wasia wciąż jeszcze znajdował się w tejże windzie, jako że wypierdoliwszy się o dziewiątej wieczorem, w tej samej chwili szczęśliwie zasnął i w tym stanie przejeździł w górę-w dół calusieńką noc. Co prawda o pół do pierwszej w nocy nie bardziej trzeźwy niż Wasia białoruski powieściopisarz Jer-mołajczyk usiłował wyciągnąć druha z windy i ułożyć gdzieś po chrześcijańsku, ale próba zakończyła się tym, że Wasia porządnie narzygał na Jermołajczykowy kołnier, i ten, machnąwszy ręką na jakiegokolwiek zasady moralne, powlókł się zanocować u Alki z amputowaną prawą pierśią. I dopiero rano, mniej więcej o pół do dziesiątej, tarmoszeniem udało się wreszcie dobudzić Wasię Moczalkina. Stało się to na parterze, dokładnie tam, gdzie poprzedniego wieczora rozpoczęła się jego baśniowa podróż w pionie. Dochodząc do przytomności po ciężkim śnie hodowcy, Wasia wypełzł jednak z windy i potoczył się witać nowy dzień w barze piwnym na Fonwizina.

Ale oto i ty, Otto von F., jesteś już na parterze. Teraz z windy na lewo i schodami w dół; może i dla ciebie wystarczy gorącej wody w zaplutej i odrapanej łaźni z prysznicami.

W szatni jak zwykle jest ciemno i kiedy starasz się wymacać koło drzwi zamaskowany pajęczyną przełącznik, dostrzegasz, czy też raczej wyczuwasz, że poruszyła się kupa starych szmat w kącie przedsiionka. Kupa rusza się coraz bardziej nerwowo, energiczniej, jakby co najmniej tuzin szczurów z tuneli metra, o których tyle ostatnio pisze się w gazetach, znalazło tam sobie schronienie. Ale skudłona brodata gęba, która wraz z rozbłyskiem światła elektrycznego wychyłała z łachmanów, rozpędza twoje biologiczne strachy i wątpliwości: Iwan Nowakowski, zwany Nowokainem, inna wersja: Wania Kain, prześladowany i upośledzony (to jest w poślad przemieniony] literat, wydawca i kulturolog, kloszard, przez ostatnich piętnaście lat próbuje waletować w akademiku, w tym celu wziął nawet cerkiewny ślub w Marjinej Roszczy z zameldowaną w akademiku epileptyczką Wasylisą (czwarty rok, seminarium wariatów), jednak małżeństwo to nosi wyraźne znamiona fikcyjności, jako że Nowokain przeważnie organizuje sobie nocleg pod prysznicami albo w suszarni. Powiadają, że Wasylisą biła go po głowie lampą biurową. Jeszcze inni powiadają, że nie lampą, lecz lutownicą, i nie po głowie, a wpychała mu ją do tyłka. Tak czy inaczej po ulicach posuwa się

on lekko rozkołysanym krokiem apoplektyka. Przy czym, jak zawsze gadatliwy, cytuje swe własne wiersze i ogłasza wciąż nowe projekty wydawnicze.

- Słysz, kupi zborniczek - wyciąga spod kupy szmat starą onanistyczną dłoń, w której ściska egzemplarz szarej kserokopii - Wielikolepnyje stichi, Nikołaj Pałkin, rup stojat, iz nich dewianosto kopiejek awtoru...

Przyglądasz się poplamionej miękkiej okładce: Sierija „Russkaja idieja”. Osnowana w 19... g. Nikołaj PAŁKIN. Rasplęła kosu bierieza. Nowyje stichi. Izdatielstwo „Trietij Rim”. Na okładce widnieje brzoza, przekreślona gwiazda Dawida i dziarski dwugłowy orzeł, który - jak się zdaje - zaraz wzbije się w powietrze i pofrunie, płosząc okoliczną podniebną faunę z aniołami włącznie potworną nienaturalnością swojego image’u. W czasie kiedy Wania bezustannie o czymś głągołi, to jest cytuje i żartuje, udaje ci się przeczytać pierwszą strofę:

Rossija krowju izoszła... Za czto, skażytie, Boga radi, Tierzajut Russkowo Orla ludy, stierwaczi i bladi?!

Z rosnącym zachwytem przechodzisz do następnej:

Za czto, Pribałtika, skazy, Swiatuju Rus’ tak nienawidisz? Zamń, Eston’1 Litwa, drożył Ty russkij chuj jeszcze uwidisz! Ale nie wiedzieć czemu słowo „chuj” ktoś przekreślił i napisał nad nim słowo „miecz”, potem i ono zostało przekreślone i ktoś nad nim napisał „czołg”. W milczeniu oddajesz poezję Nowokainowi. Idziesz się wykapać, ostrożnie i wysoko podnosząc nogi, przeskakujesz brudne, lodowate kałuże na szczerbatej podłodze łaźni. Nowakowski znów nurkuje pod łachmany, aby tam spać dalej albo też zażywać jakiejś innej rozkoszy, rozkoszy samozaspokojenia na przykład.

Cóż to za nagroda, że przynajmniej tu, w brudnych podziemiach, zanieczyszczonych plwocinami, pomyja-mi, kępkami starych włosów, istnieje gorąca woda, co za drive kompletnie niedostępny umysłem wielu chłopskich i proletariackich pisarzy - myć się przy użyciu mydła, myć zęby! Jakże chciałoby się zostać tu na wieki! Zapomnieć o wszystkim, zamknąć oczy i oddać się wodzie niczym kochance. Większość wierszy stworzyłeś właśnie w gorącej wodzie. Bo to w gorącej wodzie jesteś w stanie być wielkim, dobrym, genialnym i samym sobą jednocześnie. A oni wszyscy niech idą w cholerę.

Za ścianą - w damskiej łaźni - ciągle śmiechy i chichoty. Wrażenie takie, jakby ich tam było ze czterdzieści tysięcy. Czemu one, kiedy się myją, zawsze tak wrzeszczą, przekłete lesby? Ani słowa nie można zrozumieć z tego na wpół ptasiego pisku - jakby dziewczyny podczas kąpieli posługiwały się jakimś innym, im tylko znanym językiem. Tajemniczą mową pradawnych czasów matriarchatu. Przepelnioną pogardliwą wyższością wobec nędznego męskiego pomiotu z jego capimi potrzebami i upodobaniami. To dlatego tak nie lubią, kiedy

jakieś podle nasienie o naturze właściciela niewolników próbuje podglądać bądź też, co gorsza, pakuje się do nich w czasie sakralnych ablucji. Takie rzeczy są surowo karane, jak w okultyzmie karze się podstępna kradzież wiedzy tajemnej. Suzdalski poeta Kostia Sierosztanow, twój kolega z roku, napisał nawet wiersz o tym, jak to rozwścieczone dziewczuchy oblały wrzątkiem jego chłopięcą czuprynkę za to, że podglądał je, gdy chlapały się w wiejskiej łaźni. Niezły wiersz wyszedł, najlepszy z całego tomiku. Wiersz-wspomnienie, wskrzeszenie utraconego czasu. Bardzo to przeżył ten Kostia Sierosztanow.

Ale oto głosy za ścianą stopniowo milkną, a wraz z nimi cichnie szum wody. Prawdopodobnie rytuał dobiegł końca, magiczny seans zakończono i pora zmienić język. Ktoś tam jednak musiał zostać, bo mimo wszystko słyszysz, jak cieknie woda z jednego co najmniej kranu.

A potem rozlega się śpiew. Samotny głos kobiecy i więcej nic. Jakaś niezwykła pieśń, nie z tych, które, jak to bywa, podśpiewują sobie dziewczyny w przyływie młodych uczuć i wiośnianych marzeń. Nie, to coś zupełnie innego, to nawet nie pieśń, a jakieś niesamowite upajanie się swoim głosem, tym najdoskonalszym spośród wszystkich instrumentów muzycznych (nieźle powiedziane, von R, ale to Lorca). Pod wpływem tego wszystkiego - gorącej wody, muzyki i własnej wielkości - pogrążasz się w nadnaturalnym odrętwieniu, głos zza ściany dręczy cię świetlistą męką, niczym filipiński masaż, każdą najmniejszą nawet komórkę; właściwie dawno już pora wychodzić, ale ty nie możesz, nie możesz! A cóż to za syrena? Zalepić uszy mydłem, czy co? Ale im dłużej to trwa, tym mocniej czujesz, że cię usidlono. Głos jest wciąż obok, nie daje spokoju, rani i wabi. W końcu uświadamiasz sobie, że nie ma wyjścia.

Obok góry łachmanów, pod którą gmera się przygnieciony życiowym „niefartem” Wania Kain, wyslizgujesz się do szatni, woda ścieka z ciebie strumieniami, a serce dokłada wszelkich starań, aby wyskoczyć przez gardło. Owijasz się przywiezionym z domu wielkim, włóchatym ręcznikiem w egzotyczne wzory. O lambada, madonna, cetcalcoatl, po-pocatepetl! Komuś innemu nie uwierzyłbyś...

Uchylasz ostrożnie drzwi do podziemnego korytarza (a ten głos, głos słyhać nawet tutaj, cóż za złuda-ułuda-uda!). Półmrok, wokół żywego ducha. Dlatego w prawo! - rozkazuje z pudełka czaszki, a raczej gdzieś z okolic pachwiny, twój osobisty feldmarszałek. W prawo i skokami, nie więcej niż dziesięć skoków korytarzem. Pozostawiasz za sobą mokre ślady. Kanciapa sprzątających zamknięta na cztery spusty - no pewnie, dzisiaj sobota, jakież to ciężki debil siedziałby tutaj?

A oto i następne drzwi, za nimi jaskinia, w której żyje ten uwięziony przez smoka głos. Wchodzisz zdecydowanie, jak na egzekucję. Dalej już mało co rejestrujesz, chyba tylko udaje ci się zdziwić, że damska łaźnia urządzona jest tak samo jak męska, tak jakby kobiety należały do tego samego biologicznego gatunku. Już w szatni usiłujesz wyplątać się z ręcznika, ale w żaden sposób nie możesz go z siebie zrzucić. Bo uparcie zwisa na twoim kołku, płącze się między nogami, w tym momencie stanowisz dla niego idealny wieszak, ale wreszcie uwalniasz się i przeskakujesz przez pasiastą selwę, która opadła na betonową podłogę.

Ona stoi pod prysznicem plecami do ciebie, mydlana woda spływa po niej pachnącymi strugami, jej skóra jest złotawo-czekoladowo-jedwabista, a nogi jak młode tropikalne drzewa. Podchodzisz najbliżej jak to możliwe, kładziesz jej ręce na ramiona. Śpiew się urywa.

W zamian słyhać leciutki zduszony okrzyk, coś niby wydech. Szkoda, żeś zamilkła, ptaszyno. Bo gdybyś śpiewała dalej, urządzilibyśmy sobie tutaj coś całkiem innego, coś nieludzkiego, niebiańskiego i niesamowitego. Szkoda, że zamilkłaś. Trzeba cię będzie za to zjeść.

Polewasz ją z jakichś flakonów - szamponem, mydłem w płynie; zraszasz ją i siebie zawartością jaskrawych, aromatycznych, południowych flakonów, namydłasz ją całą i choć strugi wody natychmiast splukują z niej wszystkie twoje wysiłki, ona staje się śliska i przestaje cokolwiek widzieć. Wtedy zanurzasz głowę w jej praczar-ne włosy, a ona, ani razu nie spojrzawszy za siebie, powoli, ale posłusznie pochyla się w przód. I jest to zaproszenie. Albo wyzwanie. Czarna orchidea wpuszcza cię. Wewnętrzne błyskawice zdają się rozsadzać ci czaszkę, bo właśnie zacząłeś. Szkoda, że przestała śpiewać.

I w tych piekielno-gorących strumieniach, pod tym odwiecznym wodospadem razem wykołusujecie jakiś afrykański rytm. Nie czujesz oporu, ale zachęty też nie czujesz - oddaje się tak, jak oddają się niewolnice, chociaż nie możesz wiedzieć, jak oddają się niewolnice, może właśnie z oporami albo z zachętą. Ale już po chwili słyszysz, że wrócił jej głos. Nie ten, którym śpiewała, ale jednak żywy, tajemniczy. Może nawet jeszcze gorętszy. Jest w nim coś błagalnego, wręcz modlitewnego. I właśnie ten głos, jego pojawienie się, drgające w nim żądanie, sprawia, że przestajesz panować nad sobą i już nie potrafisz wstrzymać się, odwlekać. Ta orchidea cię zniszczy, roztopi, rozgniecie...

Ale ona robi coś tak niezwykłego, wykonuje jakiś wewnętrzny, niewyczuwalny ruch, zmienia coś tam, w sobie; zna wszelkie odwieczne sztuczki, zdolna dziewczynka, pilnie się uczyła, finezyjne kąpalki miłości na specjalnej niedostępnej wyspie przygotowywały ją dla czarnoskórego długonogiego księcia, kochali się na liściach palmowych, i to coś jest dla

ciebie szansą wytrwania. Ale głos, ten głosi Chyba jednak wykończy cię, nie pozwoli przebiec tej sawanny do końca, jakby należało. Wnika w ciebie jak wodny opar, w twoją skórę, o wiele jaśniejszą środkowoeuropejską skórę. I teraz - ostatnia deska ratunku - zacisnąć oczy, bo i dla oczu za dużo jest tego wszystkiego: i gwiazd pod czaszką, błyskawic i tej czekolady, i tych gorących potoków prosto z nieba. Jednak nawet pod zamkniętymi powiekami to wciąż ożywa, pulsuje. Drżysz jak wulkan i słyszac własny głos, pojmujesz: to już. Szkoda, żeś zaczęła śpiewać.

...W szatni ponownie owijasz się ręcznikiem. Zlizujesz z warg resztki czekolady. Wyglądasz na korytarz niemal pewnie, chociaż w duchu konstatujesz ze zdziwieniem, jak łatwo i bezkompromisowo wszystko wróciło na swoje miejsce. Kuląc się pod ścianą, kilkoma skokami wracasz do męskiej strefy wszechświata. Skaczesz jednak nie tylko przez ostrożność. Raczej jak myśliwy, który zwycięską strzałą powalił właśnie złotą łanię.

Po raz drugi witasz się z Nowokainem, który znów rozkuśdłany wygrzebuje się ze swojego legowiska i proponuje „stichi”. Wieszasz ręcznik na kołku. W łaźni pojawiło się tymczasem kilku Mongołów. Parskają jak konie, zmywając z żylastych ramion pył Wielkiego Stepu. Galopowali cały tydzień, wieźli hramotę od chana, młodzi zębaci jeźdźcy. Krzywonodzy łucznicy.

Jeszcze raz namydlasz całe ciało. I wtedy słyszysz, jak tam, za ścianą, ona znowu zaczyna śpiewać...

Rozczarowanie na wieki zamieszkało w tych ścianach, które zresztą nigdy nie pokryją się tablicami pamiątkowymi. Ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że jest to dom, w którym pękają łby. Tutejsze tematy są tak jednorodne i powtarzalne, że najpewniej musi tu chodzić o mit. Albo o schemat z dwoma, trzema wariantami. Oto jeden z nich.

Siedemnastoletni liryczny młodzieniec, nazwijmy go Sława, pisze rymowane strofy, które uwiecznia w brulionie i przechowuje w tajnej skrytce pod rezerwuarem w ubikacji. Tytuły wierszy to zazwyczaj romantyczne imiona kobiece: „Aelita”, „Consuela”, „Angotea”, „Isado-ra”, „Lolita”. Niewątpliwie kryje się za nimi jedna i ta sama istota, przeważnie Luscia albo Niusia, dziewczyna z tej samej klasy, która nawet nie domyśla się, że jest na świecie coś takiego jak sublimacja.

Przychodzi dzień, kiedy młodzieniec po kryjomu wysyła strofy z kobiecymi imionami, owe duchowe polucje, na konkurs do moskiewskiego instytutu. Z początkiem wiosny na obliczu Sławy pojawiają się pryszczki i piegi, i wtedy właśnie przychodzi odpowiedź z Moskwy. Mdlejąc z niecierpliwości, młodzian rozrywa kopertę i dowiadyuje się, że jego udział w konkursie został uwieńczony sukcesem. W podpisie figuruje słynne we

wszystkich republikach nazwisko, które zna ze szkolnych wypisów, co sprawia, że nasz liryk wprost baranieje ze szczęścia.

Latem porzuca swój zawszony, zapyziały, zapuszczony Partyzańsk czy Muchomorsk, miasto chemików, i wyrusza na podbój Moskwy. Zdjęcie Lusi-Niusi przechowuje w najbardziej nieoczekiwanych miejscach.

Oczywiście udaje mu się dostać do instytutu. Ale na tym też kończy się cała poezja. A dalej to już nawet nie proza. Wiersze poszły precz, bo tak zechciał Ten, Kto je dyktuje. Miłość do Lusi wyczerpała się, ponieważ Sława pojął, że ona także chodzi do ubikacji. Na wykładach i seminariach nawet muchy zdychają z nudów. Do zwiedzania rozmaitych żydowskich teatrów albo czytania zaśli-nionego Mereżkowskiego po prostu nie został stworzony. Ileż można podziwiać cerkiew Wasilija Błogosławionego czy mauzoleum Lenina, a poza tym, co tam można podziwiać? Sława zdobywa za to coś innego: surową jak macocha, z akademików wyniesioną lekcję rzeczywistości. Tygodniami nie opuszcza swojego piętra, a jeśli już, to tylko po to, żeby przywlec dla kumpli bimbru od Wietnamczyków albo z pobliskiej bazy miejskich taksówek. Śpi czasem pod zsysem, czasem z głową w umywalce i nogami na północ. Alka z amputowaną prawą piersią robi z niego mężczyznę, w wyniku czego on na długo traci wszelką ochotę. Natomiast Włodzimierz z Daugawpil-su, weteran ruchu młodzieżowego i pielgrzymek na Wschód, rozbudza w nim bezsenny pociąg do haszyszu. Na trzecim roku liryczny Sława przypomina już rozdeptanego przez los pederastę o obolałym ciele i wyczerpanej duszy. Czasem kradnie jakiś ochłap z cudzego gara we wspólnej kuchni. Biję od niego trwały odór moczu i najtańszego tytoniu. Do piątego roku stara się jeszcze coś z czymś zrymować, ale niezmiennie wychodzi z tego jakieś gówno. Zawsze zresztą było gównem, jak w tym kawale o Czuczcy. Nadchodzi dzień, kiedy gotów jest podciąć sobie żyły. No ale to nic, nic.

Istnieje też wariant „narodowych” (to znaczy niero-syjskich) poetów. Jakimś cudem te kaukaskie orły stadami dostają się na uczelnię i całe te stada przechodzą przez wszystkie pięć lat studiów. Co tak naprawdę robią, nie wie nikt, ale gdyby na przykład komuś przyszło do głowy, że mogą pisać wiersze, ośmieszyłby się na amen. Oni kupują: magnetofony, skórzane kurtki, dziewczyny, pistolety, granaty, gaz paraliżujący, płaszcze, budynki, dzinsy, ziemię, koniaki; mercedesy od czasu do czasu przerzucają do domu, za wysokogórskie grzbiety, po Wo-jenno-Gruzińskiej Drodze. Urządzają pijatyki, nigdy nie tracąc głowy, ale od maleńkich radości też nie stronią, toteż zmuszają dwumetrowe dziwki z Teatru Mód pod kierownictwem Zajcewa do stawania na uszach. We wszystkim, co robią, pozostają prawdziwymi dzygitami z dziada pradziada, przestrzegającymi kodeksu honorowego, wiernymi odwiecznej etyce

aksakałów i szarijatu. Jeżeli na przykład w ośmiu chłopa spuszczają w windzie łomot jednemu o jasnych włosach, to nigdy bez powodu, ale wyłącznie z uwagi na dżihad i wyższą sprawiedliwość. Jednak i nad nimi unosi się jęk rozczarowania, bo przecież wszystkich jasnowłosych nie wyłomoczesz, wszystkich mercedesów nie wykupisz i wszystkich modelek nie przelecisz. Toteż zielona muzułmańska tęsknota spowija ich zmęczone i pokryte bliznami czoła.

Takie właśnie jest życie w tym zaklętym rewirze, literackim akademiku, wymyślonym przez system w celu usprawiedliwienia i samozadowolenia, w tym sześćo-piętrowym labiryncie pośrodku przerażającej stolicy, w gnijącym sercu na wpół martwego imperium. Bo chociaż rosyjski poeta Jeżewikin powiada, że ma orgazm na sam dźwięk słowa „imperium”, to jednak wszystko, co dobre, kiedyś się kończy i ty, Ottonie von R, na własnym grzbiecie odczuwasz, jak imperium trzeszczy w szwach, jak rozłazą się na wszystkie strony kraje i narody, a każdy z nich nabiera teraz znaczenia całego kosmosu albo co najmniej kontynentu.

Nawet z wódką są coraz większe problemy. Nie wiadomo dlaczego - po raz pierwszy w rosyjskiej historii - nie starcza jej dla wszystkich. Trzeba ją zdobywać kosztem wielogodzinnego stania w kolejce, poszturchiwań, kłótni, kosztem wyrzeczeń i poświęceń. Być może całą wódkę w imperium wypijają teraz jakieś kremłowskie olbrzymy, a może magazynowana jest w tamtejszych przepastnych piwnicach na czarną godzinę, podczas gdy plebsowi, to znaczy narodowi, choć w rzeczywistości to ani naród, ani nawet plebs, dostają się marne kropelki z trudem wypływane przez przemysł spożywczy. Zabójstwa w kolejkach po wódkę stały się czymś tak zwyczajnym, jak - weterani marszu na Berlin nie pozwolą skłał mać - frontowa śmierć od wrażej kuli. Wódka stała się absolutem, najświętszym celem, boską walutą, świętym Graalem, diamentami Golkondy, złotem całego świata.

Półtora roku temu, późną jesienią, przewracałeś się w łóżku do trzeciej w nocy, w żaden sposób nie mogąc zasnąć, jednak nie przez jakieś tam poetyckie fanaberie, jak na przykład miłość, nostalgia, Weltschmerz, kosmiczna tęsknota, somnambulizm i temu podobne, ale z jakiegoś innego powodu, który nawet nie zasługuje na tę nazwę. Ale usłyszawszy delikatne stukanie do drzwi, pomyślałeś, że zupełnie słusznie uczyniłeś, nie zasypiając. Bo - jak cię kiedyś poinformowano - w tym akademiku, gdzie nawet ściany i krzesła przesiąkły tanią, oślizłą rozpustą, jest wiele takich wędrownych panienek, które nocami po prostu chodzą od drzwi do drzwi, szukając sobie ukochanego. Szczególnie przyciąga je szóste piętro, gdzie zamieszkują bogate członki. To znaczy członkowie bratnich związków pisarzy, zwłaszcza z republik Azji Środkowej i Zakaukazia, biegli w kamasut-rze. A każdy z nich ma przy tym własny, osobny pokój, czyli żyje w surowej męskiej samotności.

W nocy nie trzeba więc przelażyć z łóżka do łóżka, aby wszystkich równo obdzielić miłością, jak to się zdarza na niższych piętrach, w pokojach studenckich. Prócz tego mieszkańcy szóstego piętra są zazwyczaj starzy i dobrzy, można u nich pomieszkać nawet z tydzień, jeżeli jest cienko z kasą albo szuka cię po wszystkich burdelach dzielnicowa milicja. Tak więc na szóstym piętrze pojawiały się epizodyczne dziewczyny z nieznanymi stron, poderwane w piwiarniach albo sklepach spożywczych, prawdziwe przyjaciółki i muzy bogatych południowych akynów\*, od których jednak pewne Akyn - lud. poeta-improwizator, wykonujący swe utwory przy akompaniamencie instrumentu muz. Twórczość akynów rozpowszechniona była wśród tur. narodów b. ZSRR. go tragicznego dnia odchodziły nagle, zabierając sobie coś konkretnego na pamiątkę.

Doszedłeś zatem, Ottonie von F., w swej bezsenności do wniosku, że przyszła kolej na ciebie i to stukanie o trzeciej w nocy oznacza, że za chwilę będziesz miał gościa, i bardzo prawdopodobne, że nawet już z francuską chorobą. Otworzywszy drzwi, ujrzałeś jednak nie młodą wędrowniczkę z tłustymi włosami i czerwonymi jak sztandar wargami, a dość miłego na oko, ale nie mniej pijanego chłopaczka.

- Komandur - powiedział chłopaczek - wybac, że tak późno. Ale bardzo chce mi się wódki.

- I to wszystko? - zapytałeś, Ottonie von R, zawiedziony w swoich oczekiwaniach.

- Kamandir, daj mi skończyć. Ja, na przykład, mam na imię Ruslan. A ty?

- Iwan - odpowiedziałeś, Ottonie von F.

- Wania, daj mi powiedzieć. Chcę pójść po wódkę do bazy taksówek. O, tu są pieniądze - pokazał zwitek banknotów, jakby mogło to mieć jakieś znaczenie. - Ale portiernia zamknięta. Obleciałem wszystkie piętra, tylko ty mnie wpuściłeś, kamandir. Tylko ty więc zostajesz.

- Ach, tak? - zapytałeś sceptycznie.

- Daj mi skończyć. Ja z twojego pokoju wyjdę do bazy taksówek.

- Ty z mojego pokoju to wyjdiesz w chuj - padła odpowiedź.

- Nie no, ty nic nie jarzysz, kamandir, bredzisz coś. Koło twojego okna wisi drabina przeciwpożarowa, kapujesz? I ja zejść - pokazał rękami i trochę nogami, jak będzie schodzić.

- Służyłem w desancie, kumasz? Tobie też mogę przynieść. Spoko.

Jeszcze przez chwilę się wahałeś, ale pewny siebie uśmiech i mocna postura Ruslana zrobiły swoje.

- Leż - zdobyłeś się na odwagę.

- Prawdziwy z ciebie mężczyzna, kamandir, od razu poznałem - stwierdził Ruslan.



Podszedł do okna, otworzył je na oścież i lodowate listopadowe powietrze, przesiąknięte zapachami jesiennych deszczy, martwych liści, zapuszczonych cmentarzy, wierszami Puszkina, słowem - zapachami późnej moskiewskiej jesieni, zalało pokój, sprawiając, że zacząłeś rozcierać zmarznięte ciało i dygotać.

- No, złaż już! - zawołałeś.

Rusłan wyprostował się na parapecie, machnął do ciebie ręką i zrobił szeroki krok w noc. Wyrzależ w ślad za nim. Wisiał już na drabinie przeciwpożarowej, niczym pijany cyrkowy akrobata, który wypróbował nerwy głupkowatej publiczności, zawisł na prawo od twojego okna, jeszcze chwila - i stanął nogami na szczeblach.

- Hej, a jak zamierzasz wrócić? - przypomniałeś sobie.

- Czyś ty kompletnie nic nie zajrzył, kamandir? Oczywiście, że przez twoje okno! To długo nie potrwa, miгіem tam i z powrotem...

Drabina zadudniła metalicznie pod jego butami. Wcale zręcznie jak na pijanego schodził po niej w dół. Widać, że w desancie nie należał do ostatnich. Ale ty w myślach przeklinałeś cały świat: błakające się dziewczyny z ich niewczesnymi amatorami, swoją bezsenność i młodego obrońcę ojczyzny ze skłonnością do alkoholizmu, przez którego przyjdzie ci jeszcze co najmniej dwadzieścia minut tkwić przy oknie.

Noc, jak już wspominaliśmy, była oślizła i zimna. Gdzieś w podwórkach wyszczekiwały swoją wściekłość proimperialne psy. Czas płynął powoli, z nudów nawet się ubrałeś, a potem wypaliłeś ze dwa papierosy. Gdzieś niżej niespodziewanie zabrzmiał wrzaskliwy kobiecy głos: „Suka ty pasledniaja!”. Potem brzęknęło rozbite szkło, dały się słyszeć głuche uderzenia, jakby ktoś czyjąś głową wbijał w ścianę gwoździe, a później niski męski głos poinformował: „Dura ty, Zinka, wied’ lublują ciebia!”. Potem wszystko ucichło.

Aż wreszcie usłyszałeś jeszcze raz dudnienie drabiny. Wracał Rusłan.

Pokonywał piętro za piętro i mniej więcej pomiędzy czwartym i piątym zatrzymał się, żeby trochę odpocząć. Zadarł głowę i zobaczył ciebie, wychylonęgo z okna.

- Już jestem, kamandir - oświadczył radośnie. - Wybacz, że tak długo. Wyobraź sobie, że nawet w bazie nie było. Spłoszyli ich tam dzisiaj reketierzy. No to ja do Wołodii, a u Wołodii też ni cholery. Trzeba było brać od Wietnamczyka po dwadzieścia pięć. Skośnooki sukinsyn! Zabiłbym! No, ale nic, zaraz sobie walniemy, Wania...

I znowu ruszył po drabinie do góry. Na wysokości szóstego piętra przystanął, odsapnął trochę, poprawił w kieszeni butelkę, żeby przypadkiem nie wypadła. A potem zrobił szeroki krok z drabiny na parapet. Ale poprzednim razem było to znacznie prostsze: było za co złapać rękami, było na czym zawisnąć. Teraz przed nim była tylko ściana i śliski, wąski,

blaszany gzyms, na którym mógłby oprzeć stopy. Zdażyłeś podać mu rękę, ale nie zdażyłeś złapać wyslizgujących się palców. Całym ciałem zachwiał się, przez moment jeszcze balansował nad przepaścią niczym anioł, który chce wzlecieć w powietrze. Potem był tylko długi, głośny krzyk. I upadek z wysokości szóstego piętra. I śmierć.

A ty biegałeś, kogoś budziłeś, ktoś wezwał pogotowie i gliniarzy - wszystko to nie miało już żadnego znaczenia. Wszystko odbywało się jak we śnie. Albo jak w banalnym melodramacie.

O Rusłanie Wspaniały - mówiłeś - jakże odżałuję twoją śmierć, bracie mój?! Byłeś nieustraszony, przywykłeś zawsze być pierwszym, miałeś za sobą mnóstwo skoków ze spadochronem! Kochały cię wszystkie znajome dziewczyny, a te, których nie znałeś, padały ci do stóp!

Rozjaśniało cię wewnętrzne światło, Rusłanie Przepiękny, a twoje mięśnie miały cudowną moc! I gdybym był pedalem, za wszelką cenę chciałbym przespać się z tobą, mój bracie! Cóżeś ty narobił, Rusłanie Zwycięski, czemuś opuścił ten głupi świat, na którym próżno szukać czegoś tak doskonałego jak ty?!

Potem odbyłeś szereg rozmów ze śledczymi psami, było wyjaśnianie okoliczności, węszenie, sapanie, podnoszenie łapy, machanie ogonem, próba osądu społecznego. Ale nie w tym rzecz.

Czemu zamykacie drzwi portierni, miałeś raczej ochotę zapytać. Czemu młoda artystyczna dusza, niedawny komandos, musi w waszym kurewskim kraju ryzykować życie dla butelki wódki? Dlaczego tak prześmierdliście zniewoleniem? Dlaczego wolności zostawiacie tak mało, że wystarcza jej tylko na upadek z szóstego piętra? Czemu teraz z takim uporem tylko mnie obwiniacie o jego śmierć, jakbyście chcieli, żebym jednak zapłacił za nią, wyskakując w końcu z tego samego okna?

Ale pytania te zawisły w powietrzu. Bo nawet oni sami, śledcze psy, którym mógłbyś te pytania postawić, dzisiaj nie potrafili udzielić na nie odpowiedzi. Imperium zmieniało skórę jak wąż, weryfikowało powszechne totalitarne wyobrażenia, dyskutowało, pozornie zmieniało prawa i warunki życia, improwizowało na temat hierarchii wartości. Imperium igrało z wolnością, sądząc, że w ten sposób przetrwa w odnowionej postaci. Ale nie warto było zmieniać skóry. Okazało się, że nie było drugiej. Więc teraz, wylazłszy z poprzedniej, stare kurwisz-cze kona w mękach.

W końcu wszyscy odczepili się od ciebie. Udowodniłeś swoje prawo do winy. Śledcze psy warczały z niedosiężnej odległości, bezsilnie kłapiąc sztucznymi szczękami.

Po trzech miesiącach, w zimie, późnym wieczorem, coś tam przy biurku dopisywałeś na maszynie, kiedy nagle usłyszałeś, jak stamtąd, z zewnątrz, coś uderzyło w okno. Niemożliwe, żeby była to śnieżka, pomyślałeś, nie mógł to być również kamień, bo któż zdołałby dorzucić śnieżkę, kamień, grudkę ziemi, czapkę, butelkę, książkę, rękawiczkę czy cokolwiek innego na wysokość szóstego piętra? Ale kiedy w znajomy sposób zadudniła drabina przeciwpożarowa koło okna, rozsunąłeś zasłony. Za oknem był Rusłan.

- Wania-wyszeptał samym ruchem warg-wpuścisz?

Wyglądał prawie tak samo jak wtedy, był tylko żółta-woblady, z czarnymi kręgami wokół oczu, z cieniutką czerwoną strużką, ściekającą z kącika ust aż poniżej podbródka.

Otworzyłeś okno.

- Na wszystkich piętrach okna pozaklejane, tylko u ciebie nie - poinformował Rusłan, siadając na parapecie.

- Nie zimno ci? - zapytałeś. - Przecież jest zima.

- Nie jest mi zimno. Jest mi nijako - padła odpowiedź.

- A w ogóle, to jak tam jest?

- Kiedyś sam się dowiesz. Wszystko inaczej niż sobie tutaj wyobrażacie.

- W niezłym stanie się zachowałeś.

- Dzięki. W desancie nauczyli mnie padać.

- Po co przyszedłeś?

- Ciągnie do znajomego miejsca. Znajome zapachy. Ty. Przypomniałem sobie o tobie.

- Dziękuję. A propos, nie nazywam się Wania.

- Wiem, Wania.

- Głupio wyszło z tą śmiercią, nie? - zagadnąłeś. Rusłan machnął ręką:

- Nic nie zmieniła na tym świecie. Mój ojciec jest gnany reżyserem. Dostał nagrodę.

; - Może napijesz się wódki? ' - Dziękuję, nie używam.

- Zapomniałem...

- Nieważne. Dzisiaj odlatuję do Symferopola. Tam mieszka moja dziewczyna. Rano pomyśli, że się jej przyśniłem.

- Chcesz moją ciepłą kurtkę? Mam drugą.

- Daj spokój, kamandir] Ja nie czuję zimna. Wszystko mi jedno. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo może być wszystko jedno.

Ale w pokoju zrobiło się zimno i on to zrozumiał.

- Nie będę ci przeszkadzać. Bywaj. Może kiedyś się spotkamy.

- Jasne. Chociaż nie wierzyłem, że istniejecie...

- Istniejemy? - z powątpiewaniem pokręcił głową. - Któż to może wiedzieć? Widzisz, byłeś ostatnią osobą, jaką widziałem za życia. Zostałeś mi pod powiekami na wieki. Twój wizerunek. Jeżeli z bliska przyjrzyj się moim źrenicom, zobaczysz samego siebie. Myślałem, że zdążysz mnie chwycić za rękę...

- Wybacz, stary.

- Nieważne. Tak miało być. Szkoda tylko, że trochę kiepsko to wszystko wyglądało. Rozbryzgany mózg, kawałki żeber, kość biodrowa, która wylazła na wierzch aż przez jelita... Ale nie ja pierwszy i nie ostatni. I to jest najważniejsze. Zamykaj okno, Wania...

Wykonał płynny, nieważki krok w bok i stanął na drabinie.

- Zamykaj okno - powtórzył.

Zrobiłeś jak powiedział. Nawet zasunąłeś zasłony.

IN oczami wokół akademika tętniło życie. Czasem słyszałeś jakieś krzyki, zamieszanie, ktoś kogoś bił. Niekiedy zaczynała znajomo dudnić przeciwpożarowa drabina. Z napięciem wsłuchiwałeś się w coraz bliższe dźwięki. Trzecie, czwarte, piąte piętro. Czy będzie szóste? Mnie tutaj nie ma, powtarzałeś. Mnie nie ma. Nie ma. I cały nakrywałeś się kołdrą. Ciebie nie było.

IN o i masz za swoje, durniu von F., oto co znaczy pójść pod prysznic, zapomniawszy o tym, że nie należy zostawiać otwartych drzwi swojego pokoju! Teraz siedzą u ciebie, cała trójka, palą sobie po pańsku, kłapią dziobami i chichoczą. Mordy wprawdzie im napuchły, ale humor dopisuje. Najbliżsi twoi przyjaciele. Wczoraj piliście razem do wpół do drugiej w nocy. Osiem bączków koniaku kupionych w warzywniaku, dwie flaszki musującego sa-luta, później jeszcze dwa polskie polonezy, wygrane w bilard od jakiegoś nowosyberyjskiego gamonia w Domu Pisarza. Finał odbył się już w akademiku. Spirytus medyczny ze strategicznych rezerw. Najpierw rozcieńczaliście go pepsi i trochę przypominało to armagnac. Skończyła się pepsi, w ruch poszła słodka woda Saja-ny, ale ty przewidująco zrezygnowałeś z tej atrakcji. I chyba dobrze zrobiłeś.

Nie ulega wątpliwości, że teraz wszyscy oni cierpią i przeżywają katusze, ale ani myślą się kajać, wręcz przeciwnie - żądają piwa i igrzysk. A gdzie można znaleźć i piwo, i igrzyska? Można je znaleźć w barze przy Fonwi-zina, ulicy rosyjskiego klasykodramatopisarza. Nawiasem mówiąc, nigdy tam jeszcze nie byłeś. I dzisiaj masz ostatnią szansę to naprawić, bo jutro będzie już za późno. Oto jacy z nich bracia twoi w duchu, to znaczy w spirytusie.

Jura Golicyn, czterdziestoletni poeta, wykształcenie wyższe, później więzienne, choć przez judasza zaglądał nie od strony celi, ale z korytarza. To znaczy nie żeby był klawiszem,

psem, w wątrobę nikogo nie walił - przeciwnie, był wychowawcą, chociaż tego też w końcu nie wytrzymał: zapuścił brodę i złożył raport z prośbą o zwolnienie. Wiersze pisze teraz dość sarkastyczne, jak na przykład Rozmyślania w spółdzielczej ubikacji. Z wyglądu przypomina Iwana Siergiejewicza Turgieniewa, ale początkującego i znacznie szlachetniejszego niż ten prawdziwy.

Numer dwa, Arnold Wróbel, ukraińskie południe, rus-skojazycznje nasielenije, dramaturg pokolenia lat sześćdziesiątych, popularność u kobiet, ale nic ponadto, też brodacz, tyle że typu hemingwajowskiego, zawodowy aktor, pijani-ca, błazen i karciarz, szczerza dusza, dowcipniś, jeszcze raz pijanica, obieżyświat, wierny towarzysz, nicpoń, tancerz i moczymorda, znawca kulinariów, wielbiciel mięs, łasuch, w teatrze grał Juliusza Cezara, którego monologi wygłasza do dzisiaj w pewnym stadium pijatyki, rozcieńczając je latorynizmami i przekleństwami i cytując różne dokumenty partyjne. Często zasypia w ubraniu, w całkowitej niemocy, ale budzi się najwcześniej ze wszystkich.

Trzeci to, rzecz jasna, Rojzman, ale nie ten, który pracuje w rosyjskim (ha, ha) Radiu Swoboda. Jest Żydem. Będzie ostatnim Żydem, który kiedyś opuści tę ziemię, ale mimo wszystko kiedyś ją opuści. Czerniowce nie są już takie, jak kiedyś, nawet Odessa już nie ta. Rojzman ma bujne szpakowate włosy i oczy, w których żywymi błyskami odbijają się wszystkie pokolenia od Adama do Chrystusa. Jego poezja przypomina miasteczkowe lato - pełno w niej trawy, omszałych kamieni i słodkiego kurzu. Pełno małych zakładów fryzjerskich i porosłych zapomnieniem cmentarzy. To muzyka na skrzypce solo. Wczoraj zemdlilo go już po spirytusie z „sajanami”.

- O, już się domyłeś, daragoj? - wita twoje pojawienie się we własnym pokoju Turgieniew-Golicyn.

- Nawet dwa razy - odpowiadasz, ale tego oni nie mogą zrozumieć.

Twoje łóżko jest jeszcze nie zasłane i ty niby przypadkiem siadasz na nim. A wszystko dlatego, że przy zmianie pościeli trafiło ci się niedawno prześcieradło”, na którym wedle wszelkich oznak ktoś kogoś pozbawił dziewictwa. I plama nie chce puścić. Toteż lepiej ją przykryć, żeby nie było niepotrzebnej gadaniny na ten temat.

- Nieźle byłoby zjeść jakieś śniadanie - mówisz na wszelki wypadek.

- O tym samym myślałem - podchwytuje Juliusz Cezar. - Wczoraj umawialiśmy się na Fonwizina?

- Wczoraj mogliśmy się umawiać na cokolwiek. Nawet na zamach stanu. - Starasz się jakoś sprzeciwić, masz przecież tyle spraw, a ten rejs po Morzu Piwnym nie może się dobrze

skończyć i będzie to kolejna klęska twego ducha w walce z pokusami i bestiami, harpiami i furiami, jednak - jako istota bez moralnego kręgosłupa - już wiesz, że nie ma ucieczki.

- W dodatku mara mokrą głowę.

- Pożyczę ci jarmułkę - mówi Rojtman i wszyscy wybuchają śmiechem.

- Mogę ci dać kapelusz, parasol, czapkę milicyjną, czołgowy hełmofon - proponuje Golicyn.

- Słuchaj, von F., trąby larum grają, chodźmy! - podjudza Wróbel.

- Trąby wzywają - dodaje Rojtman.

- To wsadźcie je sobie w... - niezbyt obraźliwym tonem wyrażasz życzenie.

- Widzisz, nam nie zależy na tym, czy pójdziesz, czy nie - roztropnie przekonuje Wróbel - czy masz ochotę na piwo, czy nie. Chodzi nam tylko o to, aby cię ustrzec przed złym towarzystwem i paskudnymi wpływami.

- Sercem jesteście z tobą - powiada Rojtman.

- Kochamy cię jak braciszka - wzdycha Golicyn. - A propos, jak ty znajdujesz niewinne dziewczyny w tym burdelu? - wskazuje na twoją pościel.

Jednak zauważył! Oko starego więziennego wychowawcy. Ciekawe, czegoż to mógł nauczyć nieszczęsnych więźniów ten szlachetny z wyglądu potwór?

Zamiast odpowiedzi zaczynasz pogwizdywać jakąś tęską barkarolę.

- Tylko nam nie wmawiaj; że ta krew to z twojego nosa - bierze cię pod włos Golicyn.

- No dobra, pies to trącał. Chodźmy - mówisz, aby zmienić temat.

- Masz przecież mokrą głowę - szczerzy się Rojtman.

- I tak na dworze pada - odcinasz się A na dworze rzeczywiście lało. Chmury, które jak ciężki filc zawisły nad miastem, w końcu pękły. Lodowata ściana deszczu zamknęła się wokół nas. Maj, a tak, pa-nimajecie, chołodno, mawiał poeta.

Ustatnio na piwo trzeba chodzić z własnym słoikiem. Zupełnie jak w obłączonym średniowiecznym zamczysku, którego obrońcy z narażeniem życia zdobywali łyk wody. Tak się jakoś porobiło, że w imperium nagle zabrakło kuflów. Może, na wypadek wojny domowej, wszystkie kufle zabrano do Kremla? I kiedy powstańcze masy ruszą do szturmowania kremlowskich murów, członkowie biur politycznych nie będą pełnymi nieczystości kuflami. Może właśnie te kufle, a dokładniej ich brak, to najlepszy dowód kompletnej niezdolności do istnienia naszej imperialnej mateczki.

Tak czy owak wleczenie się w strugach zimnego majowego deszczu, obwieszeni pustymi słoikami, a obok płyną przez kałuże auta i trolejbusy, nadające się nie tyle jako środek transportu, ile do ochlapywania brudnymi strugami rzadkich, skulonych w deszczu

przechodniów. To nie maj, to jakaś wieczna jesień. Nadszedł gorzki czas, kiedy wszystko się kruszy i nic do niczego nie pasuje. Jedynie przygarbione sylwetki kilku nałogowych alkoholików przed nie wiadomo dlaczego zamkniętym na cztery spusty czterdziestym sklepem spożywczym zdają się symbolizować jakąś teoretyczną możliwość odrodzenia i lepszej przyszłości.

Wlokąc się w ogonie starych galicyjskich wyobrażeń, sądziłeś, Ottonie von F., że piwiarnia to zaciszna i sucha jaskinia przy wąskim brukowanym zaułku, gdzie na szyldzie widnieje sympatyczny diabełek z krągłym od opilstwa bandzioszkiem, z przyćmionym światłem, niezbyt głośną muzyką i kelnerem, w którego ustach rozbrzmiewa nieco zagadkowy zwrot „proszę pana”. Miałeś nadzieję, że twoi kumple zaprowadzą cię do takiego właśnie bursztynowego raj, gdzie nie dociera ulewa, grzmoty i błyskawice, pomór, strach, pucz ani głód. Zamiast tego oczom twoim ukazuje się bar piwny na Fonwizina - jakaś niepojęta konstrukcja, poskładana z rozmaitych elementów piramida, jakby hangar pośród bezbrzeżnego azjatyckiego pustkowia, porośłego pierwszą majową lebiodą. Hangar dla pijaków. Stąd startują do swoich bojowych lotów. Może się tu pomieścić kilka tysięcy pijaczków. Cała pijacka dywizja ze swoją generalicją, pułkownikami, porucznikami i podobnymi do ciebie ciurami.

Bar piwny przy Fonwizina to gigant wielkości dworca, ale dworca Kijowskiego, nie Sawiołowskiego, kolosalna poczekalnia u wrót piekieł. Ale to nie wszystko. Jest jeszcze nie mniejszy, jeśli idzie o powierzchnię, szmat równiny, ograniczony metalowymi słupami, na których wspiera się plastikowy dach. Ścian nie ma. Jest tylko drut kolczasty, podłączony do ogólnej sieci elektrycznej.

Wstęp kosztuje rubla. Haracz dla Belzebuba, którego interesy reprezentuje na bramce młodziak z zadatkami na kryminalistę w białym niegdyś stroju. Przy czym żaden pobrany przez Belzebuba rubel nie jest czymś bezpowrotnie straconym. Zwracają ci go w postaci ryby, smętnej, szarej, martwej masy, na którą nawet byś nie spojrział, jeżeli tylko mógłbyś dostać bez niej piwo. Ale nie możesz. Ryba to przepustka do piwnej komunii, sakralny i woniejący symbol, niewątpliwy relikw epoki pierwszych chrześcijan. Tyle że potwornie zniekształcony, tu bowiem odbywa się jedna z bluźnierczych mszy, apokaliptyczne igrzyska dla gardeł i pęcherzy moczowych.

Tak. Ryba złowiona, ale to jeszcze niczego nie gwarantuje. Piwo! Żeby je zdobyć, należy odstać swoje w wielkiej, na szczęście bardzo dynamicznej, przeklinającej i walczącej, atrakcyjnej kolejce. Zakończony wąziutkim okienkiem. Myślisz, że tam, w tym okienku, jest już żywe piwo? Że jakiś piwny arcybiskup łyżeczką do herbaty rozdziela stamtąd komunię

wszystkim spragnionym? Mylisz się, von R, piwa tam ani śladu. Ono szumi w automatach, rozstawionych wzdłuż przeciwległej ściany tego terrarium. A w okienku odbywa się coś innego: zamiana papierowego śmiecia, znanego pod nazwą rubli, na wymienialne dwudziestokopiejkowe monety.

„Takiego wała!” - masz ochotę zakrzyknąć, naśladując bohaterów radzieckiej prozy ukraińskiej.

Oblicze Golicyna jest surowe i zdecydowane. I bardzo skupione. Tak wygląda prawdziwy mistrz pełniący niełatwą służbę. Chirurg przy stole operacyjnym. Saper przy rozbrajaniu miny. Spadochroniarz w chwili, kiedy powietrze z hukiem wypełnia spadochron i uprzęż boleśnie wpija się w jaja. Golicyn wydaje krótkie, jak machnięcie sygnałównką, urywane rozkazy: nie gapić się na wszystkie strony, z miejscowymi nie dyskutować, przygotować po trzy ruble, pilnie obserwować zwalniane stoliki, a ja, chłopaki, powalczę pod automatami.

Bo tam rzeczywiście trzeba zastosować rozwiązania siłowe. Każda moneta wrzucona w szczelinę automatu wywołuje jedynie króciutkie niewyraźne splunięcie, w którym więcej jest piany niż innych pożądaných składników. Aby otrzymać bodaj pół litra, trzeba takich monet wrzucić teoretycznie pięć, a w praktyce siedem, osiem. Jakieś mutanty o pyskach koloru buraka godzinami czołgają się pod automatami z zaślinionym słoikiem w dłoniach i domagają się sprawiedliwości na tym najbardziej niesprawiedliwym ze światów. Wydaje się im, że automaty nie dolewają. Że w piwie za dużo wody. Że to w ogóle nie jest piwo. Że ludzie dookoła mają zbyt obmierźłe mordy. Że nieźle byłoby któregoś z nich...

Wy tymczasem przesuwasie się do zakłętego okienka. Trzyrublowe papierki zwilgotniały w waszych spoconych dłoniach w oczekiwaniu na finał. Gdzie jesteś, jaskinio skarbów, monetowy Sezamie? Jakżeś daleko! Ileż to jeszcze razy trzeba będzie groźnie wyszczerzyć zęby na czyjeś cyniczne próby wepchnięcia się przed was, przed nich, przed wszystkich? Tu nie ma żartów. Stawka jest zbyt wysoka.

Teraz rozejrzyj się uważnie, zobacz, kogo tu nie ma. Oczywiście, poza waszą czwórka.

A masz tutaj całe społeczeństwo. Jakże swędzi ich pierś, jak piecze gardło, jak łzawią oczy! Niezliczone głosy, odbijając się od plastikowego sklepienia, wypełniają przestrzeń nieustannym monotonnym gwarem! Coś jakby chorał gregoriański dla potępionych dusz. Oratorium dnia ostatniego.

Swego czasu uczono cię, że rzymskie imperium padło pod ciosami niewolników i kolonów. To imperium legnie pod ciosami pijaków. Któregoś dnia wszyscy oni wylegną na



Plac Czerwony i - żądając piwa - ruszą na Kreml. Zaczną do nich strzelać, ale pociski będą się odbijały od ich wytrawionych spirytusem, kuloodpornych piersi. Oni zmiotą wszystko.

Zwłaszcza kobiety. One są prawdziwą ozdobą tego błogosławionego miejsca. Chodzą w rozszerzanych spodniach, model roku siedemdziesiątego drugiego (a może już model roku następnego?), z rozłączającymi się suwakami zamków. Mają na wpół wyliniące głowy. Pysznią się swoimi siniakami i opuchliznami. Biję od nich odór ziemianki. Nogi mają na pewno włochate jak królowa Saby. Kopulują nawet z psami, choć pośród tu obecnych są ich kochankowie. Jeśli w porę nie dostaną swego piwa, rozniosą to miasto razem z Łubianką i jej kazamatami (czyli Miasto Wewnętrzne, Miasto w mieście).

Dlatego właśnie imperium powinno było w porę zatroszczyć się o swoich pijaków. Zamiast walczyć z wiatrakami liberalizmu czy nacjonalizmu, polować na czarownice religijności czy widmo obrony praw człowieka, powinno zadbać tylko o swoich wiernych pijaczków. Aby zawsze mieli się czym zalać. Żeby kochali swoje potworne kobiety. Żeby robili podobne do siebie dzieci. I tylko tyle.

Ale imperium zdradziło swoich pijaczków. I samo skazało się na rozpad.

Bo teraz wszyscy piją va banque, teraz każda butelka zdobywana jest z narażeniem życia, w krwawym pocie czoła. Teraz się dla niej po prostu ginie, spadając na przykład z szóstego piętra.

I tak oto pokonaliście szlak do jasnego okienka. A tam, na workach dwudziestokopiejkowego srebra, siedzi, jak się okazuje, dość seksowna hurysa z oczyma pełnymi piwa i - jak wszystkie tanie moskwianki - tleniona na biało. Perłowowłosa bogini. Arnold, jak zawsze, robi wrażenie. Udaje mu się nawet poplirtować przez okienko, mimo że na karku czuje ciężki, niecierpliwy, przepity oddech napierających z tyłu bohaterów dnia sobotniego.

- Milaja dziewczeczka - zaznacza Arnold, odchodząc na bok.

- Przeliczyłeś monety? - upewnia się Rojzman.

- Zdaje się, że nie miała nic pod chałacikiem - odpowiada Cezar, oblizując wargi.

Monet macie aż sześćdziesiąt. Powiadają, że w zjednoczonych Niemczech radzieccy ludzie wrzucają je do automatów telefonicznych zamiast dziesięciofenigówek. Jeżeli to prawda, to za to, co ściskacie w garści, można by obdzwonić cały świat, nie wyłączając Makao i Honolulu. Ale na to trzeba by najpierw przekroczyć kilka granic i jakimś cudem dostać się, powiedzmy, do Monachium.

Rojzman trzyma w rękach talerze z rybimi zwłokami. Golicyń walczy o miejsce pod automatem. Ty i Arnold ruszacie w jego kierunku, dzierżąc puste litrowe słoiki.

Najpierw należy napelnić tylko trzylitrowy. Będą go potem brali i pili z niego wszyscy, nalewając sobie do pustych litrowych. Właściwie można było nie pchać się z nimi aż tutaj, pod automaty, ale nie wolno zostawiać ich bez opieki - to fatalny, dyletancki błąd. Ulotniłyby się momentalnie. A wtedy trzeba by było (za następne trzy ruble) kupować puste od jakiegoś tutejszego syfilytka.

Automat, połknawszy niespiesznie prawie pół setki waszych monet, nasikał wreszcie wyczekiwane trzy litry. Następnym razem trzeba będzie wymienić znacznie więcej, bo co to są trzy litry piwa, kiedy na dworze zacina deszcz, a was jest aż czterech? Dlatego od razu zajmujecie miejsce w kolejce po bilon przed okienkiem z piwną seksbombą. Ostrożnie, by żadne ścierwo nie trąciło łokciem i nie wy-chlapało zdobytej z takim trudem żółtej cieczy, niesie trzylitrowy słoik Jura Golicyn, Iwan Siergiejewicz Turgieniew z trzylitrowym słoikiem piwa. Uosobienie szlachetności, godności i równowagi, siwiejący pisarz.

Oni lubią pić „na świeżym powietrzu”, to jest tam, pod plastikowym dachem, przy akompaniamencie szumu ulewy i śpiewu pijanych oficerów. Tobie nie pozostaje nic innego, jak tylko podporządkować się, bo jesteś tu po raz pierwszy i w ogóle jesteś najmłodszy, w porównaniu z nimi smarkacz z ciebie, gówniarz, bachor i małolat, a oni właśnie troskliwie strzegą cię przed potencjalnymi niebezpieczeństwami, które tu na ciebie czyhają.

Tutaj, na przykład, nie można patrzeć nikomu prosto w oczy, przyglądać się zbyt uważnie, natarczywie. To grozi wybuchem, lokalnym konfliktem. Należy wypracować sobie niewidzące, nie zatrzymujące się na niczym, błędne spojrzenie. Obojętne, bezmyślne, ślizgające się spojrzenie.

Tak, Ottonie von F. Zanim pociągniesz pierwszy łyk, zanim zanurzysz się w nieznanie z trudnym do przewidzenia finałem, zanim ze ścieżki sprawiedliwego, którą ledwie-ledwie namacałeś we śnie, zejdziesz na złudnie kuszące zbocze, skoncentruj się i wspomnij, co na dzisiaj zaplanowałeś.

Zdaje się, że miałem się spotkać z Cyrylem. Gdzieś nawet powinienem mieć jego telefon. To dosyć ważne. Chodzi o wydawanie w Moskwie postępowej ukraińskiej gazety. Bardzo dobrze. Po drugie, miałem się udać do sklepu o fantastycznej nazwie Świat Dziecka. Miałem zamiar kupić tam prezenty dla dzieci moich przyjaciół. A dzieci moich przyjaciół są moimi dziećmi. Cudownie. Po trzecie, będę się starał nie zapomnieć o jednej z kochanych przeze mnie kobiet. Jeżeli wróciła wczoraj z republik Azji Środkowej, to dzisiaj powinienem się z nią kochać. Pięknie.

No, ale najważniejsze, że o wszystkim pamiętasz. Możesz teraz pić swoje piwo i słuchać, jak szumi deszcz, jak śpiewają pijani oficerowie, jak Arnold opowiada teatralne

anegdoty, Rojtman - kawały żydowskie, a Golicyn - więzienne, do złudzenia przypominające rzeczywistość... Jdjechałeś, przyjacielu, gdzieś między trzecim a czwartym słoikiem, a może między piątą a szóstą wyprawą do toalety, a może dopiero wtedy, gdy Jura Golicyn-Turgieniew zdecydowanym ruchem postawił na stoliku butelkę czegoś czerwonego, obwieszczając skrzydlatą frazą: „wino na piwo eto diwo”. Na zewnątrz deszcz nie ustawał, chociaż dochodziła już druga po południu i - wedle przewidywań dowcipnych synoptyków - dawno już powinno było wyjrzeć słońce komunizmu.

To pułapka, pojąłeś w końcu. Wszyscy tutaj zmuszeni są pić piwo. Ale wyjść stąd nie uda się już nikomu. Rozgrywa się tu jakaś ostatnia odsłona historii świata. Uczestników wciąż przybywa. Wielu z oficerów, którzy jeszcze do niedawna trzymali fason i tak wspaniale śpiewali, teraz zasnęło. Schodzą się natomiast faryzeusze i saduceusze, hazardziści, znawcy ksiąg tajemnych, mordercy i sodomicy, kulturyści, lichwiarze, karły, prawosławni popi w zrudzia-łych sutannach, klauni, lubieżnicy, Kazachowie, wyznawcy Kryszny, rzymscy legionieści. Trzeba zadzwonić do Cyryla.

- Jest nas czterech - powiada ni stąd, ni zowąd Arnold - I każdy miał kiedyś babę...

- Czterech nas - przerywa mu Golicyn - i reprezentujemy przynajmniej cztery narodowości. I co, gorzej nam się przez to pije?

- Jakie cztery, czemu cztery? - denerwuje się Rojtman.

- No ty, Boria. To raz. Ja jestem Rusek. Dwa. On jest z Ukrainy. Trzy. A Wróbel - cztery.

- A Wróbel to kto? - dopytuje się Boria.

- Jakiej jesteś narodowości, Wróbel? - domaga się prawdy Golicyn.

- Zaraz wszystko wytłumaczę - Cezar znacząco unosi w górę palec.

- Ja, przyjaciele, idę do telefonu - mówisz zdecydowanie.

- Tylko się z nikim nie zadawaj - uprzedza któryś z kumpli. - Pełno tu teraz wszelakiego kurewstwa. Ale nie mam pojęcia, gdzie ty chcesz znaleźć telefon.

To wszystko słyszysz już za plecami. Gdzieś przecież musi być telefon! Bo niby jak wzywają milicję? Przecież Pasza Bękart, sachaliński bajkopisarz, wylany z pierwszego roku za systematyczne nadużywanie cudzej wody toaletowej, właśnie stąd trafił na dzielnicową komendę, gdzie przetrzymano go półtorej doby i gdzie śpiewał pieśni zza krat, a także wykrzykiwał gliniarzom prosto w twarz: „A wy co, za morderców nas macie?!”. Przy czym, jak się później okazało, podstaw do takiego sarkazmu nie miał wcale, ponieważ trzech układnych chłopaków, przebywających razem z nim za kratami, rzeczywiście było mordercami: w tym samym barze, w kwadrans po deportowaniu stamtąd Paszy, zarznąli

jakiegoś przypadkowego nieudacznika. Ale Pasza Bękart o tym nie wiedział, straszyl dyżurnego lejtnanta swoją czerwoną związkową legitymacją z orderem Lenina na okładce i wykonywał dla wszystkich zebranych pieśń pełną niepojętych obrazowych aluzji:

Otiec moj bylpńrodnyj pachar', A ja rabotal wmiestie s nim, Na nas napali złyje ludi, I my ostalis' bieź końca...

Tak, fajny chłopak był z tego Paszy, ale telefon, gdzieś przecież musi być telefon, nie? A może wzywają milicję za pomocą gwizdka? Albo przy użyciu kosmicznych kanałów komunikacyjnych? Na sali ktoś komuś właśnie daje pięścią w pysk, wszyscy inni z zainteresowaniem czekają na wynik. Dobrze, tak, dołóż mu jeszcze! A zebrało się ich tu od cholery! Nie można się przedrzeć. Chyba że tuż przy ścianie, gdzie w okienku siedzi ta jawnogrzesznica. Nawiasem mówiąc, okienko zamknięte, bo akurat przerwa.

Ostrożnie pukasz w drewnianą okiennicę.

- „Twierdza świadczy o dziełach rąk Jego” - powiada na to obszarpany dziad wędrowny, który umościł się nieopodal ze swoim słoikiem - Jakiś alkoholik-teolog.

Za okiennicą ani szmeru, więc na siłę przedzieras się przez salę szukać telefonu koło wejścia. Bramka też zamknięta, a agent Belzebuba, rozdzielający martwe ryby, przepadł jak kamień w wodę. Może wszyscy gdzieś sobie poszli, zostawiając kilkutysięczną klientelę na pastwę losu. Pobiegli się modlić o odpuszczenie grzechów w oczekiwaniu na trąby dnia ostatniego. Bo tu opodal jest cerkiew Niespodziana Radość. Nazwa jak ułał dla burdelu. A tymczasem naprzeciw, pod nędznymi topolami, które nijak nie chronią przed zacinającym deszczem, dwóch miejscowych rzezimieszków tłucze jakąś starowinę, usiłując wyrwać jej torbę. Najwyraźniej przyszła pohandlować wódką |- i miała pecha. Starasz się nie patrzeć w tamtą stronę, bo żule gotowi jeszcze pomyśleć, że przyszłicie tu razem. Większe ryby pożerają mniejsze.

Wracasz na salę. Już po bójce; przegrany leży rozplaszczony na betonie, a jakaś beznosa madame, przyklękawszy na jedno kolano, wyciera gazetą jego zapity pysk. Kilku innych złoczyńców doradza, jak powstrzymać tę ciemnoczerwoną erupcję. Wśród nich również zwycięzca, prawdopodobnie dobry kumpel, brat, sąsiad, słowem - serdeczny przyjaciel pobitego.

Wracasz do okienka i stukasz ponownie - trochę mocniej, bardziej natarczywie. Ale ze środka nadal nie dobiega żaden dźwięk, jedynie znajomy już dziadyga, uśmiechając się chytrze, podrzuca kolejny cytat:

- „Stukajcie, a otworzą wam. Bo stukającemu otworzą”.

I faktycznie, stary włóczykij ma rację, obok są jeszcze drzwi, tyle że po prostu nie zwróciłeś na nie uwagi. Uchylasz je i trafiasz na zaplecze, zawałone pustymi pudłami i nie wiadomo dlaczego kartonami po jajkach. Kierujesz się odgłosami rozmowy i w końcu znajdujesz wszystkich - i sprzedawcę ryb, i gołonogą piękność w chałacie, i jeszcze dwóch czy trzech nie widzianych wcześniej osiłków z tutejszego personelu. Siedzą, popijają, palą; notabene piwo jest kufłowe, a dla urozmaicenia mają też rozpoczętą flaszkę czystej. Rodzinny obiad przed chatą.

- Ja diko izwiniajus' - mówisz możliwie najgrzeczniej - można li ot was pozwonit'?

Gapią się na ciebie dosyć tępawo, ale przyjaźnie, chyba nawet ktoś kiwa głową, podchodzisz więc do aparatu stojącego na sąsiednim stoliku. Oni tymczasem gadają jeden przez drugiego o jakichś bardzo widać intymnych sprawach, bo tleniona kilka razy powtarza „no i dałam mu, no i co z tego?”, a jej partnerzy nie żeby byli tym jakoś szczególnie poruszeni, ale też nie są skorzy do pochwał. Na dodatek pomocnik Belzebuba oświadcza pouczającym tonem:

- Ty, krysa, w sleduszczij raz dumaj, komu dajosz, a to zacepiat nas...

- Czto ja, pisiucha małoletniaja? - nerwowo zaciąga się dymem krysa.

Po drugiej stronie drutu długie sygnały, ale po piątym słyszysz dziarskie „halo” Cyryla.

- Cyrylu, to ja, Otto.

- O, bardzo dobrze! - wskutek kontaktów z emigracją Cyryl nauczył się cieszyć z byle powodu. - Kiedy będziesz u mnie?

- Ja jemu, mieźdu proczim, skazała: „Kak chcesz, no w rot nie woz'mu, poniał?” - opowiada przyjaciołom krysa, a ty jesteś zmuszony powtarzać pytania Cyryla.

- Kiedy będę u ciebie? Widzisz, leje. Głowę mam jeszcze mokrą, właśnie się kąpałem. Atu taka ulewa, że świata nie widać. Aż wyc się chce. W dodatku nie da rady stąd wyjść.

- Skąd? - nie pojmuje Cyryl.

- Ja potom Saszku priwieła, pokazywaju: „Smotri, czto skotina sdielał - wsie trusiki porwał, w czom ja tie-pier budul.”

- Skąd nie da się wyjść? - próbuje ustalić Cyryl.

- No, właściwie to z akademika - zdobywasz się na odpowiedź. - Taki deszcz, że nie chce się nosa wychylić...

- Walniesz? - pyta jeden z typów, nalewając ci pół musztardówki czystej.

- Spasibo, szef.

- Co? - krzyczy do słuchawki Cyryl.

- Karoczie, Nastiona - instruuje krykę sprzedawca ryb - jeśli apiat' etot mudak objawitsa, ty Wasilku skazesz, jasno?

- Samo sobiejszn - wypuszcza dym Nastiona - ja jemu sama chuj otkuszu...

- Cyrylu, zadzwonię do ciebie za pół godziny, zgoda?

- Okej, dobra! Ale nie później, proszę cię. Jest kupa spraw do obgadania.

- Umowa stoi.

Odkładasz słuchawkę i bierzesz podsuniętą musztardówkę.

- Spasibo, riebiata. Za wasze swietloje buduszczeje.

Milczą i patrzą na ciebie. Ale kiedy zawartość musztardówki zaczyna spływać ci przełykiem, orientujesz się, że to wcale nie wódka, lecz żrący bezlitosny bimber. Jest już jednak za późno. Jakoś przeszło. Oczy nabiegły łzami.

- Słysz, drug, tiebie podrug na wieczier nie nuż-na? - pyta któryś.

Ocieraszą wąsy rękawem i spoglądasz na ostre ząbki Nastiony.

- Spasibo, oczien' zaniat, riebiata...

- A jajca woz' miosz? - proponuje rybiarz. - Zdaju bolszuju partiju. Optom.

- Spasibo, spasibo - powtarzasz i wycofujesz się. Wychodząc z labiryntów zaplecza, potykasz się o te same, leżące wszędzie puste pudła. Pod powiekami skacze ci jeszcze weselej.

Kiedy sam jestem na bani, to patrząc na innych, mam wrażenie, że to oni są pijani. Widzę ich irytująco nieprecyzyjne ruchy. Zwłaszcza kiedy usiłują iść prosto. Zresztą teraz jestem nawet niezbyt daleki od prawdy. Tutaj wszyscy są pijani, nie tylko ja. To przez ten deszcz. Wszyscy jesteśmy nieszczęśliwi. Nieszczęsne, żalosne wyrodki o niezbornych ruchach.

Ale to ja jestem temu winien. To ja sprowadziłem ten deszcz, wykonując rano z nieznaną ciemnoskórą kapłanką magiczny spektakl pod prysznicem. Dobrze mi tak. Jestem z tego dumny.

Podchodzisz do stolika, gdzie twoi koledzy po piórze kolejny raz tchnęli życie w trzy litrowy słoik.

- I dlatego jestem pół taki, pół owaki - kończy Juliusz Cezar przydługą i pogmatwaną opowieść o swojej przynależności narodowej.

Najwyższy czas jakąś stąd wypełznąć. Rozmowa z kumplami zabrnęła w ślepią uliczkę. Nikt nie wie, co chce powiedzieć, ale każdy coś mówi. To raczej bełkot czterech idiotów, którzy po prostu z upodobaniem wygłaszają szereg słów: pięknych, wzniosłych, ale i

podłych, nikczemnych. Cieszą się ich dźwiękiem. Słowa nie trzymają się kupy, każde żyje swoim własnym pijanym życiem. Bo każdy z was jest artystą słowa. Pojedynczego słowa.

I ten nieustanny deszcz, i te mordy, których wciąż przybywa, rozmnażają się przez podział i pływają dookoła was jak płaskie głębinowe ryby żyjące w atramentowej otchłani oceanów.

Ale wszystkie bramy już otwarto na oścież, stoicie w przeciągu, na srogim azjatyckim wicherze, który zmiata pianę ze stołów i słoików. Zatem to państwo coś jeszcze produkuje. Na przykład fruwającą pianę o kwaśnym, mdlącym zapachu.

Niedobrze ci, von F. Przenika cię chłód i trochę cię mdli. Najwyższy czas wygrzebać się stąd. Czeka Świat Dziecka, czeka Cyryl, czeka Ukraina, strapiona brakiem swojej gazety w Moskwie, a ty tu mielesz głupim ozorem, że niby każdy stoi wobec świętej konieczności wyboru własnej drogi. Bo cóż, oprócz ściany, łączy cię z Uzbekiem za ścianą? Z Uzbekiem, nieustannie przyrządzającym pilaw, którego tłusty zapach przywabia niejedną wygłodniałą studentkę. Uzbek faszeruje ją pilawem, wypycha pilawem, jak stracha na wróble słomą, a ona robi się sztywna, przemienia się w stracha na wróble, wtedy on ją przypieka, a z jej ust, uszu i nosa sypie się pilaw. A ty, von R, nigdy nie nauczysz się przyrządzać pilawu. I cóż łączy cię z Chudajdurdyjewem, ponurym i tłustym jak eunuch, w związku z czym niektórzy nazywają go „chudym Durdyjewem”, z tym Turkmenem, który co wieczór, punktualnie o dziewiątej, w spodniach od dresu pojawia się przed telewizorem, bo nie może żyć bez programu „Czas”? Albo z Jezewikinem, który wszędzie wchodzi bez pukania, ponieważ uważa się za właściciela całego świata - od Karpat po Ocean Spokojny? Albo z Błagolipopowem, którego teść jest generałem KGB, co nie przeszkadza Błagolipopowowi pisać uduchowionych wierszy o Siergieju Radoneżskim, oddychać zgodnie z zaleceniami jogi i mienić się uczniem Rericha, choć wszyscy wiedzą, że tak naprawdę jest kapusiem. Albo z Szura Gorochowem, który poszukuje uniwersalnych oznak bytu, przez co zapomina oddawać długi? Albo z Olegiem Seksopatologiem, który opanował język francuski tylko po to, aby czytać Wojnę i pokój w oryginale? I co łączyło cię z Paszą Bękartem? Co łączy cię z każdym z nich z osobna i ze wszystkimi razem?

- Każdy z nas tak samo oddycha, pije, kocha, śmierdzi - mówi z namaszczeniem Jura Golicyn, jakby objawiał jakąś głęboko skrywaną tajemnicę.

- Znaczy się, jesteście stworzeni, aby żyć razem. Świat jednoczy się w imię wartości ogólnoludzkich - wtóruje Rojzman. - A my?

- Łatwo ci pieprzyć, jak wiesz, że tak na wszelki wypadek, gdzieś tam, na Bliskim Wschodzie, masz własne państwo, własne, odrębne państwo...

- A państwo to potwór, to klęska żywiołowa - potrząsa hemingwajowską brodą Cezar.

- Czemuż to wy, nacjonaści, tak rwiecie się do rozejścia? - pyta Golicyn. - Czemu nagle wszystkich korci, żeby od razu brać rozwód? Mamy wszak wiele wspólnych dzieci! Przecież to wielkie doświadczenie braterstwa, kiedy to samo nieszczęście jest udziałem wszystkich. Dlaczego, wytłumaczcie mi, nacjonaści?

Każde wypowiedziane zdanie jest podkreślone czknięciem.

- Jakbym był nacjonalistą, tobym ci odpowiedział - mówisz powoli i wyraźnie, może nawet zbyt wolno, zbyt wyraźnie. - Ale jaki ze mnie nacjonalista, jeśli piję z tobą piwo?

Jest w tym niepodważalna logika. Golicyn wyciąga do ciebie dłoń i długo ją ściska. To świetny facet. Nie ma w nim ani krzty głupiego imperialnego szowinizmu. Ale bardzo kocha braterstwo. Wolność. Równość.

- Wczoraj wieczorem pomyślałem sobie, że Boga nie ma - ze smutkiem informuje Rojzman.

- Wczoraj wieczorem? - dziwi się Wróbel. - Twoim obowiązkiem jest zawsze tak myśleć. Zgodnie ze statutem tej twojej kurewskiej partii.

- Co tu ma do rzeczy partia? Nie o to chodzi. Pomyślałem, że Bóg, prawdziwy Bóg, a nie wymyślony, fikcyjny, nigdy nie zgodziłby się na jakieś narodowości...

- Tak jak nie zaakceptowałyby istnienia dżumy, syfilisu, broni jądrowej - zgadza się fioletowonosy pijaczyna, który wychynął na chwilę koło waszego stolika, po czym powędrował dalej.

- Bo właśnie to nie pozwala ludzkości być dobrą i światłą - ciągnie Rojzman. - To czyni nas małymi i zazdrosnymi, to wypełnia nas gównem. Jak wiele czarnej energii nagromadziło się wszędzie tylko dlatego, że istnieją narodowości...

- Żydowska też? - robi oko Wróbel.

- Każda, na tym się nie dam złapać!

- Ja ciebie nie łapię. Ty już dawno jesteś złapany. Bo do dzisiaj nie wystąpiłeś z tej swojej zbrodniczej partii. Gadasz coś o czarnej energii i udajesz, że niby nie widzisz, skąd płynie. Po jaką cholerę dotychczas w tym tkwisz? Wiesz, jaki mam do ciebie stosunek. Ale jak mogłeś nie wystąpić z partii po tym, jak zobaczyłeś ludzkie bebechy na gąsienicach czołgów? - oczy Juliusza Cezara są pijane, ale dociekliwe.

- Co tu ma do rzeczy partia? Kanalie są wszędzie. Każda partia ma swoje...

- Inne partie nie używają czołgów - udaje się wtrącić Golicynowi między jednym beknięciem a drugim.



- No to jeszcze użyją - podnosi głowę śpiący przy sąsiednim stoliku oficer z małutkimi naszywkach broni pancernej w kształcie czołgów.

- Zakazałbym istnienia wszystkich partii. - I ja.

- Ja też.

- A tych, którzy w podziemiu zaczęliby tworzyć partie, pewnie likwidowałibyście? - upewniaś się zjadliwie.

- Tępiłbym jak karaluchy - kiwa głową inwalida z dziurawą harmonią w rękach. - Uniczytał by, kak ta-rakanowl - dodaje.

- Tacy to z nich demokraci - odzywa się wygolony krysznaita, spowity w różowe prześcieradło.

- Tacy to z nich demokraci! - powtarza za nim wróbel, nie Arnold Wróbel, ale małeńka szara ptaszyna, która skacze sobie między stolikami i coś tam wydziobuje z kałuży piwa.

- Wczoraj też o czymś takim mówiliśmy. Chyba po koniaku. - Pocierasz rozpalone czoło, jakbyś usiłował sobie przypomnieć. - Wczoraj o tym gadaliśmy, i przedwczoraj także. Bo codziennie chlejemy, już prawie dwa lata, a chłanie budzi w nas aktywistów. W dodatku teraz panuje wolność słowa. I okazało się, że w czasach wolności słowa - pojedynczego słowa - potrafimy tylko powtarzać wciąż jedno i to samo. Za to każdego dnia. Ty, Cezarze, już drugi rok próbujesz wyjaśnić, dlaczego Boria nijak nie może wystąpić z partii. Ty, Jurko, przekonujesz, że nie należy się rozłączać. Rojzman co dzień informuje, że Boga nie ma. Ale teraz, kurwa mać, raz posłuchajcie mnie. Jako najmłodszy milczałem przez dwa lata. Dopuszczcie mnie do głosu. Dajcie mi powiedzieć słowo. Jedno słowo.

|- Niech chłopak mówi! - żąda twardo inwalida z harmoszką. - No, dajcie mu przemówić! Słyszycie?!

- Ciekawe, ciekawe - podnosi następną, równie pijaną głowę trójgłowy oficer.

- Hej, zamknijcie się, matoly! Wszyscy słuchają! - jakiś baryton w sutannie zagłusza szum deszczu i barowy gwar. Jego broda i wąsy ociekają piwną pianą.

- Mów - szepcze olbrzymi sum, wyzierając ukradkiem spod płaszcza jakiegoś ichtiologa.

I słyszysz, jak wszędzie zalega nagła cisza. Nie tylko na całym obszarze pod plastikowym dachem, ogrodzonym kolczastym drutem, ale nawet w najdalszych zakątkach baru. Tylko deszcz ciągle pada. Ale cholera z nim.

Zaczynasz mówić, przytknąwszy do ust pusty słoik, co trochę wzmacnia siłę twego głosu; to taki mikrofon, bez niego czułbyś się mniej pewnie. A masz o czym mówić i masz im

coś do powiedzenia. Nawet tamten zakrwawiony nieszczęśnik pozbierał swoje nędzne resztki z betonowej podłogi i - podtrzymywany przez beznosą towarzyszkę - podpełzł jakimś cudem bliżej, żeby cię lepiej słyszeć i widzieć.

- Gotów jestem objąć każdego - twój głos jeszcze trochę drży ze wzruszenia, ale już nabiera mocy oratorskiej. - Gotów jestem podać rękę każdemu na tej ziemi. Bo wszyscy ludzie są stworzeni, kurwa mać, do szczęścia, chociaż każdy rozumie je po swojemu. Nie ma w tym nic strasznego, godnego potępienia, i sam urwę jaja każdemu, kto myśli, że jest w tym coś złego. Bo tak nas mało i tacyśmy maluczcy w porównaniu z zimną, kosmiczną pustką, że absolutnie nie możemy pozwolić sobie na luksus wzajemnej nienawiści czy roszczeń terytorialnych. Tym bardziej na tle partyjnym, narodowym albo rasowym. Mówię tak, bo mam do tego pełne prawo, albowiem nie dalej jak dzisiaj rano odbyłem pod prysznicem stosunek z kolorową dziewczyną. Nie interesowało mnie, jakiej jest narodowości. Ani tym bardziej do jakiej partii należy. A już na pewno nie przeszkadzało mi to, że jej królewska skóra jest innego koloru. Powiem więcej - było mi miło, że tak właśnie jest. Swoim własnym członkiem na kilka niezapomnianych minut zjednoczyłem odległe kontynenty, kultury, cywilizacje. Sprowadziłem je do wspólnego mianownika, to jest - przepraszam za wyrażenie - plemnika. I dlatego nie mogę żywić nienawiści do Rosji ani do Rosjan...

Ale teraz, kiedy piję skwaśniałe piwo pośród ogrodzonego słupami i drutem kolczastym pustkowie, kiedy wiatr targa moje mokre włosy, kiedy wokół rozciąga się wielka azjatycka, przepraszam, euroazjatycka równina, przepraszam, kraina, ze swymi własnymi normami i prawami, i ta kraina potrafi rozrastać się na zachód, wchłaniać maleńkie narody, ich języki, obyczaje, piwo, potrafi wchłaniać również narody wielkie, rujnując ich kościoły i kawiarnie, a co najważniejsze - zaciszne, przytulne burdele przy wąziutkich brukowanych uliczkach, to nie mogę tak po prostu patrzeć na to z założonymi rękami i milczeć, jakbym kij połknął. Nie tak dawno przyjaciel pokazał mi stare widokówki miasta, w którym mieszkam. Te pocztówki mają z pięćdziesiąt lat. A ja zawołałem: w tym mieście chciałbym żyć! Gdzie ono jest?! Co oni z nim zrobili?! Gdzie moje prawo do własnego piwa?! To był kompletny odjazd!

Dlatego jestem za całkowitym i ostatecznym oddzieleniem się Ukrainy od Rosji! Niech żyje nienaruszalna przyjaźń między narodem ukraińskim i rosyjskim! Wiercie mi; w tych dwóch zdaniach nie ma żadnej sprzeczności. Życzę wielkiemu rosyjskiemu narodowi szczęścia i pomyślności! Za piwo wasze i nasze!

Dłuższą chwilę po twoim wystąpieniu trwa jeszcze całkowita, napięta cisza, która nagle wybucha niesamowitą, wszechogarniającą owacją. Oklaski zagłuszyły nawet deszcz,

nawet wiatr. Już od tak dawna wszyscy ci ludzie chcieli to od ciebie usłyszeć. Nareszcie im wyjaśniłeś. Od tej chwili wszystko będzie dobrze. Kłaniając się na prawo i lewo, chwytasz torbę i zdecydowanym krokiem ruszasz do wyjścia, ale oni zatrzymują cię, żeby podziękować, uścisnąć dłoń, pogratulować wspaniałego przemówienia, i dostrzegasz w ich oczach łzy, ktoś nawet wyciąga spod płaszcza i ofiarowuje ci zawiniętego w gazetę niemego prehistorycznego suma. I kiedy przy wejściu mijasz Belze-bubowego pomocnika, ten obejmuje cię i niezgrabnie, z zawstydzeniem całuje gdzieś pod lewym uchem, potem długo jeszcze bije ci brawo, a spod żalonych topoli oklaskują cię dwa miejscowe zbiry i stara słabowita spekulant-ka, którą dopiero co tłukli...

Twoje czoło płonie pod zimnym majowym deszczem...

W tym mieście mieszka, jak mówią, milion Ukraińców. Oznacza to, że Moskwa to największe na świecie ukraińskie miasto. Tutaj co dziesiąty ma nazwisko kończące się na „-enko”. Ale jak ich rozpoznać? Przecież przez ostatnich trzysta lat w niemałym stopniu upodobniliśmy się do tych surowych mieszkańców północy. Z jakiegoś powodu zaczęli się rodzić inni Ukraińcy - ze świńskimi oczkami, zaokrąglonymi gębami bez wyrazu, o nijakim kolorze włosów, które istnieją tylko po to, żeby wyłazić. Wyraźnie naturalna chęć naszych przodków, aby możliwie jak najszybciej upodobnić się do wypindrzonych Wielkorusów, dała w efekcie pewne przystosowawcze mutacje. Nasze sławne praszczury i ich potomstwo energicznie pozbywali się kruczonych brwi, czarnych oczu, białych nóżek, miodowych usteczek i tym podobnych nacjonalistycznych atrybutów. Ostatnie siedemdziesiąt lat sprawiło, że ten proces stał się nieodwracalny. Niewiele trzeba, by się o tym przekonać: wystarczy przejść się nocą po Dworcu Kijowskim i popatrzeć na tych marnie odzianych śpiących grubasów: obywateli chersońskich, żytomierskich, winnic - kich, kirowogradzkich, zadupiopańskich, zapieprzeńskich, leninokurewskich, dżerżyńskochujskich i - a co tam! - także lwowskich...

Jakoś trudno mi wyobrazić sobie Estończyków, którzy upadli tak nisko, że śpią po moskiewskich dworcach. Łatwiej mogę sobie wyobrazić w tej roli na przykład Turkmenów. Ale na tym właśnie polega nieszczęście imperium, że postanowiło połączyć to, czego połączyć się nie da - Estończyków z Turkmenami. A gdzie na tej mapie jesteśmy my, Ukraińcy? Gdzieś pośrodku? Mało pocieszające. Bo na dzisiaj cała nasza europejskość polega, zdaje się, jedynie na tym, że spożywamy słoninę.

Teraz tutejszy byle szowinista z Bożej łaski zawsze może powiedzieć: „Da my jedyny naród] My wied’ daie wniesznie niczem nie otliczajemsial”. I słabe będą twoje argumenty mówiące o Filipie Orliku i kozackim baroku. Albo o Wedelu i spowitym w barwinek mieczu.

Bo szowinista tylko wskaże głową na tych śpiących grubasów, nieszczęsnych i ubogich, ale nawet nieświadomych swego nieszczęścia i ubóstwa. Tylko wskaże głową.

Dlatego, Wasza Królewska Miłość, Wasz powrót na Ukrainę uważam za konieczny i wręcz zbawienny. Wasz arystokratyczny juropejski imidż, Wasz błysk i Wasz I blichtr, Wasza charyzma (patrz słownik), Wasze Bogopo-mazaństwo mogą przyczynić się teraz do powstania nowego narodowego mitu, oślepiającego ideału; Wy zalśnicie blaskiem, stając się gwiazdą polarną dla wszystkich tych, których nazwiska kończą się na „-enko”, śpiących po moskiewskich, petersburskich, aszchabadzkich, sa-chalińskich, urengojskich, moczogońskich, krasnodups-kich dworcach<sup>1</sup>. Niecierpliwie oczekujemy na Wasz powrót i triumfalne wstąpienie na tron kijowski. Zawsze Warn oddany Otto von F., ukraiński poeta.

Ten list do króla Olelka Drugiego (Dołgorukiego-Rury-kowicza) ułożyłeś, siedząc już w autobusie linii 18, gdzieś pomiędzy przystankami Zaulek Gonczarowski-2 oraz Ulica Jabłoczkowa.

Do autobusu wsiadałeś zgodnie z instrukcją. Jest to bowiem sprawa wagi państwowej. Czekaając na przystanku autobusowym, należy wyjąć z kieszeni/torby bilet i trzymając go wysoko nad głową w wyciągniętej prawej ręce, wsiąść do autobusu. Już w środku bilet należy natychmiast skasować, posługując się w tym celu kasownikiem. O dokumentach uprawniających do wielokrotnego przejazdu należy głośno poinformować wszystkich obecnych. Kiedyś do autobusu wsiadły dwie miłe, subtelne panienki i obwieściły wszem i wobec: „Mamy miesięczne...”. Zgodnie z instrukcją.

Na przystanku Jabłoczkowa wepchało się, jak zawsze, pełno Wietnamczyków w radzieckich dziecięcych ubrankach. O czymś tam między sobą popiskiwali, ale ty zmuszony byłeś pospiesznie zakończyć układanie listu do Jego Królewskiej Mości, ponieważ znieacka uświadomiłeś sobie, że rozumiesz każde ich wietnamskie słowo.

- Słyszałeś, kochany przyjacielu, jak dziś o świcie wrzeszczała małpa w górskich lasach? - zapytał jeden.

- I małpa wrzeszczała, i bęben dudnił, i piłem ja do rana wino w chłodnej altance pod kwitnącą śliwą - odpowiedział na to drugi.

- I ja do rana zasnąć nie mogłem - tak szumiał bambus pod moim oknem, tak śpiewały różowe flamingi na jeziorach...

- Rozstając się z miłym kolegą, wielkim poetą i kaligrafem, skrzyknąłem ja śpiewaczki i urządziłem mu bankiet pożegnalny. Grały nam śpiewaczki na cytrach, graliśmy naszymi nefrytowymi członkami na śpiewaczkach, pięknie śpiewały śpiewaczki, delikatnie uszy nasze gryząc. Jedna z nich była lisicą, inna - przebraną księżniczką. Aż o świcie

wyjechał mój kolega, poeta i kaligraf, w swoje góry, długo się żegnał i łyżę jego z winem się zmieszały, i zabrał ze sobą lisicę, a mnie zostawił przebraną księżniczkę, ale kiedy wróciłem do chatki, ujrzałem tylko różowy lotos na łożu. Zniknęła księżniczka na wieki. A może nie było jej wcale?

- A pod pagodą Złotego Smoka odbywało się wczoraj święto Wędrownych Latarni. Wtedy widziałem, jak zgubiła wachlarz najpiękniejsza z cesarskich nałożnic. Mijała mnie jej orzechowa lektyka i wachlarz upadł na trawę. I nie zasnąłem ubiegłej nocy, wdychając wciąż aromat zgubionego przez piękność wachlarza...

- A bambus pod oknem szumiał do rana i słychać było, jak rośnie, wyrasta spod paznokci i dziurawi skórę...

- W siedemdziesiątym dokładniuszko tak samo wykończyłem Amerykanina: z dwudziestu metrów trafiłem go nożem między łopatki...

- A gdzie ukryliście wczorajsze ciało?

- Na razie leży w moim pokoju. Dzisiaj, kiedy się ściemni, spuszczę go razem z flakami do kanalizacji...

- On naprawdę chciał siłą odebrać skrzynkę wódki?

- Chciał kupować po trzydzieści leninów za flaszkę, ja sprzedawałem po trzydzieści pięć. No to stargowaliśL my na trzydzieści trzy i skrzynkę piwa też chciał kupić. Ale zobaczył, że jestem w pokoju sam... Nie wiedział, że kładłem Amerykanów, i to większych od niego. Pijany był, śmierdział wódką. Wielki biały worek..

- Bo czymże jest człowiek, jeśli nie ziarnkiem piasku, a świat tylko cierpieniem, i wszystko, co może nam dać - to odebrać istnienie...

- Tako rzecze Budda i tako nauczał towarzysz Ho Chi Minh...

I po tych mądrych słowach cała ta niewyspana hultajska zgraja wysiadła z autobusu. Któryś opowiadał, że żywią wielki szacunek dla wielkich białych braci. Podobnie jak i dla maleńkich czarnych owadów.

Przystanek Pierwszy Dmitrowski Zaulek.

Z przodu - szeroka, zalana deszczem perspektywa Butyrskiej. Z tyłu - szosa Dmitrowska, ale tam jechać nie warto, chociaż jest tam hotel Mołodioznaja, w którym Jeżewikinowi, jak sam opowiadał, zdarzało się czasem sprowadzać do pokoju aż dwie panienki naraz, delegatki na konferencję Komsomołu.

A propos. O miłości. Zdaje się, że Gala już przyjechała z ekspedycji. Może by tak wpaść? Po diabła łązić na bani, w dodatku z podwyższoną temperaturą, po tej nasiąkniętej wodą Moskwie? Nie mając od rana nic w ustach, prócz kilku płetw śniętej ryby w barze przy

Fonwizina? Jasne, trzeba zadzwonić do Gali. Jedna z twych miłości. Gra namiętności i subtelnych psychologicznych niuansów. Sadomasochistyczne etiudy. Scenki z życia zbrojeńców. Pojedynek egoizmów. Szkoła nowej miłości. Ech!...

Przystanek Zakład Trolejbusowy. Trolejbus zakładowy. Mało śmieszne.

Dokąd ty mimo wszystko jedziesz, von R? Nie zapominajże o dzieciach swoich przyjaciół, o Cyrylu, o tym, że dałeś słowo.

Widzicie, moje kochane wyrzuty sumienia, sprawa wygląda następująco. Istnieje tysiąc sposobów, aby trafić do Świata Dziecka. Na przykład nie wysiadając z tego autobusu, nie szwendając się nigdzie, arcycypokojnie dotele-pać się pod pomnik pieprzonego Dzierżyńskiego i - zerkając spod oka w prawo na architektoniczny kompleks Łubianki - zejść do przejścia podziemnego, aby wynurzyć się z niego dopiero przed Światem Dziecka. Można posłużyć się tym sposobem, tym bardziej że oto już przystanek Butyrska 46.

Ale jest jeszcze wiele innych, nie mniej ciekawych sposobów, kochane wyrzuty sumienia, lekarze sumienia. Na przykład wsiąść zaraz naprzeciwko Sawiołowskiego. Zadzwonić do Cyryla i uprzedzić go, że trochę się spóźnię, ale będę na pewno. Wsiąść do metra. Linią Sierpu-chowską pomknąć aż do stacji Borowicka, która znajduje się pod samym Kremlem. Z Borowickiej przejść na Arbacką, ale nie tę na linii Filowskiej, ale na Arbacko-Pokrowskiej, bo istnieją dwie całkiem różne Arbackie, podobnie jak dwie całkiem różne Smoleńskie, za co niektórym należałoby nieźle dać po uszach. Ale w latach trzydziestych właśnie w taki sposób chciano do reszty zmylić wywiad angielski.

Tak. Dworzec Sawiołowski już, gołąbku, przejechałeś. No cóż, wykładaj dalej. Ciekawe, jak, pijany mazgaju, dostaniesz się ze stacji Arbacka linii Arbacko-Pokrowskiej do Świata Dziecka?

Bardzo prosto. Wyjdę z Arbackiej na Nowy Arbat, to jest na prospekt imienia kutasa Kalinina, i pójde aż do kina Październik. Nawiasem mówiąc, tam, dosłownie zaraz obok, jest Melodia, skąd zabiorę w końcu moją kasetę z Oldfieldem. A wówczas popędzę w prawo. I tam, na cudownych starych uliczkach, w tym eklektycznym zabytkowym zespole zmurszałej moskiewskiej secesji, gdzieś obok ambasad Gruzji i Litwy, jest pewien fantastyczny budynek, z którego wyrastają drzewa. I w którym nikt nie mieszka. Oprócz Gali.

Ale Świat Dziecka, von F.! Jeszcze się do niego nie zbliżyłeś nawet na kroki Spoko, przyjaciele! Posiedzę u Gali z godzinę, może zjem śniadanie, zadzwonię do Cyryla, umówię się z nim na konkretną godzinę. Wówczas, przecinając ulice Worowskiego, Hercena i te de, obok cerkwi, w której Puszkina lekkomyślnie brał ślub, wyskoczę na Obwodnicę Bulwarową. A tam już bardzo prosto. Tam mam przed sobą cały wachlarz możliwości. Cały las

możliwości. Labirynt możliwości. Cośmy to, nawiasem mówiąc, przejechali? Wał Suszczowski? Nie, Suszczowski już był. Aha, Wad-kowski Zaulek.

Tak więc na Bulwarowej można pokonać dwa przystanki jakimkolwiek trolejbusem albo dojść na piechotę do stacji metra Puszczińska na placu Puszkina. A wówczas - już tylko jeden przystanek pod ziemią do Mostu Kowalskiego. I już. I wychodzę nieopodal Świata Dziecka, tyle tylko że z innej strony - nie od pomnika Dzierżyńskiego, a od pomnika Chujińskiego.

Choć na razie mijam dopiero Butyrski pierdel. Przypomina się z Andruchowycza: „Codziennie tu jeżdżę koło więzienia. Uczą mnie kochać cały ten kraj”. Ładne wersy, niech to diabli!

Ale istnieje jeszcze lepszy wariant. Na placu Puszkina nie trzeba zbiegać do metra. Można zaczekać na tę samą osiemnastkę, którą teraz jadę, i dotelepać się nią do wspomnianego już pomnika, nie będę już mówił, czyjego.

No, no, von F., daj ci Panie Boże nie zbłądzić z tego szlaku. Bo cała ta twoja wyprawa wygląda coś wielce wątpliwie. Przypominasz teraz pewien poemat Rimbauda. Tylko że z ciebie żaden statek pijany. W twoim przypadku „statek” brzmi zbyt pięknie. Pijany buldożer, oto czym jesteś.

I nie trzeba tak namiętnie chuchać w kark dziewczynie przed tobą. Chociaż na pozór przypomina dziwkę, mimo wszystko to jeszcze uczennica; o, ma nawet biały fartuszek. I niech ci nie przyjdzie do głowy zaczepiać ją w metrze. Ty przecież jedziesz do Gali! Hej, von F., stój, co z tobą, dokąd cię niesie?!

Szkoda, że uciekła. Zdawało mi się, że jej wargi to wiśniowe konfitury. Chciałem tylko je zlizać, nic poza tym. Czasem w życiu chce się człowiekowi czegoś słodkiego. Na przykład jakiegoś karmelka.

Ale wysiadłem w porę. Stacja Mendelejewska. Nazwana tak na cześć teścia Błoka. Czy imieniem mojego teścia nazwą jakąkolwiek stację metra? Wątpliwe. Zresztą teścia też już nie mam. Chociaż, zdaje się, grałem z nim kiedyś w szachy.

Gala podnosi słuchawkę, zanim jeszcze przebrzmi pierwszy sygnał.

- To ty...

- Ja.

- Co słychać?

- Przyjechałaś?

- Tak.

- Wpadnę...

- Do mnie? - maksymalna obojętność w głosie.
- Chcę się z tobą zobaczyć! - maksimum niecierpliwości i żaru.
- Wpadnij...
- Ale chyba nie bardzo masz ochotę?
- Przychodź już - westchnienie, znacznie mniej obojętności.
- Nie, jeśli masz się zmuszać, nie będę...
- Przychodź, czekam! - walka z obojętnością w głosie zwycięsko zakończona. Ale

rozmowa też.

Krótki sygnał. Tutejsze automaty telefoniczne umieją się znęcać w sposób dość wyrafinowany. A monet więcej nie ma. I to w chwili, kiedy serce ci krwawi.

I A Cyryl będzie musiał jeszcze trochę poczekać na twój telefon. Zresztą czasu jest jeszcze cały ocean. Raptem dopiero trzecia.

1 eraz, Wasza Królewska Mość, Przekacny Olelku Drugi, co nieco z historii moich miłości. Absolutnie Was to nie dotyczy, ale chcę, abyście, Wasza Szczerość, wiedzieli, jakie męki przeżywają Wasi wasale.

Moje nieszczęście polega na tym, że nie ożeniłem się w porę. Albo nie w porę się rozwiodłem. Ale to stało się jeszcze w innym życiu, w tych globosławionych - jak powiada pewien mój znajomy poeta - czasach, kiedy byłem nałogowym alkoholikiem. Bo teraz wziąłem się w garść i prawie nie chleję, a jeszcze tak ze trzy lata temu wszystkie izby wytrzeźwień Ukrainy znały mnie en face i z profilu. Potem jedna z tych kobiet, które włóczę się pod oknami tych przybytków i dobierają sobie wedle upodobania wyrzucanych stamtąd na asfalt nieszczęśników, zobaczywszy mnie, postanowiła dalej nie szukać. Wzięła mnie do domu, wykąpała, dała gorącej zupy. W nocy przyjrzała mi się lepiej. »O - ucieszyła się - jesteś jeszcze całkiem młody!» (A ja wówczas rzeczywiście nie miałem jeszcze trzydziestu lat...) Tak więc postanowiła przypisać mnie do swego łóżka. Marzyła, żebym w ogóle z niego nie wstawał. Kupowała mi wszystko: ubrania, jedzenie, nawet papierosy Kent, bo radzieckich papierosów nie brałem do ust. Całymi dniami chodziłem po mieszkaniu z kąta w kąt i myślałem tylko o niej. Dziwnym sposobem naprawdę skradła mi serce. Najmniej martwiło mnie to, że była dziesięć lat starsza ode mnie. W nocy, kiedy dogłębnie poznawaliśmy się dotykiem, różnica wieku była niewyczuwalna. W dodatku w tym samym mniej więcej czasie odwiedzałem pracownię mojego przyjaciela-artysty z pewną licealistką. Wika była z kolei o dziesięć lat młodsza ode mnie, co oznaczało, że natura sama narzuciła wszystkiemu mądrą równowagę. Mnie samego bardzo cieszyło, że rozpiętość wieku moich kochanek dorównuje całemu pokoleniu.



Licealistkę kochałem za to, że umiała słuchać. Moich wierszy nie lubiła i nie rozumiała, ale udawała, że szaleje za nimi. Sama marzyła tylko, żeby jak najszybciej paść na tapczan i zacząć się po nim tarzać. Właśnie wtedy rozmyślnie wybierałem długie i skomplikowane utwory, aby przedłużyć jej męki. Kiedy zabrakło moich, bo przecież nie jestem fabryką metafor, zacząłem niepostrzeżenie (i tak się w tym nie orientowała) odczytywać wiersze moich przyjaciół. Trzeba było widzieć, jak drżała, kiedy, ekstatycznie wzniosłszy oczy i podkreślając tonem głosu wszystkie znaki interpunkcyjne, zaczynałem wygłaszać jakiś pisany białym wierszem poemat objętości, powiedzmy, ośmiuset wersów. Kiedyś wpadła w histerię przy Jesiennych psach Karpat. Innego razu dostała orgazmu, słuchając utworu Futbol na klasztornym podwórzu. Promieniałem z zadowolenia.

Kiedyś urządziła mi scenę, dziecięco naiwną i zarazem potworną: oświadczyła, że przeze mnie do końca życia znieawidziła poezję. Ale to była ta słodka orgiastycz-na nienawiść. Jak się okazało, marzyła, że po skończeniu szkoły wyjdzie za mnie. Ja powiedziałem swoje „nic z tego”, chociaż bardzo ją lubiłem; ostatecznie zająłem się kobietą - nazwijmy ją panią M. - która wyszukała mnie sobie pod izbą wytrzeźwień.

Natura nie znosi jednak braku równowagi. Pani M. coraz częściej i z większą czułością wspominała swych poprzednich mężów i kochanków. Trudno pojąć, dlaczego. W dodatku działo się to w najbardziej intymnych chwilach. Co więcej, zaczęła niby przypadkiem nadawać mi imiona moich poprzedników. Niewielką pociechą było to, że - jak wyjaśniała - gustuje wyłącznie w pewnym typie mężczyzn, a ja bardzo ich przypominam. A ja - szczerze mówiąc - faktycznie wyglądam dość przeciętnie. Z nieznanых przyczyn moi rodzice nie wyprodukowali potwora z guzem na potylicy lub z rogiem na czole. Tak już jakoś wyszło. Ale mimo wszystko jestem przekonany, że, jeśli idzie o ducha, jestem absolutnie niepowtarzalny. Dlatego denerwowały mnie jej codzienne mimowolne pomyłki; ni stąd, ni zowąd powinienem był reagować na jakiegoś Waleriana, Oswalda czy też w ogóle Mychajłę.

Skończyło się tym, że nie wytrzymałem i odszedłem. W tym samym czasie z licealistką skończyliśmy właśnie Mahabharatę, którą ta małaletnia idiotka naprawdę uważała za mój utwór. Z Odyseją już mi się nie udało - okazało się, że jednak czegoś ją w tej szkole nauczyli. Zostałem zdemaskowany i pozostało mi tylko z godnością zerwać nasze stosunki na wieki.

Gorycz mojej ówczesnej egzystencji wymagała jakiegoś wyjścia. Porzucony i zdradzony niemal przez wszystkich, prócz kilku nieciekawych towarzyszy pijatyk, wybrałem w końcu ucieczkę do Moskwy. Przy okazji - moskalofilstwa, Wasza Królewska Surowość, nie ma we mnie ani za grosz. Gdybym wtedy mógł uciec do Kijowa, Rzymu, Norymbergi czy

San Francisco, noga moja nie powstałaby w Moskwie. Ale uciec można było tylko tu. Aby ukryć się na szóstym piętrze śmierzącego budynku niedaleko wieży telewizji Ostankino.

Moskwa podsunęła mi jeszcze kilka miłości. Na początku pewną panią krytyk, która objawiała się dwa razy do roku i z którą obejrzelśmy prawie całego Felliniego. Był to dosyć ciekawy przypadek - seks słowny. Nasze stosunki miłosne polegały na rozmowach. Do najdrobniejszych szczegółów wysysaliśmy jakiegoś Casanovę czy też, powiedzmy, markiza de Sade'a, sypaliśmy cytatami z Rozanowa, Freuda i Sołowiowa, nasze języki, zwilżone lepką, słodkawą śliną, zastąpiły nam cały kompleks zmysłowo-cielesnych zaspokojeń. Te rozmowy trwały gdzieś do drugiej w nocy, aż kompletnie wyczerpani, ale szczęśliwi rozchodziliśmy się do swoich pokojów. I ani razu nie spaliśmy ze sobą. Tak bardzo wyczerpywały nas te analizy. Tak okazywały się samowystarczające. Jeśli idzie o nią, miałem kilka osiągnięć. Nauczyłem ją, na przykład, rozróżniać pojęcia „fallus” i „penis”. Wcześniej sądziła, że to synonimy.

Podczas jednego z jej najazdów przytrafiła mi się Aleksandra. Od czasu do czasu obie spotykały się w moim pokoju. Wtedy każda rozpoczynała przebiegłą grę, wyczekując, kiedy ta druga się zabierze. Ja parzyłem herbatę i paliłem papierosy. W duchu zdumiewałem się własnym skurwysyństwem. Bo chyba żadna nie mogła wyjść z tej rozgrywki zwycięsko. Ich pragnienia nie pokrywały się; każda otrzymywała to, czego chciała.

Do zbliżenia z Aleksandrą doszło na płaszczyźnie katolicyzmu. Z pasją neofitki zgłębiała liturgię obrządku rzymskiego, niemal codziennie odwiedzając dotychczas chyba jedyny w Moskwie kościół św. Ludwika. Tam mili młodzi księża wiedli z nią rozmaite zbawcze dyskusje, zaszczepiając jej upodobanie i pociąg do ascezy. Toteż wkrótce stało się jasne, że - poprzez stłumioną fascynację sympatycznymi ojczulkami - rozgorzała w niej nade wszystko idea ascetycznego samodoskonalenia, co nie wychodziło na dobre jej studiom ukrajoznawczym. Z czasem coraz bardziej przypominała zakonną nowicjuszkę, skupioną wyłącznie na obcowaniu z Wielkim Misterium. Starłem się wygrać pojedynek z ojczulkami, wciągając ją w rozmaite erotyczne spektakle i epatując sprośnymi tekstami. Ale to nie był ten przypadek. Zazwyczaj nie przychodziła na spotkania, wymyślając później dość oczywiste kłamstewka, co według niej zapewne nie było grzechem.

Ale kiedyś późnym wieczorem, gdy nasza rozmowa na temat znaczenia charyzmy i nabytej poprzez doświadczenie prawości dojrzała, jak się zdawało, do ostatecznego kresu, sama wyłączyła w pokoju światło i zapaliła ogarek świeczki. Widzisz, samo istnienie stygmatu na ciele faktycznie może być znakiem Łaski, ale może też oznaczać jakiś początek trudnych prób” - szeptałem bez tchu, na siłę ściągając dziecięcy staniczek z jej prawie

niewidocznych piersi. „Głupi jesteś” - odpowiedziała, a ja już nie miałem głowy, żeby wyjaśniać, czemu to właściwie jestem głupi: czy głupio gadam, czy mądrze, ale nie w porę...

Aleksandra okazała się w miłości dosyć pomysłowa i dynamiczna. Istna Joanna d'Arc! Albo święta Teresa! Czegoś podobnego nie mogłem sobie nawet wyobrazić, toteż nad ranem ogarnęły mnie nawet wątpliwości, czy naprawdę udało mi się zwyciężyć w tym pojedynku z młodziutkami polskimi księżmi, jej przewodnikami i nauczycielami.

Jak się potem wyjaśniło, zdążyła nawet być już kiedyś zamężna. Przekonawszy się, jak naiwne były moje pierwotne zamiary powolnego pozbawiania jej dziewictwa, niespodziewanie dla siebie samego ochłonąłem i obojętnie obserwowałem w sobie zanik uczuć. Serce nie skakało mi już do gardła, kiedy gdzieś na korytarzu akademika krzyżowały się nasze drogi. Choroba minęła dość bezboleśnie. W tym samym czasie spotkałem Astrid. Ale wówczas znałem już Gałę.

Gdzieś niedługo przed sylwestrem jechaliśmy w tym samym przedziale. Ja do domu na wakacje, ona w Karpaty na narty. Typowa moskwianka, o nieco lekceważącym stosunku do Ukraińców, przez całą drogę starała się żartować z języka ukraińskiego, ale zdołałem chyba przełamać jej chach-łacki stereotyp. Już koło Lwowa zainteresowała się, czy uprawiam sport, a jeżeli nie, to czy chciałbym po powrocie do Moskwy chodzić na basen. Bo ona jest rzekomo w stanie zorganizować mi taką przyjemność. Resortowy basen! Nade wszystko jednak pociągał mnie jej zawód. Jeżeli nie liczyć W dość pospolitej urody. A z zawodu była łowcą węży. Wtedy, w pociągu, zapisałem sobie jej telefon.

Jednak nie skorzystałem z niego od razu, bo na mojej drodze ni stąd, ni zowąd pojawiła się Astrid. Pół-Polka, pół-Szwedka, ale obywatelka Ameryki. Akredytowana w Moskwie z ramienia jakiejś agencji informacyjnej. Muszę powiedzieć, że na wystawie Memoriału, którą fatalnym zrzędzeniem losu postanowiłem obejrzeć, żaden eksponat nie wywarł na mnie takiego wrażenia, jak ona. Proszę mnie dobrze zrozumieć, Wasza Królewska Przenikliwość, ona nie była eksponatem. Była po prostu jedną ze zwiedzających, która zwracała uwagę niezgrabnymi ruchami i okropnym rosyjskim. Poczynając od tego dnia, przeżyłem wszystkie stadia szaleństwa, kiepskiego melodramatu w iście zachodnim stylu.

Spotykaliśmy się na różnych stacjach metra, zawsze na innej. Przez te półtora czy dwa miesiące udało mi się przyswoić prawie cały system nagrodzonego Orderem Lenina moskiewskiego Metra imienia Lenina (Kaganowicza). Potem piliśmy. Okazuje się, że w Moskwie można kupić wszystko - dowolny napój alkoholowy - od martela do malibu. Teoretycznie wszyscy o tym wiedzą, praktyczną wiedzę mam tylko ja. Gromadziliśmy pełne torby przepięknych w formie i treści kolorowych butelek, żartując, że nowe wino należy

wlewać do nowych bukłaków; ładowaliśmy fantastyczną jak dla mnie forszę w taksówki, wykonując kolosalne rajdy po różnych dzielnicach megalopolis, a później robiliśmy desant na kolejny kwadrat, gdzie rozkładaliśmy swoje torby, pardon, bukłaki wprost na podłodze i urządzaliśmy jakąś niesamowitą starorzymską orgię, nieuchronnie kończącą się śpiewem i rozbijaniem butelek o ściany. Podobało mi się z Astrid. Jeszcze nigdy nie czułem się tak lekkim, wolnym i beztroskim obywatelem świata. Otworzyła przede mną cały matecznik nieznanej mi wcześniej Moskwy - walutowej, z hotelami i barami, do których wnikałem, mijając oficerów po cywilnemu, hardo udając głuchoniemego Belga, gdy tymczasem ona butnie wymachiwała przed ich kapitańskimi nosami wachlarzem swoich zaświadczeń - i sezam otwierał się, rozbłyskiwały lustra, grube dywany tłumily nasze kroki, dwupokojowe apartamenty pachniały syberyjską tajgą lub kolumbijską selwą - zależy, jaki nacisnąłeś guzik - i siedemsetletnie bawarskie piwo lówenbrau można było zamówić bezpośrednio do pokoju. Kasę, rzecz jasna, trzymała Astrid. Z nią poznawałem całą mądrość zen, jak również starą komunistyczną mądrość mówiącą „dwa światy - dwa sposoby życia”.

Ponieważ byliśmy wiernymi poddanymi Jego Królewskiej Mości Alkoholu (uchowaj Boże, to żadna aluzja!), wier-nopoddańcza służba Seksowi nie za bardzo nam wychodziła. Z reguły zasypialiśmy pośród pustych butelek, na wpół objęci, niczego poważniejszego w tej dziedzinie jednak nie osiągając. Bywało, że pełzaliśmy po sobie, płacząc nasze włosy z włosiem dywanów, a nogi stołów z nogami kelnerów. Bywało, że rzygaliśmy. Kiedyś spróbowaliśmy wspólnej kąpieli, ale poranek zastał w wannie tylko mnie, w ubraniu, natomiast ona - całkiem naga - leżała obok na posadzce, ze skórą odcisniętą we wzorki z terakoty. Bardzo nas to śmieszyło. Astrid powtarzała, że tak właśnie dzięki niej śmierdzący, przeklęty, niesprawiedliwy, obzarty burżuazyj-ny Zachód podzieli się (za moim pośrednictwem) swoim zasranym bogactwem z niedożywionym i okaleczonym Wschodem. Braliśmy zatem udział w akcji o wielkim, ogólnoswiatowym znaczeniu.

Kres temu wszystkiemu położyła Gala, z którą wtedy zacząłem się równocześnie spotykać. Nie odpowiadała jej moja nieodmiennie zapuchła gęba, wieczna senność ze znaczną domieszką otępienia, nieprzekonujące wyjaśnienia na temat jakiejś powieści poetyckiej, która rzekomo pochłania wszystkie moje siły, a przede wszystkim odbiera ochotę, by pozostać u niej na noc. W końcu rozpoznała we mnie nałogowego alkoholika i zaczęła grozić znajomym specem od uzależnień, jakąś diabelską odwy-kówką i przymusowym leczeniem. Pewnego dnia, nie szczędząc nerwów, wysłodziła mnie z Astrid i sprąła po mordzie przed hotelem Rosja. Astrid długo nie mogła zrozumieć, co się dzieje i kim jest ta niesamowita rosyjska kobieta. Kiedy wreszcie pojęła, zaczęła rechotać, no, po prostu konała ze śmiechu.

Zaproponowała nawet, żebyśmy się spotykali nadal, we trójkę. Ale na próżno. Po tamtym wieczorze nigdy więcej jej nie zobaczyłem. Myślę, że już nie ma jej na świecie. Podejrzewam, że Gala podrzuciła jej jedną ze swoich podopiecznych - kobrę. Jad działał błyskawicznie. Nikt z hotelowej służby nawet się nie domyślił, jaka jest prawdziwa przyczyna śmierci Astrid. Odtransportowano ją do Ameryki samolotem, z przesiadką w Paryżu. Udało mi się stanąć znowu na nogi, ale Gali długo nie mogłem tego wybaczyć. Jestem więcej niż pewien, że ona kiedyś napuści swoją żmiję także na mnie. Oto do jakiej kobiety teraz jadę, Wasza Królewska Mość. I niech was Bóg strzeże przed takimi poplątanymi relacjami z babami, jakie przypadły mi w udziale, przepraszam, bardzo proszę.

wto i on, ten dom-ruina, dom-inwalida, dom, z którego wyrastają drzewa, dom-stara forteca, dom, w którym nikt nie mieszka, oprócz jednej wariatki, kochającej się w jadowitych gadach i w tobie, von F. Może twój język już dawno się rozdzielił, rozmiękł w alkoholu i popękał od łągarstw? Ale budynek jest ładny. Właśnie teraz, kiedy ledwie stoi, z dziurami okien i kruszącymi się balkonami, w deszczu, który nie chce minąć. A w ogóle to co z tą rudera zrobić? Wyburzyć? Szkoda: unikatowy przykład secesji, początek stulecia, rozkwit kapitalizmu w Rosji, srebrny wiek dekadentów, wyznawców Nietzschego, Tołstoja, Sołowiowa, Euroazjatów, mistycznych anarchistów, młodych samobójców i Bóg wie kogo jeszcze. Odrestaurować? Nie ma komu. Wszyscy budowlańcy stoją w kolejkach po flaszkę czerwonego mocnego. W związku z taką specyficzną sytuacją starą Moskwę restaurują Finowie albo Turcy. Zwłaszcza Turcy - nasi dobrzy południowi sąsiedzi, pracowity naród, którego nazwa jest dla nas synonimem „jołopa”. Ale tylko oni mogą ocalić Moskwę, jak kiedyś gęsi uratowały Rzym, przed ostatecznym rozpadem i zapuszczeniem.

Ale najważniejsze, że u Gali dotychczas nie odłączyli światła, wody i gazu. I dopóki tak będzie, ona tu zostanie, bo dokąd ma pójść. Sama w pustym, rozsypującym się domu. Zasluchana w nocne wrzaski kotów. Nieustraszona i cudownie wytrenowana. Strzeżona przez ukochane żmijki, syczące wtterrariach...

Otwiera ci drzwi i szybko - trochę nawet zbyt gwałtownie - wraca do pokoju. Żadnych objęć, pocałunków, gorących łez, aaa, przyszedłeś, no i czort z tobą, mokry jak szczeniak, nie ogolony, przypomniałeś sobie, że istnieję, a mnie wszystko jedno, czy jesteś, czy nie, nie trzeba mnie uszczęśliwiać... Przedzieram się przez krzaki jemioly, które wybujały przed progiem, i wchodzę. Zamieszkały jest faktycznie tylko jeden pokój. A korytarz jest pusty, jeżeli nie liczyć szklanych skrzynek. Ale w półmroku żmij nie widać. Słysząc jedynie jakiś monotony syk, ale może to syczy topiąca się margaryna na grożącej wybuchem kuchence.

- Chyba jestem chory, Galu - mówisz drżącym głosem, niczym marny aktor tragiczny.  
- Jeśli pozwolisz, wezmę u ciebie gorącą kąpiel. Można od ciebie zadzwonić? O, popijasz sobie?...

Coś takiego zdarza się jej od czasu do czasu. Kupuje sobie butelkę albo dwie i pociąga po cichu. A ty z początku nawet nie zauważyłeś, że jest już nieźle wstawiona. I wygląda nie najlepiej: sine obwódki pod oczami, podomka, narzucona na koszulę nocną, nie zasłane łóżko, bajzel w pokoju.

- Stało się coś? - pytasz i zrzucasz na podłogę płaszcz, ciężki, jak powiedział poeta, od deszczu niczym sztandar.

- No, ty też dzisiaj nie wylewałeś za kołnierz - słyszysz wreszcie jej głos.

Notabene, jak nikt inny Gala potrafi rozpoznać, czy coś piłeś, czy jeszcze nie.

- Co prawda, to prawda - mówisz już z łazienki, odkręcając gorącą wodę. - Wiesz, poczułem, że gorączka mnie bierze i profilaktycznie wypilem trochę...

Wracasz do pokoju i spod stosu szmat odkopujesz jej dwukasetowy magnetofon. Znanymi ci majteczkami wycierasz go z kurzu.

- Wziąłem ostatni koncert Mikę'a Oldfielda. Posłuchamy?

Ona oczywiście ani mru-mru, ze zmarszczoną brwią trzyma w ręce szklankę z wódką, ale zaczyna się muzyka - gitary, flety, bębny, klawesyny, w łazience ciurka woda, anielskie chóry wzywają żeglarzy do odkrywczych wypraw na nowe egzotyczne lądy, karawele przybijają do wilgotnych południowych wysp, wykręcasz numer Cyryla.

- Otto? Wspaniale! Gdzie ty się podziewasz, jak długo jeszcze mamy na ciebie czekać? - wybucha zamiast powitania Cyryl.

- Za dwadzieścia minut będę u ciebie - uspokajasz go.-Zeszli się tu prawie wszyscy: Omelan Porfirowicz, Luba, Andrzej... Przez ciebie tylko tracą czas, Ottonie! W ten sposób nigdy nic sensownego nie zrobimy! Gdzie teraz jesteś?

- Na pewnym przystanku autobusowym, stary...

- Na jakim przystanku, gdzie?

- Co to ma za znaczenie, Cyrylu? Najważniejsze, że zaraz będę!

- Okej, dobra. Czekamy jeszcze dwadzieścia minut. Nie więcej.

- Nawet mniej. Będę szybciej niż za dwadzieścia minut.

- Okej, czekamy!

Krótki sygnał w słuchawce. Tak. Jedna sprawa załatwiona. Siadasz do stołu, bo Gala skinieniem wskazuje ci szklankę.

- Wypij - mówi.

- Wódka piosz, świnia letajesz - wygłaszasz starą uzbecką mądrość.

Wódka przechodzi dość gładko. Teraz eine kleine Ziga-rette i szust do wanny. I do diabła z tamtymi. Nikt cię tutaj nie znajdzie. Można siedzieć latami. Dopóki Turcy nie wyremontują budynku. Dopóki nie nastanie nowy srebrny wiek.

- Co słychać, Galu?

- Wczoraj wróciłam z Azji Środkowej.

- Jakież sukcesy?

- Kilka młodych ef. Niedawno się wykluły. Mniej więcej dwa tygodnie temu.

- A co będziesz robić, kiedy rozpadnie się wasze imperium? Dokąd pojedziesz szukać ef? Do obwodu pskow-skiego?

- Pytałeś mnie o to już ze sto razy - krzywi się ona.

- I sto razy nie usłyszałem twojej odpowiedzi. Czemu pijesz?

- Nastrój. Nic się człowiekowi nie chce. Nalej jeszcze. To nie jest ostatnia butelka.

- Jak ci się podoba Oldfield?

- Doszłam do wniosku, że nie powinieneś tu więcej przychodzić. A w ogóle - to wykreślałam cię z mojego notesu. Kap się i wynoś się precz.

- Naturalnie. Nawiasem mówiąc, i tak powinienem iść. Muszę kupić w Świecie Dziecka prezent dla dzieci moich przyjaciół. A dzieci moich przyjaciół są moimi dziećmi.

; - Mało zabawne.

- - Wiem, Galuniu.

Zapala papierosa, niepewnie podnosi się z za stołu i chwiejnie dociera do okna. Pali i patrzy przez okno. Przy akompaniamencie Mike'a Oldfielda.

- Masz już kogoś, Galu?

Małeńka gliniana waza, która zawsze stała na parapecie, leci bez uprzedzenia w kierunku twojej głowy. W ostatniej chwili robisz unik niczym utalentowany bokser. Z Galą tak bywa. Ładna była ta waza.

- Przyszedłeś, żeby się poznęcać?

- Głupie pytanie! Oczywiście! Dzięki temu tylko żyję, że wysysam z ciebie krew...

Zielona jednorazowa zapalniczka przelatuje koło twojego ucha. Mikę Oldfield bawi się tamburynem i kasta-nietami. Następne polecą pewnie żelazko. Trzeba bardziej uważać na słowa, człowiek nie za bardzo chciałby dostać nim w skroń.

- Ostatnim razem, kiedy tu byłeś, potraktowałeś mnie jak dziwkę... Dostałeś swoje - i poszedłeś. Przepadłeś na dwa tygodnie...

- Pisałem powieść poetycką, Galu.

- Pisałeś! Mógłbyś po prostu zadzwonić. Przecież ja ciebie nie trzymam!..

Jednak za dużo wypła. I to żelazko stoi za blisko. A wanna już chyba pełna...

W istocie! W wannie paruje cudowna, rozkoszna, gorąca woda, którą tak lubisz. Z pokoju dolatuje jej głos:

- Żyj sobie, jak chcesz! Będziesz potem na tej swojej Ukrainie opowiadał, jak to miałeś tutaj jedną durną ka-capkę...

- Nie jedną, Galu, nie jedną - odpowiadasz już nagi, wchodząc do wanny.

W pokoju coś się rozbija. Ale to nie żelazko. Starasz się zgadnąć, co. Niech to diabli, ale łupie w skroniach. Naciągnęłoby chyba ze trzydzieści osiem stopni. Nawet piczy włos więcej, jak mówią twoi rosyjscy znajomi. Przymknąć oczy i myśleć o czymś wzniosłym. Szkoda, że nie zabrałeś ze sobą szklanki z wódką. Bo nasi przodkowie - sławni Kozacy - wypędzali nią wszelkie choróbska. Okowitą i gorącymi kąpielami. Ale na wyprawach nie pili. Za picie karano kijami. A ty dzisiaj podczas marszu nażłopałeś się jak świnia. Kijami go, kijami sukinsyna!

Otwierasz oczy. Po rurze pełźnie żmija. Może chce wskoczyć ci do wanny. Ale jak żmija może skoczyć? Do tego potrzebne są jakieś nogi. A żmije nóg nie mają, z wyjątkiem miedzianek. Ona nie chce skoczyć, chce po prostu wpaść ci do wanny. Ześliznie się trochę po rurze - i po zawodach.

- Galu! - wołasz. Jak w studnię.

- Galu, weź stąd tę żmiję!

Pijana, ale jednak się przestraszyła. Przyszła i siadła na podłodze. Ręką pluska w wodzie.

- Jaka żmija, co ty bredzisz? - pyta jakimś strasznie zmęczonym głosem.

- Tam, widzisz, na rurze? Efa! - Chce ci się śmiać, nie możesz się powstrzymać, aż omdlewasz z rechotu. - Efa! Młoda efa! Tam jest, suka! - Prawie pękasz ze śmiechu.

- To izolacja, kretynie - mówi szeptem Gala i zaczyna obsypywać cię pocałunkami.

Jej rozpuszczone włosy unoszą się na wodzie. Całuje cię w głowę, tylko w głowę, śmiech ci przeszedł i ogarnia cię zdziwienie: czy można aż tak kochać czyjąś głowę? Jeszcze żeby muskuły, ścięgna, klatkę piersiową, pachwinę. Ale głowę? Coś podobnego już dziś było - gorąca woda, pocałunki. Najważniejsze, żeby leżeć pokornie i nie ruszać się, bo jeśli teraz dobierze się do twoich ramion i piersi, to ani chybi podrapie cię i pogryzie. Ma taką osobliwą cechę. Po spotkaniach z nią zawsze chodziłeś ozdobiony śladami jej namiętności, jak nieszczęśnik wypuszczony z izby tortur. Jej po prostu potrzebny jest jakiś dobry i czuły



masochista, bez nałogów, materialnie zabezpieczony, o spokojnym usposobieniu. I będzie szczęśliwa. Niewątpliwie będzie. Twoja dusza ci to mówi.

- Co tam na dworze? - pytasz między jednym a drugim pocałunkiem.

- Deszcz - odpowiada i wreszcie sobie idzie. Jeszcze trochę sobie poleżeć - i w drogę. Woda i tak stygnie, kasetą kończy się połączonym chórem Indian i konkwistadorów, wódkę Gala wykończy we własnym zakresie, nawet jeśli ma gdzieś zachomikowaną jeszcze jedną butelkę. Moje chłopaki oddają życie za wódkę, a ona tutaj pozwala sobie rzucać butelkami w ścianę!

Wypuszczasz wodę w podziemne światy. Wycieka z głuchym pomrukiem. Zegnaj, wodo, ukochana cieczy, byłaś dla mnie jak kochanka, spędziłem z tobą urocze pół godzinki, do następnego spotkania!

Obok wanny leży przyniesiony przez Galę wielki puszysty ręcznik. Wody nieubłaganie ubywa i nie ma na to rady...

Ale dalej stoisz w wannie, przy tobie znów jest Gala, wyplątuje cię z ręcznika, pochyla się i unieruchamia przyciśniętego plecami do kafelków, rękami opiera się o ścianę, uchyla się trochę, ale jesteś prawie gotów, Gala zaczyna szukać czegoś ustami, wreszcie znajduje, a ty aż zamykasz oczy. I jest w tym wszystkim tyle namiętej czułości, nieustępliwości, ale też tęsknoty, czujesz się, jakby ci zadawano gwałt, usiłujesz skupić się tylko na własnych odczuciach, na muzyce, która zamiera w pokoju, ale po twojej twarzy błąka się lekki uśmiech i chcesz tylko kochać, kochać, kochać, masz ochotę zaśpiewać hosannę jej ustom, bo ona cała jest wargami, językiem; przypomina to ćwiczenia na flecie prostym, wzbierasz jak fontanna, trwa I to niemal wieczność, bo tam, w pokoju, karawele mają czas powrócić z wyprawy, dobywa się z ciebie głos, i nie tylko głos, kipsisz i eksplodujesz, bo jak każda wieczność i ta ma swój kres...

Ona owija cię ręcznikiem i wychodzi bez słowa.

- No i co, skończyła się kasetą? - pytasz, wracając już ubrany do pokoju.

- Nigdzie nie pójdziesz - odpowiada Gala. - Proponuję, żebyś nigdzie nie szedł. Rzeczywiście masz wysoką temperaturę. Zaraz usmażę jajecznicę, a ty się kładź. Powinieneś poleżeć. Nie możesz teraz nigdzie iść, na dworze pada deszcz. Nie będę ci przeszkadzać, po prostu sobie pośpisz. Należę ci jeszcze, ale koniecznie musisz się położyć, bo inaczej wódka nie zadziała. Możesz spokojnie zostać tu do jutra, bo powinieneś się wygrzać, skoncentrować się tylko na leżeniu. Jutro jest przecież niedziela. Poleżysz sobie sam. Mam rozkładane łóżko, będę obok, po prostu będę obok, podam ci, co zechcesz. Mogę przynieść coś z apteki. No, nie idź, dobrze?...

- Wiesz, Galu, po wódce chyba nie powinno się nic zażywać - zaczynasz w zamyśleniu, ale ona przerywa:

- No dobrze, lekarstw nie trzeba. Pójdę tylko poszukać dla ciebie miodu, mleka...

- A oprócz tego - kontynuujesz - mam kupę spraw. Muszę być wieczorem w akademiku...

- Co, znowu na dwa fronty? W akademiku! Już się na dzisiaj umówiłeś? Tak?

- A co to ma do rzeczy? Wiesz przecież, piszę powieść poetycką...

- Dam ci papier, pióro. Pisz tutaj. Będę jak myszka, w niczym nie będę ci przeszkadzać. Położysz się w ciepłej pościeli i będziesz sobie pisał nawet do rana...

- To niemożliwe, Galu. To bardzo subtelna materia. A dla mnie sprawa życia i śmierci. Nie mogę ci tego tak po prostu wyjaśnić, ale muszę iść. Krótko mówiąc, pójdę już, dobrze?

- Nie! - krzyczy jak szalona i rzuca się na ciebie. To silna kobieta, dobrze wytrenowana, dobrze pijana.

Padacie na podłogę, na mokry płaszcz, w którym przyszedłeś. Gala bije cię w twarz na odlew, tłucze łokciami, drapie. Trafia w podbródek, aż przygryzłeś sobie język i dodaje ci to nagle siły. Wydobywasz się spod niej i choć usiłuje złapać cię za nogę, udaje ci się jednak kopnąć ją w żebra, a wtedy tracisz równowagę i znów padasz jak długi. Ciągnie cię za sweter, pod swetrem trzeszczy w szwach koszula, wreszcie znajduje twój bezbronny obojczyk i wpija się weń zębami. Niemal odruchowo walisz ją kolanem w pierś, co na chwilę pozbawia ją oddechu. Z trudem udaje ci się stanąć na nogi i uderzyć ją w szyję kantem dłoni. Ale ona, podnosząc się, uderza cię z byka między nogi. Z bólu tracisz prawie przytomność, nie pozwalasz sobie jednak ani na chwilę słabości, oznaczałoby to pewną śmierć. Odbijasz się od niej nogami, nie dopuszczając zbyt blisko, choć to niewiele pomaga, dziewczyna chwytając przewrócony taboret i zaczyna tłuc cię nim po nogach. Z taboretu odlatuje noga, próbujesz się w nią uzbroić, ale ona rzuca w ciebie szczątkami stołka, chwytając odłamaną nogę i zaczyna wywijać nią jak szermierz. Zasłaniając się złapaną z łóżka poduszką, skrucasz dystans i przyłapawszy ją na niebacznym odsłonięciu, wyprowadzasz w końcu swój sławny, znany jeszcze z lat szkolnych prawy hak, który ongiś zapewnił ci niejedno zwycięstwo na regionalnych i strefowych turniejach.

Dziewczyna leci w przeciwny narożnik. Sędzia liczy do dziesięciu. Nokaut.

- To już po wszystkim, Ottonie? - pyta po chwili, żałośnie pociągając nosem. - To już koniec? Pytam cię: koniec? Nie przyjdiesz więcej? Nie przyjdiesz? Pytam cię: koniec? Odpowiadaj: koniec?

- Zawsze będę cię pamiętał - odpowiadasz, drżącymi z wysiłku rękami poprawiając poszarpaną koszulę. - Jesteś moją najcudowniejszą miłością. Chciałem, żeby ci było ze mną dobrze...

Ona zaczyna cichutko płakać, ale ledwie udaje ci się zamknąć za sobą drzwi na tonący w półmroku korytarz, tępo uderza o nie coś ciężkiego. Ani chybi żelazko.

Ale jesteś już poza zasięgiem, bohaterze.

v>zasem pożytecznie jest spojrzeć na zegarek. Bo zacinający z niebios deszcz sprawia wrażenie, że czas stanął w miejscu. A czas - jak się okazuje - wcale się nie zatrzymał, jest już prawie wpół do piątej. I jeżeli ktoś chce wpaść bodaj na chwilę do Świata Dziecka, niech się pośpieszy.

Tymczasem, von F., zróbmy sobie coś w rodzaju podsumowania. Rzeczywiście wyszedłeś od Gali, nie - wyrwałeś się na wolność. Faktycznie stoisz na deszczu i z rozrzewnieniem rozmyślasz o nieszczęśliwej miłości, o samotności, o specyficznym kobiecym okrucieństwie. Poza tym obmyślasz swoje dalsze kroki, trochę niepewne po alkoholu.

Albowiem, mimo krwawo okupionej wolności, masz na koncie pewne dotkliwe minusy. Po pierwsze, straciłeś płaszcz. Pozostał u Gali jako jej zakładnik. W każdej chwili może go pociąć nożem albo oblać benzyną i spalić. Taki seans czarnej magii, święta zemsta. Mknij sobie teraz pod oknem i dzwoń zębami w samym swetrze. Po drugie, kasetka z najnowszym koncertem Mikę'a Oldfiel-da. Ta strata jest znacznie poważniejsza; przecież bez muzyki, bez twojej ulubionej muzyki jesteś, von F., nikim i niczym. Bez muzyki jesteś tylko tanim sukinsynem, egoistycznym potworem, ograniczonym i zakochanym w sobie bydlakiem. Z nią jesteś poetą, geniuszem, miłującym ludzi mędrcom; tylko muzyka nadaje sens twojemu ponuremu, pomyłkowemu i w gruncie rzeczy przypadkowemu istnieniu, głupi ośle. Muzyka daje ci szansę uratowania przynajmniej kawałeczka twojego na wskroś grzesznego, nikczemnego ciała. A ty ją porzucasz, zostawiasz tam, gdzie nie trzeba.

I wreszcie strata jeszcze straszliwsza. Gala. Przecież teraz, po tym jak jej dałeś pięścią w pysk, nie ma co liczyć na jakieś przywrócenie stosunków, wybaczenie i uspokojenie, nawet na zwykłą ludzką przyjaźń. Raz na zawsze zatrzaśnięto przed tobą jej drzwi. Znowu okazałeś się niegodny kobiety, która dla ciebie była gotowa na wszystko, nawet zabić cię w wyrafinowany sposób, za pomocą jadu żmii. Nigdy już nie spotkasz takiej kobiety. Niewątpliwie podarowały ci ją niebiosy. Lekceważąco i jak prostak odrzuciłeś ten dar. Jednym jedynym, ale za to potężnym i celnym ciosem pięści. Zasługujesz, żeby cię wykastrować, przyjacielu von F. Albo rozerwać pomiędzy dwoma młodymi drzewami.

Płaszcz, kaseta, Gala. Całkiem sporo jak na jeden dzień. Który, nawiasem mówiąc, jeszcze się nie skończył. I wleciesz się na spotkanie nowych strat, w swetrze, wystawiony na deszcz, a naprzeciw wychodzi ci Moskwa - kulawa, mokra, bekająca, z weteranami, Murzynami, Ormianami, Chińczykami, komuchami, fanami Spartaka w czerwono-białych kapeluszach, sierżantami, recydywistami oraz tymi, co chodzą pod Lenina. A ty idziesz z wielką torbą na prezenty, chociaż wiesz doskonale, że kupienie komukolwiek jakiegokolwiek prezentu jest dzisiaj w Moskwie prawie niemożliwe. To miasto nie potrafi już robić prezentów. To miasto strat.

To miasto tysiąca i jednej katowni. Ważna forpocza Wschodu chroniąca przed podbojami Zachodu. Ostatnie miasto Azji, od którego pijanych koszmarów uciekali w panice zdegenerowani i zgermanizowani monarchowie. Miasto syfilisu i chuliganów, ulubiona bajka uzbrojonych łotrów. Miasto bolszewickiego empire'u z wysokimi poczwarami narkomów, z tajnymi bramami, zakazanymi alejami, miasto obozów koncentracyjnych, celujące w niebo iglicami skamieniałych gigantów. Lokatorzy tutejszych więzień mogliby dorównać liczebnie niejednemu z europejskich narodów. Miasto granitowych inicjałów, marmurowych kłosów i pięcioramiennych gwiazd wielkości słońca. Ono potrafi tylko pożerać, to miasto zarzyganych podwórek i pochylonych drewnianych parkanów w zasypanych topolim puchem zaułkach o despotycznych nazwach: Sadowo-Czielobitiewskij, Ku-tuzowo-Tarchannyj, Nowo-Pałaczowskij, Dubinowo-Za-szybiej ewskij, Mało-Oktiabrsko-Kładbiszczenskij...

To miasto strat. Dobrze byłoby zrównać je z ziemią. Zasadzić znowu senne fińskie lasy, które rosły tutaj wcześniej, wyhodować niedźwiedzie, łosie, sarny - niech pasą się dookoła porośniętych mchem kremlofskich ruin, niech pływają okonie w przywróconych do życia moskiewskich wodach, dzikie pszczoły niech w skupieniu gromadzą miód w głębokich pachnących dziuplach. Trzeba tej ziemi dać odpocząć od jej zbrodniczej stolicy. Być może później będzie ona zdolna do czegoś pięknego. Bo przecież nie może wiecznie zatruwać świata bakcylami zła, ucisku i agresywnego, tępego niszczenia!

I na tym, moje panie i moi panowie, polega największe zadanie, taki jest niezbędny warunek przetrwania ludzkości i niech na tym skupi się cały patos cywilizacji wielkich narodów współczesności - aby bez kropli przelanej krwi, bez cienia przemocy, przy użyciu humanitarnych demokratycznych dźwigni, zrównać z ziemią Moskwę - może z wyjątkiem kilku cerkwi i klasztorów - a na jej miejscu stworzyć zielone muzeum tlenu, światła i rekreacji. Tylko w takim przypadku można mówić o jakiejś przyszłości dla nas wszystkich zamieszkujących tę planetę, meine Damen und Herren! Dziękuję za uwagę. (Ogólna owacja, wszyscy wstają i śpiewają Odę do radości Beethovena ze słowami Schillera).

Ale jest to jedynie twoja osobista pijacka refleksja, von F. I może ona wcale się nie pokrywać. To znaczy fatalnie nie pokrywać się z niczym. I ludzkim stratom na tej ziemi nie będzie końca.

Otraty stratami, ale trzeba by wreszcie coś gdzieś przekąsić. Wyłącznie z poczucia obowiązku wobec własnego żołądka, który od samego rana jest raz za razem oszukiwany w swoich nadziejach. Nie można go wiecznie tumanić. Trzeba czymś zapełnić.

Właśnie tutaj, między Nowym Arbatem i po prostu Ar-batem, pod bokiem znakomitej restauracji Praga, w której - jeśli wierzyć informacjom prasy brukowej - wszech-związkowa wieszczka Dżuna, ten odprysk mezopotamskich imperiów, rzucony przez kosmiczną opatrność w imperium sowieckie, świętowała nie tak dawno swoje urodziny w otoczeniu gwiazd estrady, przywódców partyjnych, iluzjonistów, deputowanych, pisarzy-satyryków, seks-kulturys-tek oraz innej hołoty, łasej na wszelkie realne przejawy świeckiego idiotyzmu, tak więc zaraz obok tej tak zwanej restauracji istnieje jeszcze taki sobie zwykły Bar. I ty, von R, zapominając na pół godziny o swoim szlacheckim pochodzeniu, włączając na powrót w jelita ślinę obrzydzenia, możesz mimo wszystko coś zjeść nawet tutaj.

To schronienie dla modnego obecnie arbackiego żebractwa: przemokniętych artystów, zachrypłych poetów-inwektywistów, przekwitłych bardów, wymoczkowa-tych jazzmenów, żonglerów, deklamatorów, matadorów, linoskoków, pederastów i żebractwa właściwego, żebractwa jako takiego, na wpół szalonego moskiewskiego żebractwa, które z reguły udaje uciekinierów z Naddniestrza lub Ormian - ofiary trzęsienia ziemi sprzed trzech lat.

A dzisiaj całe to towarzystwo oprócz wszystkich innych powodów dodatkowo jeszcze kryje się tutaj przed nie kończącym się deszczem. Albo przed natrętnym omonowskim patrolem, który od czasu do czasu pojawia się na Arbacie, przeganiając zeń czarnymi eleganckimi pałami tych najbardziej bezsilnych. Tak że Bar jest obecnie wypełniony mokrym deszczowym ludem, który wije się kolejką pomiędzy ohydnyymi empirowymi kolumnami, syczy po kątach i dookoła stolików, pachnie psim mięsem i raduje się ziemskim istnieniem.

Stajesz na końcu kolejki, jeszcze jeden przemoknięty, głodny, wstawiony klient, jeszcze jeden poeta, co prawda wybitny oraz ukraiński, anonim w koszuli z oderwanymi dwoma guzikami pod swetrem. Za tobą pojawia się od razu jakiś ruchliwy i bardzo kudłaty typ w kusym płaszczu (model późne lata sześćdziesiąte), z szyją owiniętą kilkoma barwnymi i raczej niezbyt czystymi chustami naraz. Wlecze za sobą niezliczoną ilość toreb, worków, siatek - i wszystko to nabite jakimś tajemniczym kramem, może przepalonymi żarówkami, a może perłami z dna Oceanu Indyjskiego.

- Koniecznie weźcie dzisiaj bulion - powiada do ciebie ruchliwy. - Wy czemuś nigdy nie bierzecie bulionu, to niedobrze. Bulion z jajkiem!

Na moment porzuca cię, biegnie na przód kolejki aż do kasy i pyta na cały Bar, czy mają dzisiaj bulion z jajkiem. Wraca szczęśliwy i jaśniejący blaskiem bulionu.

- Chwała Bogu, że mają bulion - informuje cię, szarpiąc za rękaw. - Mamy szczęście. Jeśli wziąć talerz bulionu z jajkiem, to można już nie brać niczego więcej, to wystarczy gdzieś na sześć-osiem godzin. Ale wy czemuś nigdy nie bierzecie bulionu, szkoda.

- Możliwe, że to właśnie jedna z moich najfatalniej-szych pomyłek - odpowiadasz, żeby się, kurwa, odczepił.

Ale on nie słyszy twojej odpowiedzi, bo znowu leci do kasy. Tym razem dowiedzieć się, z czego ten pieprzony bulion został dzisiaj ugotowany.

- Dzisiaj bulion cielęcy - informuje, stając z powrotem w kolejce, jednak już nie ciebie, ale jakąś dosyć szkapowatą kobietę ze śliwą pod lewym okiem i w zasikanych pończochach.

- Dziś mamy wyjątkowe szczęście - głądzi kudłaty do swojej nowej rozmówczyni. - Bulion cielęcy z jajkiem, możecie sobie wyobrazić, towarzyszeko?

- A mnie adin chuj - apatycznie odpowiada szkapowatą kobieta.

- No, nie opowiadajcie, nie opowiadajcie - kiwa głową ruchliwy - do cielęcego bulionu z jajkiem bardzo dobrze jest wziąć jeden kawałek chleba. Jeść, nie spiesząc się, starannie przeżuwać. Wtedy można się najeść na całych sześć-osiem godzin. Bardzo lubię tu przychodzić, to wspaniałe miejsce, bo mają zawsze ciepły bulion z jajkiem, w smaku prawie jak domowy, z prawdziwych cielęcych kości. Biorę porcję takiego bulionu, kawałek chleba - i jestem syty. To zastępuje i pierwsze danie, i drugie, i nawet herbatę albo kompot!

W tym momencie ktoś gwałtownie wali się na podłogę pod stół. Nie ustał. Spod wyświechtanej marynarki wytacza się pusta butelka. Aceton.

- Czto, nie widitie, czielowieku płocho! - krzyczy na całą salę kasjerka. - Stojat, kak chujil - oburza się.

I kilku przedstawicieli nieokreślonej warstwy społecznej troskliwie odciąga nieszczęśnika pod parapet, gdzie go od niechcenia, zwijając w kłębek, układają.

- Wo, blad', nażralsial - z lekką zazdrością w głosie S mówi, chwijając się, dama w obsikanych pończochach.

I - A jeszcze lubię sobie wziąć surówkę z marchewki - apeluje znów do ciebie ruchliwy. - Ile w niej witamin! Nie ma zdrowszego jedzenia niż talerzyk marl chawkowej surówki. Weźcie koniecznie. Ona i na wzrok dobrze wpływa...

Kiwasz głową w odpowiedzi. Wezmę, gołąbku, wezmę wszystko, co każesz, tylko nie smęć mi tu do ucha. Kolejka posuwa się okropnie powoli, a prawdę mówiąc, nie posuwa się wcale. Po pierwsze, brakuje wolnych naczyń. Dlatego wykorzystanych talerzy już się nawet nie myje. Po drugie, w kuchni działa tylko jeden kocioł. Po trzecie, wydająca posiłki ma kiepski humor; prawdopodobnie miesiączka. Po czwarte, ma ich wszystkich gdzieś, razem z tymi kurewskimi kucharkami. Po piąte, w kraju jest wielki deficyt żywności, w związku z czym demokracja znajduje się w niebezpieczeństwie i cała nadzieja w pomocy rozwiniętych państw Zachodu. Z minuty na minutę wyczekują przybycia tej pomocy, a na razie wygotowują ostatni bulion z ostatnich kości, żeby choć jako tako podtrzymać wśród tego przemokłego ludu iskierkę Bożą - święty dar życia. I dlatego koło stołu, pod który właśnie przed chwilą fiknął złożony niemocą klient, pojawia się od razu kilku żebraków przebranych za uciekinierów. Pierwszemu udaje się chapnąć nie dojezoną sałatkę i kaszę. Inni odchodzą rozczarowani, uważnie rozglądając się po stołach w poszukiwaniu pozostawionych resztek.

- Kuszaj, gałubczik, kuszaj - mamie łaskawie bezzębna stara sprzątaczką, wycierając szmatą blat przed nosem najsprytniejszego z żebraków.

- Paszła na chuj, wiedźma - nieufnie odpowiada tamten, zakrywając dłońmi talerz z rozpapraną kaszą.

- Tutaj w ogóle dość smacznie gotują - kontynuuje swój radosny monolog postrzelony smakosz za twoimi plecami. - Pamiętam, że bywały tu nawet parówki. Jak dwie parówki wrzucić do talerza gorącego bulionu, to można się dobrze najeść...

Kolejka posuwa się powoli. Wydająca kłóci się z kucharkami. Tłuką się talerze, których i bez tego w kraju nie wystarcza. Wylewa się bulion. Kasjerka biegnie się dowiedzieć, o co chodzi. A chodzi o to, że imperium zdycha. I pomoc humanitarna rozwiniętych państw Zachodu dawno już została rozkradziona, jeszcze na granicy. W związku z tym karawana z mięsem i chlebem dzisiaj nie przybędzie i trzeba się z tym pogodzić.

I podczas kiedy one tam w kuchni okładają się chochlami, a kasjerka biega wokół nich z naostrzonym ogromnym nożem, ty obserwujesz tę kolejkę, te głupkowate błękitne kolumny, tych paralityków po kątach, śpiącego na parapecie męczennika, żołnierzy-mongoloidów w galowych mundurach, dławiących się suchymi bułkami, pedała w białych spodniach, który krąży wokół nich, komunę narkomanów-anarchistów z dwuletnim dzieckiem pod stołem, maleńki tabor cygański, kudłatego pisarza i kulturologa Wanię Kaina, który przywłókł się tutaj materializować tomik poezji Rozpuściła warkocz brzoza, żebraków i żebraczki skupionych na nie dojezonych resztkach, przewodniczącego Partii Li-beralno-Demokratycznej Włodzimierza Zyrynowskiego, który dopija kompot z suszonych owoców,

kilku Azerów, dwóch, trzech Białorusinów, kupkę Gruzinów, garstkę Kazachów, paru Kirgizów, trochę Mołdawian, grupkę Ormian, mnóstwo Rosjan, grono Tadżyków, plejadę Turkmenów, ciutkę Uzbeków i - rzecz jasna - ein bijichen Ukraińców. Bo zgodnie z cyrylicykiem abecadłem idziemy teraz jako ostatni w Związku. A jeżeli chodzi o znaczenie naszej gospodarki narodowej - jako drudzy po Rosji. Nawiasem mówiąc, w kategorii melodyjności nasza słowicza mowa znajduje się na drugim miejscu w świecie. Ustalili to specjaliści eksperci do spraw melodyki języków na konkursie, który odbywał się w Genewie. Język rosyjski znalazł się tam na zaszczytnym trzydziestym czwartym miejscu, które dzielił z językiem mongolskim oraz suahili.

Kolejka rusza się powoli, ale się posuwa, bo konflikt w kuchni został tymczasowo ugaszony. Punkt zapalny na razie zlikwidowano. Negocjacje pokojowe będą kontynuowane jutro. Nastaje czas wyboru pożywienia. Sałatka z anemicznego ogórka, oślizły kawałek zimnej kury, chleb.

- W żadnym wypadku nie bierzcie kakao - ciągnie cię za rękaw kudłaty. - Lepiej potem wypić szklanek gazowanej wody z automatu za dziesięć kopiejek. I bulion, bulion, nie zapominajcie o bulionie...

- I bulion - pokornie mówisz do wydającej. Grzechocząc chochłą, czerpie z dna ogromnego baniaka. Podaje ci ledwie pół talerza.

- Z jajkiem - podpowiada ruchliwy.

- Bulion się skończył, więcej nie ma - ze złośliwą radością obwieszcza wydająca.

- Jak to skończył się? - trzepocze powiekami ruchliwy.

- Pizdiec jemu prsnilsia\* - wyjaśnia dowcipnie kobieta w pończochach.

I kiedy płacisz przy kasie, długo wyciągając jakieś drobne ze wszystkich możliwych kieszeni, ruchliwy amator bulionów zaczyna płakać.

- Przecież mówiliście, że bulion z jajkiem jest - chlpiąc, zwraca się do kasjerki.

- Bo wtedy był - niewzruszenie odpowiada kasjerka. - Czegoś się bez kolejki pytał? Trzeba było nie pytać, a jak wszyscy stać w kolejce... Palant!

Ten przemiły moskiewski zwyczaj każący zwracać się do nieznajomych per ty! Ten przejaw powszechności, wszechludzkiej miłości, wszechbraterstwa rosyjskiego ducha narodowego!

Ale kudłaty zaczyna szlochać głośniej i nie mogąc tego wytrzymać, podajesz mu swoje pół talerza.

- Masz tu bulion. Tylko uspokój się i nie rycz...



I czym prędzej odchodzisz z plastikowym talerzykiem w ręku. A ruchliwy nawet nie zastanawia się, czy dziękować, czy odmówić. Capnął talerz jak swój i od razu umilkł.

Wypatrzywszy wolne miejsce koło jakiegoś depresyjnego paranoika, cedzącego melancholijnie kakao ze szklanki, rozkładasz się obok.

- Smacznego - mówisz.

Ale on nie odpowiada, dopiero po chwili mówi z namysłem gdzieś w bok, jakby nie do ciebie:

- Właśnie życzył mi pan „smacznego”. Ale to było nieszczerze, bo po pierwsze nie panu do mnie, po drugie doskonale pan wie, jak niedorzeczne jest takie życzenie w takim miejscu i w odniesieniu do takiego jedzenia. Dobrze wychowanych ludzi coraz mniej. Tradycyjne rosyjskie życzenia tracą sens. Widzi pan, to, co teraz piję, nazywa się „kakao”. Ale czy to naprawdę jest kakao? To wiskoza, szkło, ołów, piasek - wszystko na świecie, tylko nie kakao!

W milczeniu rozpoczynasz wojnę z oślizłą kurą. Najważniejsze to nie dać się wciągnąć w dyskusje z wariatami.

- Jedyna dobrze wychowana kobieta tutaj to ta sta-reńka sprzątaczką - informuje tymczasem maniak. - Ma sto pięćdziesiąt lat. To hrabina Lidowskich. Tańczyła walca ze świętej pamięci Aleksandrem Drugim. Cóż za potężna i wysoka kultura!

- A z dwoma następnymi carami? - pytasz mimo wszystko, przeżuając kurzą podeszwę.

- Co pan ma na myśli?

- Czy tańczyła z dwoma następnymi carami - Aleksandrem Trzecim i Mikołajem Drugim? Czy miała intymne stosunki z Griszka Rasputinem? Czy była siostrą miłosierdzia podczas pierwszej wojny światowej? Czy uciekała na Krym pod skrzydła Wrangla w czasie wojny domowej? Czy była prześladowana przez Czeka, ogie-peu, enkawude, emgiebe, kagiebe? Czy kopała szańce r pod Moskwą w lecie i na jesieni czterdziestego pierwszego roku, kiedy skończyła równo sto lat? Czy brała udział w powojennej odbudowie gospodarki narodowej, zaorywaniu ugorów, wystrzeleniu pierwszego sztucznego satelity Ziemi, XXII Zjeździe KPZR? Czy poniosła straty moralne w okresie zastoju? Jak przywitała wiatr odnowy i pluralizm myśli?...

Paranoik wyciąga ze zrudziałej teczki napoczętą butelkę NWM - „napoju winogronowego mocnego”.

- Widzę, że pan się w tym co nieco orientuje - puszcza do ciebie porozumiewawczo oko. - Proszę się częstować.

Ukradkiem, żeby inni nie widzieli, przykładasz do ust szyjkę enwuemu. Pociągasz jeden, dwa, trzy, cztery łyki. Niewyobrażalne paskudztwo! Z trudem łapiasz oddech.

- Cieszę się, że dzisiejsza młodzież też coś wie o naszej historii - ożywia się paranoik.

- O naszej heroicznej, wspaniałej historii. Jeśli pan pozwoli - i przytyka flaszkę do ust.

- Przecież historia mogła potoczyć się inaczej - oświadcza, popiwszy enwuem kilkoma łykami wiskozy, szkła, ołowiu, piasku - wszystkim, tylko nie kakao.

- Mogła - zgadzasz się zdecydowanie. - Ale i taka jest niezła!

Pojawia się kilka Cyganiątek z wyciągniętymi rękami; dajesz im swój kawałek chleba. Rozzłoszczone, idą do diabła.

- Historii się nie wybiera - oświadcza z jakiegoś powodu paranoik.

- I dlatego nie mogła być inna - zgadzasz się z nim.

- Chce pan jeszcze? - znajoma butelka znów wychyla się z teczki.

- Nie widzę podstaw. Żeby odmówić - cytujesz znajomego dowcipnisia.

I ponownie wlewasz w siebie ohydny napój winogronowy.

- Do dzisiaj dziwi mnie, czemu w naszej historii wszystko odbyło się tak, a nie inaczej - mówi paranoik, zrobiwszy pauzę po solidnym łyku.

- Faktycznie - kiwasz głową - jest się czemu dziwić! Historia mogła potoczyć się zupełnie inaczej...

- Mogła - zgadza się paranoik. - Ale lepiej nie mogłaby.

- Historia nie zna trybu warunkowego - wyjaśniasz mu. - Soslagatielnowo nakłonienija. Verstehen?

- Jawohl, mein Fiihreñ - odpowiada paranoik i zaczynacie rechotać jak wariaci.

Ale w tym czasie w Barze pojawiają się dwaj omonowcy z patrolu. Znacząco przechadzają się po całej sali, dyskutują o czymś z taborem cygańskim w oddalonym kącie, obszukują przy okazji kilku narkomanów-anarchistów, a wówczas, zauważywszy śpiącego na parapecie, rażno podchodzą do niego i zaczynają grzmocić pałami jego bezwładne, zatrute ciało. Aż czarne berety podskakują na ich foremnych głowach.

- Gestapo! - chcesz ryknąć na całą salę, jednak stary paranoik zatyka ci usta butelką enwuemu.

- Niech pan nie robi głupstw - syczy. - Jesteśmy tu nie po to... Jednym nieostrożnym okrzykiem może pan zniweczyć całą sprawę...

- Jaką znowu sprawę? - interesujesz się, dopiwszy resztkę enwuemu i wycierając wąs rękawem.

- Sprawę ratowania Rosji - szeptem odpowiada paranoik.

- Przed kim?

- To tajemnica - paranoik przykłada palec do ust. - Verstehen?

- Spasibo, synoczek - mówi stareńka hrabina Lidowskich, zabierając ze stołu pustą butelkę, którą tam nieopatrznie pozostawiłaś.

Masz wielką ochotę pokłonić się w pas i ucałować jej dłoń, starą, pomarszczoną dłoń hrabiny Lidowskich, w której tkwi śmierdząca szmata do wycierania stołów. Ledwie się powstrzymujesz.

Omonowcy wciąż jeszcze leżą śpiącego na parapecie, który prawdopodobnie ma z tej racji koszmarne sny.

- Hej, on przecież nie żyje! - domyślasz się nagle i widzisz, jak stopniowo cały Bar zaczyna to pojmować, nawet omonowcy. Przestają go młócić i zaczynają wymacywać puls, nasłuchiwać bicia serca, rozpinać wyświechtaną koszulę pod nie mniej wyświechtaną marynarką. Wokół nieboszczyka zbiera się gęsta grupa ciekawskich - Kolejnego z naszych zabrakło - powiada uroczyście paranoik. - Jeszcze jeden rosyjski człowiek padł ofiarą bolszewizmu. Czy to już nie za dużo, panowie komuniści? - zgrzyta zębami jak w piekle. - Ale nic to. Nic, nic. I ta krew zostanie pomszczona. Także ta krew. Niewinna krew...

I w tym momencie dostrzegasz, jak paranoik wydobywa ze zrudziałej prastarej teczki granat typu F-1 i pewnym ruchem zaczyna odciągać zawleczkę, monotonnie powtarzając przy tym: „Także ta krew. Niewinna krew”. Udaje ci się jeszcze porwać torbę z parapetu, dopaść drzwi i przemknąć dwadzieścia metrów do przejścia podziemnego. Już pod ziemią słyszysz niewiarygodnie silny wybuch, jakby dwadzieścia empirowych Barów wyleciało w powietrze, na wieki unosząc w moskiewskie niebo starego maniakałnego terrorystę, dwóch omonowców, którzy i tak niczego nie zrozumieli, i ciało w poplamionej marynarce, i cygański tabor z wozami i namiotami, i bezzębną hrabinę Lidowskich, i wszystkich innych, z Azerami, Białorusinami, Gruzinami, Kazachami, Kirgizami, Mołdawianami, Ormianami, Rosjanami, Tadżykami, Turkmenami, Uzbekami i Ukraińcami włącznie...

Historii się nie wybiera. Ale mogła być inna.

.Poprzednio przedstawiłem Waszej Królewskiej Miłości panoramę moich związków z kobietami. Teraz o moich relacjach z KGB. Mam nadzieję, Wasza Błękitność, że wiecie coś niecoś o tej instytucji. Jeżeli nie, to na podstawie mojej opowieści stworzycie sobie pewne wyobrażenie.

Sprawa polega bowiem na tym, że moja biografia kryje w sobie bombę z opóźnionym zapłonem. Mogę nawet umrzeć (w to prawie nie wierzę), ale ona i tak kiedyś eksploduje. Jakże radośnie i odświętnie poczuje się pierwszy lepszy historyk, gdy pewnego cudownego

dnia odnajdzie w jakimś odtajnionym właśnie archiwum trochę materiałów na mój temat! Tak, na mój temat też. Bo nie ja tam jestem pierwszy, nie ja ostatni.

O istnieniu takiej firmy jak KGB każdy obywatel naszego wesołego imperium dowiaduje się w dość młodym wieku. Ja, o ile sobie przypominam, po raz pierwszy usłyszałem tę nazwę w wieku mniej więcej sześciu lub ośmiu lat. Z jakiegoś powodu zachowałem w pamięci pierwotne dziecięce odczucie tego słowa: coś rozpustnego, śliskiego, gwałtownego, coś bardzo przypominające „chuj ci w dziób” (wyrażenie, które wówczas dość intensywnie ładowało do mojego zasobu leksykalnego rodzime podwórko).

Ale to wszystko liryka, Wasza Królewska Miłość. Dobrowolna pauza przed wygłoszeniem najważniejszego.

Z biegiem lat dowiadujemy się coraz więcej o świecie, o swoim potencjalnym w nim miejscu. Oto na przykład ja sam w wieku siedemnastu do dwudziestu dwóch lat. To znaczy w swoich latach studenckich. Poeta-nonkonformista, zwolennik czystej sztuki, wielbiciel starego malarstwa i najnowszego rocka, częściowo pochłonięty hinduizmem w ujęciu Ramaczaraki; później pierwsze zbliżenie do chrześcijaństwa, słowem - dosyć tradycyjny wariant poszukiwań i wahań młodzieżowej bohemy w okresie zmierzchu imperium, na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Przy byle okazji podkreślałem swoją niewiarę w narzucony z góry ład społeczny, w jakieś tam komunistyczne ideały (teraz, Wasza Wieczność, możecie się uśmiechać, ale wtedy to naprawdę było tematem niebezpiecznych dyskusji!). Jednocześnie przez cały czas pragnąłem odnaleźć jakieś punkty porozumienia z rzeczywistością. Szukałem dla siebie jakiejś własnej niszy, to znaczy sposobu pozostania niesplamionym wśród zalewającego nas oceanu gówna. Spis moich ówczesnych autorytetów i symboli wiary jest również dosyć tradycyjny i wymowny: Rilke, Hesse, Marquez, Borges, potem niespodziewanie Włodzimierz Sołowiow...

Oto mój ówczesny świat, w zasadzie czysty, cnotliwy do obrzydzenia, mój określony krąg, a gdzieś tam, na zewnątrz, buszuje KGB, kogoś rewiduje, obwąchuje, aresztuje, zsyła, deportuje, ale ja w takich zabawach nie uczestniczę, wszystko to wygląda zbyt wąsko dla mnie, wychowanego i wybujałego na wedach i barokowych koncertach, na filmach Tarkowskiego i poezjach Apollinaire'a. I co z tego zresztą, że mój dziadek był kiedyś komendantem powiatowym policji ukraińskiej, a z czasem żołnierzem Dywizji i zginął na polu bitwy jeszcze w czterdziestym czwartym? Mój dziadek, ten sam, podchorąży Ukraińskiej Armii Halickiej już od 1918 roku, kiedy to właściwie nie miał jeszcze osiemnastu lat?

Ale ja funkcjonowałem w swoim kręgu, a KGB działało gdzieś poza nim. Z rzadka nadbiegała jakaś fala, jakby ostrzeżenie, leciutkie szarpnięcie zbyt poluzowanej smyczy,

pierwszy dzwonek w teatrze podłóci przed haniebnym spektaklem. Oto wyrzucili z instytutu znajomego artystę, bo oświadczył na egzaminie, że nie czytał i nie zamierza czytać projektu nowej konstytucji. Oto inny znajomy artysta rzuca wszystko i zatrzymuje się dopiero w Tallinie - tak jakby to była już zagranica. A oto oficjalne, zamknięte na głucho drzwi na trzecim piętrze instytutu, drzwi z nic nie mówiącą tabliczką „Pierwyj otdiel”. Powiadają, że ponoć za tymi drzwiami każdy z nas spoczywa w swojej teczce osobowej - zupełnie przezroczysty, z wszystkimi danymi, tak niezbędnymi z punktu widzenia imperium. Tam wiedzą o nas nawet to, czego my sami o sobie nie wiemy.

Mija jeszcze kilka lat. Coś tam ktoś niewątpliwie na mój temat notował. W pracy po ukończeniu instytutu, w wojsku. Z wojska wracam już z kilkoma niezłymi publikacjami. Już jestem znany jako poeta. Niedługo moja książka ujrzy świat!

Ale w tym momencie czuję ich bliski, natrętny oddech. Sygnały nie są już zwykłymi sygnałami, dzwonek to nie jest po prostu dzwonek, ale drugi dzwonek. W wydawnictwie, gdzie pracują nad moją pierwszą książką, redaktor półgłosem napomyka, że ktoś się mną interesował. Zbierano o mnie informacje. Żebym miał to na uwadze. Bo różne rzeczy się zdarzają. Po jakichś dwóch miesiącach - pierwsze spotkanie. Nie z dziewczyną, rzecz jasna. Z dwoma tajniakami. Banalne wezwanie do wojskowego komisariatu (tę nazwę musicie znać, Wasza Mężność)

1 godzinna rozmowa w zamkniętej na klucz sali obrony cywilnej. Istota rozmowy jest stara jak świat: kuszenie. Czy nie zechcielibyście, Ottonie Wilhelmowiczu, pomagać nam w naszej nielekkiej pracy? Nie chciałbym, dziękuję za zaufanie. A czemu, wybaczy pan ciekawość? Bo nie mam odpowiedniego, yhy-yhy, charakteru, a także niektóre nasze poglądy są rozbieżne. Jakie to poglądy? No, na przykład religijne. Ale przecież jesteście patriotą? Hm, tak, oczywiście. Jeśli zatem jesteście prawdziwym patriotą, to powinniście nam pomagać. Przepraszam, ale nie. Lepiej już będę się zajmował swoimi sprawami. Jako patriota. A wy zajmujcie się swoimi. Życzę sukcesów. Nie sądziliśmy, że los ojczyzny jest wam tak obojętny, Ottonie Wilhelmowiczu. No cóż, wyciągniemy względem pańskiej osoby odpowiednie wnioski. Wyciągajcie. Takie wasze prawo. Płacą wam za wyciąganie wniosków.

f Tym razem książki mi nie zatrzymali. A najbardziej bałem się właśnie tego. Toteż byłem bardzo szczęśliwy, kiedy się ukazała. Ale jak się później okazało, gra dopiero się zaczynała, podczas gdy ja, głupi, uznałem ją już za zakończoną, mało tego - wygraną. Postanowiłem nawet być szlachetnym i surowo przestrzegać zasad *savoir vivre*'u. Nikomu zatem na świecie nie wyspowiadałem się z mojego pierwszego spotkania. Sądziłem też, że z ostatniego.

Js. oni w tym samym czasie pracowali. Ryli głęboko, przerabiali wersje, przebierali w wariantach. Wysyłali pytania do Kijowa, Moskwy, Pragi, Krakowa, Wiednia, niepokoiili rezydentów w Ameryce. Przeczytali moją książkę. Przeanalizowali. Tak minął ponad rok.

I oto już przebrzmiał trzeci dzwonek. I znów banalne wezwanie do wspomnianego komisariatu wojskowego. A muszę przy tym dodać, że mamy rok osiemdziesiąty szósty i moskiewska wierchuszka już coś tam planuje demokratyzować i łagodzić, ale безпеika jeszcze nie bierze tego na serio, wprost przeciwnie - traktuje jak odgórny apel o nową aktywizację. Czas, prawda, ruszyć znowu do boju na całym ideologicznym (he, he!) froncie.

Tym razem wobec mojej skromnej i naprawdę apolitycznej osoby obmyślono cały plan - elastyczny i wielostopniowy. Ot, taka salwa armatnia do wróbla. W wojs-kovrym komisariacie, w tej samej sali, spotkał się ze mną;eszcze jeden tajniak, tym razem inny. Zaczął od wychwalania mojej książki. Żonie jego (he, he!) ogromnie, niby, podoba się i choć on sam nie za bardzo zna się na poezji/ ale ufa literackim gustom żony. Potem zaproponował mi przeczytanie w rękopisie dzieł kilku innych poetów, mało jeszcze znanych, i zrobienie mu na piśmie czegoś na kształt recenzji: czy to utalentowani ludzie, czy mOżna uważać to za poezję, czy rękopisy zawierają pozytywną, zdrową treść. I wyciąga z teczki jakieś bruliony. Nie, powiadam, niech pan to schowa, czymś takim się nie zajmuję. Jestem poetą, nie recenzentem, mówię, teorię literatury znam niezmiernie słabo, nie potrafię odróżnić rymu oksytonicznego od paroksytonicznego.

Ależ wy byście nie z punktu widzenia teorii recenzowali, Ottonie Wilhelmowiczu, ale tak od serca, po prostu tak jak czujecie. Nie, powiadam, nic z tego nie wyjdzie. Serce to wielka tajemnica. Szkoda, Ottonie Wilhelmowiczu, szkoda. No, ale to nic. Wielkich rzeczy nie dokonuje się na chybcika. Spotkajmy się znowu za tydzień. Przemyślicie sobie wszystko spokojniutko, pogłębicie teoretyczną wiedzę. Tylko o tym ponurym budynku z maskami pegaz już zapomnijmy. Lepiej spotkajmy się, eee, powiedzmy, pod firmą Meble, co? I jeszcze jedno: zupełnie po przyjacielsku proszę was i błagam - nikomu ani słowa. Specyfika taka, sami rozumiecie?

Czemu - zapyta Wasza Królewska Sprawiedliwość - czemu, suczy ogonie, poszedłeś tam po tygodniu? Nie mogłeś plunąć, draniu, na wszystkie ich intrygi, wzgardzić tą brudną zgrają i nie iść? Już nie mówię - rzucić w nich bombą albo zastrzelić ich generała, czy stworzyć tajną organizację, nie. Za dużo wymagań. Ale mogłeś, łajdaku, nie iść na to podłe spotkanie!

Mogłem, Wasza Miłość. Ale sądziłem, że w ten sposób właśnie wykażę swój strach, swoją słabość. Postanowiłem nie tylko nie unikać pojedynku, lecz wyjść mu naprzeciw. A,

swoją drogą, strach przed nimi też był. Mistyczny strach przed najgroźniejszą siłą imperium. Tajną i bezlitosną, profesjonalną i uzbrojoną.

Toteż tydzień później siadamy sobie, zamknąwszy drzwi, w jakichś apartamentach firmy Meble (czemu właśnie tam? kto dał im klucz? kogo i jak oni tam zwerbowali?), palimy rozmawiamy. Spotkanie trwa pięć godzin. Walczę jak lew. Aż sam się sobie dziwię i patrzę na siebie z podziwem, jak godnie, mądrze i porządnie się trzymam. A on wyciąga z zanadru całkiem nowe karty. Pierwsza to list, anonimowa, napisana na maszynie epistoła z mnóstwem błędów gramatycznych i stylistycznych, zaadresowana do samego Pierwszego Sekretarza Komitetu Obwodowego. W piśmie tym „zaniepokojeni obywatele” oburzają się, że „synkowie i wnuki” faszystowskich siepaczy - ukraińskich policjantów - żyją sobie spokojnie w naszym aż nazbyt humanitarnym Państwie Radzieckim i wszystko lata im koło chuja, a jeden - wnuk znanego zbrodniarza, komendanta policji, von R, - nawet „pisarzem się zrobił” i już mu nawet jakąś wrogą książkę w Kijowie wydali. Gdzież jest sprawiedliwość na tym świecie, pytali w zakończeniu listu „zaniepokojeni obywatele”, dzieci i wnuki bojowników komunistycznego podziemia.

Możecie sobie wyobrazić, Ottonie Wilhelmowiczu, powiada do mnie mój nowy przyjaciel, co by było, gdyby moi ludzie w komitecie obwodowym partii nie przechwycili w porę tego obrzydlistwa? I gdyby trafiło ono do rąk naszego debilnego pierwszego sekretarza? A ten puściłby je w dół, do jakiegoś zasranego instruktora, który dzień w dzień zdziera zelówki i tylko marzy o tym, by zadusić, zniszczyć, rozdeptać coś utalentowanego i prawdziwego, jak wy na przykład? Nie możecie sobie wyobrazić? A oto co by było, Ottonie Wilhelmowiczu. Najpierw uderzyliby w was artykułem w gazecie obwodowej. Skandal! Wnuk zbrodniarza wojennego z rękami po łokcie we krwi niewinnych ludzi radzieckich! Wylaliby was z pracy. O następnych książkach szkoda nawet marzyć. Otoczeni ludzką pogardą i nienawiścią zaczęlibyście klepać biedę, być może nawet rozpilibyście się. I w tym momencie, Ottonie Wilhelmowiczu, pojawiliby się na waszej drodze inni działacze. Dobroczyńcy, dawno już kupieni przez obce służby specjalne. I zwerbowałiby was, obrażonego na władzę radziecką, nie zważając na to, że jesteście przecież patriotą. Na samą myśl o tym ogarnia mnie przerażenie, Ottonie Wilhelmowiczu, ale chwała Bogu, moi wierni chłopcy przechwycili ten paszkwil i teraz obiecuję wam: znajdziemy i ukarzymy tę świnie, która to napisała! Przysięgam na mój oficerski honor! Tylko, żeby to zrobić, musimy trzymać sztamę, Ottonie Wilhelmowiczu, musimy sobie nawzajem pomagać. Ja im jeszcze pokażę, co znaczy szkodzić utalentowanym poetom, całej naszej kulturze, która tyle już wycierpiała! Podajcie mi rękę, drogi Ottonie Wilhelmowiczu!

Dziękuję, mówię, mój przyjacielu w niewidzialnych pagonach, że przechwyciliście tę ohydę, chociaż nie wykluczam również takiej możliwości, że sami to nabazgraliś-cie. Ale ponieważ mam zbyt wysokie mniemanie o naszych męźnych organach, aby przypuszczać, że mogą zajmować się tak prymitywnym, tak brutalnym szantażem, proszę nie niweczyć moich złudzeń i - przyjmując moje serdeczne podziękowania - wypuścić mnie z Bogiem, żebym mógł się zająć swoimi sprawami.

Mój opiekun zmieszał się, westchnął ciężko i powiada: zaczekajcie jeszcze choć kwadrans, Ottonie Wilhelmowiczu, mimo wszystko szmat czasu tu przegadaliśmy, ja tylko zadzwonię do generała, zamelduję o rezultatach naszej rozmowy. I czemu wtedy nie wyszedłem, twardo obstając przy swoim - nie, nie mam już więcej czasu i koniec, nagadaliśmy się już po dziurki w nosie, napaliliśmy się i starczy, do widzenia! Nie pozwoliło mi na to przekłete dobre wychowanie i zbytnia delikatność. Szczerze mówiąc, było mi biedaka nawet trochę żal - tak się naharował i gównem z tego wyszło.

A jak się okazuje, żałować ich nie można, Wasza Miłość. Bo kwadrans później wpada jak burza następny - dwa razy większy i bardziej agresywny. Była to, jak się potem zorientowałem, jawnie zastosowana banalna policyjna metoda z dwoma naczelnikami - dobrym i złym. Gra kontrastów. Tak więc ten drugi przechodzi do gwałtownego ataku. Krew waszego dziadka, zbrodniarza wojennego, powiada, wiruje i kipi w waszych żyłach, młody człowieku. Widzę, że jesteście wrogiem naszej władzy, wrogiem do czasu przyczajonym. A z wrogami nikt się nie cacka. Przygotujcie się na wielkie nieprzyjemności. Osobiście zorganizuję napisanie i przedrukowanie w całej republice artykułu na temat krwawych zbrodni waszego dziadka. A później jeszcze jednego - na temat antyradzieckiej w istocie wymowy waszej książki. A propos, słyszałem, że jakiś wasz rękopis leży właśnie w wydawnictwie? Możecie jechać do Kijowa i zabierać go. Nie wyjdzie! Ostatni raz pytam: będziecie nam pomagać czy nie? Donnerwetten! Jeśli idzie o mojego dziadka, mówię, to nie znam wszystkiego ze szczegółami, ale z tego, co się mówiło w domu, wiem, że jako policjant zrobił więcej dobrego niż wasi poprzednicy i nauczyciele z enkawude. Że uratował wiele osób przed wywózką do Niemiec czy nawet przed rozstrzelaniem, przez co narażał się na ciągłe konflikty z niemieckim okupantem. Bo dziadek był żołnierzem, a nie żandarmem, jak niektórzy tutaj. Co do antyradzieckiej wymowy mojej książki, to chciałbym zobaczyć takiego znawcę literatury, który potrafi to udowodnić. Sam jestem ciekaw. A jechać do Kijowa po rękopis nie mam zamiaru, bo mi go i tak na wasze polecenie przyślą pocztą. Jeśli idzie o wszystko inne, to róbcie jak chcecie, łeb mi zetnijcie, ale waszym kapusiem nie będę.



Kapusiem, wtrąca ten pierwszy, łagodny, ależ to nie leży w naszych kompetencjach. Z kapusiami to psy pracują. Jak mogliście, Ottonie Wilhelmowiczu, nawet pomyśleć o nas coś takiego! U nas nie ma kapusiów, u nas są tylko tacy, co dobrowolnie nam pomagają. Inżynierowie, lekarze, docenci wyższych uczelni, artyści, architekci, historycy. Są też pisarze. Wszyscy oni to patrioci. Ale mniejsza o to. Mam pewną propozycję. Spotkajmy się znów za tydzień. Po co się gorączkować, złościć. Spokojnie nad wszystkim się zastanówcie. Oceńcie perspektywy, rozważcie wszystkie „za” i „przeciw”. Słowo honoru, nie chcielibyśmy wam życia złamać, Ottonie Wilhelmowiczu.

I ja darzę was sympatią, powiada ten drugi, który też złagodniał. Przecież w razie wojny i tak pójdziemy razem do ataku, nieprawdaż, Ottonie Wilhelmowiczu? Ojczyznę mamy przecież jedną, nie ma się tu o co spierać.

W duchu parsknąłem na to śmiechem, ale jak tu wyjść, trzasnąwszy drzwiami? Oczywiście, dobre wychowanie i delikatność ponad wszystko. Dobrze, mówię, za tydzień to za tydzień, ale i tak dobrze wiem, że decyzji nie zmienię. No, chyba że porozmawiamy sobie o poezji. O syła-botonice, o wolnym wierszu i rymach daktylicznych.

I wyszedłem, a oni obaj tam zostali.

Ale okazało się, że na próżno podarowałem im ten tydzień, Wasza Świetlistość. Ponieważ jeśli ja przez ten tydzień, spożywając rozmaite mocne alkohole, robiłem co mogłem, żeby o wszystkim zapomnieć i nie myśleć, oni wcale nie siedzieli z założonymi rękami. Analizowali, szukali, badali. Pewne fakty uogólniali. I wyciągnęli z talii nową kartę. Nie do przebiccia.

Zaczęło się jednak jak zwykle. Te same Meble, ten sam pierwszy. Palimy, gawędzimy. Zaczął roztaczać jakieś fantastycznie słodkie perspektywy. Jak to będę sobie jeździł za granicę na festiwale poetyckie. Jak to oni wystarają się dla mnie o mieszkanie. Jak w Kanadzie i Stanach będą wydawać moje książki, bo oni tam mają, jak się okazuje, swoje niby-ukraińskie wydawnictwa. Słowem, dolce pita] Ja z kolei odpowiadałem na to, że podobne sytuacje znam z życia. Kiedy chłopiec chce przelecieć dziewczynę, czego to jej nie naobiecuje, a potem o północy robi swoje pod krzakiem i - bywaj zdrowa, czarnobrewa!

Wtedy znów wpada jak burza ten drugi. I po kiego złamanego chuja, wrzeszczy, tracimy tyle czasu na tego smarkacza? Myślałby kto - supergwiazda poezji! Ty mi lepiej powiedz, jak brzmi panięskie nazwisko twojej mamy. Tak i tak, odpowiadam. No właśnie, ten twój drugi dziadek to także zbrodniarz wojenny, brał udział w karnych operacjach i w zdrowiu do dzisiaj żyje, a ty do niego dwa razy w miesiącu w gości jeździsz, sukinsynu!

A wówczas - fotografia na stół, przed moje oczy, a tam drugi mój dziadek, młody, trzydziestoletni, w jakimś uniformie, chyba w mundurze Dywizji.

A co, niedaleko pada jabłko od jabłoni, triumfuje drugi, opadła ci szczeka? Tak więc, supergwiazdo nasza najdroższa, jutro zgarniemy twojego kochanego dziadunia. Sprawa jest, świadkowie są, będzie sąd! Ile ma lat, powiadasz? Siedemdziesiąt cztery? Mógłby jeszcze pochodzić sobie po tym świecie, naturalnie, ale przez upartego wnuka zarobi czapę. C'est la vie\

I w tym momencie, Wasza Miłość, po raz pierwszy nie wiedziałem, co powiedzieć. Tylko wyobraziłem sobie salę sądową, mamę ubraną na czarno, usłyszałem czyjś mechaniczny głos: „Wyrok jest prawomocny i podlega wykonaniu”. I swoje straszliwie długie życie z wiecznym ciężarem na sumieniu.

Dawajcie, mówię, ten papier. Omal nie zaczęli tańczyć, chociaż na zewnątrz byli opanowani. A ja napisałem najhaniebniejsze w życiu dyktando. Że „dobrowolnie zobowiązuję się pomagać”. Że w celu zachowania konspiracji będę używał pseudonimu...

Może „Rimbaud”, proponuje ten pierwszy, bo jak dureń opowiedziałem mu przedtem o swoich ulubionych poetach. Nie, odpowiadam, nie śmiem hańbić wielkiego imienia. To może „Artur”, podpowiada drugi (usłyszał gdzieś, że Rimbaud miał na imię Artur!). Niech wam będzie „Artur”. Tak też wpisał.

No cóż, westchnął z ulgą ten drugi, gratuluję, Ottonie Wilhelmowiczu, w końcu zdecydowaliście się na uczynek rozumny i prawidłowy, humanitarny. Niech sobie drogi dziadunio żyje, choćby nawet sto lat! Pracować dalej będziecie z nim, wskazuje na tego pierwszego, mnie nie znacie. Teraz najważniejsze dla was to przywyknąć i uspokoić się. Od tej chwili przecież wasze życie będzie i bogatsze, i ciekawsze. Pamiętajcie - nie wy pierwsi i nie wy ostatni. Taka to już nasza praca!

Na tym się rozstaliśmy, chociaż przedtem otrzymałem jeszcze od tego pierwszego kilka technicznych wskazówek. Jeżeli, na przykład, zauważę na swojej skrzynce pocztowej w lewym górnym rogu maleńkie kredowe kółko, takie, jakie czasem rysują dzieci, oznacza to, że musimy się spotkać. Wówczas powinienem zadzwonić do niego i nie podając swojego nazwiska, ani w ogóle żadnego nazwiska, umówić się w jakimś określonym miejscu.

Ale nie martwcie się tak bardzo, Ottonie Wilhelmowiczu, spotykać będziemy się rzadko - najwyżej raz na kwartał, a jeśli idzie o wszystko inne, to czujcie się swobodnie, piszcie wiersze, słuchajcie muzyki, a propos, możemy postarać się dla was o dobre zachodnie nagrania, jedźcie sobie odpocząć, słowem - rozkoszujcie się życiem! I pamiętajcie, że od teraz

jesteście pod naszą stałą ochroną. I surowe przestrzeganie tajemnicy, bo inaczej... U nas nie ma przedawnienia. No, ale o tym nie będziemy...

Oczywiście, Wasza Królewska Mość, nie wytrzymałem nawet dwudziestu czterech godzin tego piekła. Zdawało mi się, że zewsząd mnie obserwują, podsłuchują przez telefon i kanały wentylacyjne, stawiają pod moimi oknami podejrzane samochody ze specjalistyczną aparaturą. Dopiero wtedy się zaczęło!

Bo jeszcze nawet półsłowem nikogo nie zdradziwszy, nie uczyniwszy nikomu nic złego, już czułem się jak Judasz, widziałem już nawet suche gałęzie tego drzewa, na którym się bez wątpienia powieszę. Zgrzytałem zębami jak potępieniec i gryzłem własne palce. A przede mną była tylko ślepa uliczka.

I już następnego dnia złamałem ich warunki. Pojechałem do najbliższego przyjaciela, poszliśmy daleko w pole i tam wypowiedziałem się z tego wszystkiego, co się ze mną ostatnio działo. Podejrzane chabry sterczały pośród trawy jak mikrofony. W koronie dzikiej czereśni znajdował się chyba ukryty radar.

Piotr, mój przyjaciel, spochmurniał, kiedy opowiedziałem mu wszystko do końca, pomyślał chwilę i rzekł:

- Czemuś nie przyszedł wcześniej, kiedy dopiero zarzucali na ciebie sieć? Wszystko bym ci wyjaśnił, poradziłbym, co robić, znaleźlibyśmy jakieś wyjście. Jest jedna podstawowa zasada: nie podpisywać żadnych papierów. Cokolwiek by się działo, nie podpisywać! Z tym dziadkiem to mógł być po prostu blef. Trzeba było zagrać va banque. Ale teraz już za późno - podpisałeś. Nie ma jednak warowni bez furtki. Zwódtz ich, oszukuj, staraj się stać się dla nich nieciekawym. Zajmij się tylko swoimi sprawami, unikaj nowych znajomości i pisz takie wiersze, które można tłumaczyć i tak, i siak. Możesz pić, ale nie do spadu, oni nie lubią mieć do czynienia z pijakami - to dla nich za duże ryzyko. Minie jakiś czas - i odczepią się, kiedy zobaczą, że z tej mąki chleba nie będzie.

Piotr jaśniał niczym apostoł, pola spowijał zmierzch, słońce kładło się do snu; wtedy uświadomiłem sobie, Wasza Miłość, że oni zawsze wykorzystują nasz brak jedności, ale właśnie ten brak przezwyciężyłem, wypowiedziałem się i teraz już nie jestem sam.

Kilkakrotnie od tego czasu pojawiała się na mojej skrzynce pocztowej małe kredowe kółeczko. Chciałbym wiedzieć, kto je rysował? Dozorczytni? Listonoszka? Ktoś z sąsiadów? Czy może sam anioł stróż w niewidzialnych pagonach z gwiazdą majora? Kiedy on to robił? O północy, gdy na nocny dyżur wychodzą zmory? Czy też gdy trzeci kur zapieje, gdy cała diabelska gwardia zapada, się pod ziemię?

Kilka razy spotykaliśmy się w pewnym zakonspirowanym miejscu. Paliliśmy, ja mówiłem o niczym. Ani odrobinę, nawet na pół paznokcia, nawet mimo woli nie zdradziłem nikogo i nie sprzedałem - Bóg, ostatnia moja nadzieja, widzi wszystko i niech On będzie moim sędzią. Żadnego więcej dokumentu im już nie napisałem, mimo usilnych nalegań mego rozmówcy. Piłem wówczas rzeczywiście wiele, ale to już moja prywatna sprawa. Izby wytrzeźwień były moim azylem politycznym.

Tymczasem imperium zaczęło trzeszczeć. Chyba na którymś kolejnym spotkaniu twardo zażądałem zupełnego zerwania kontaktów. Powiedziałem swemu rozmówcy, żeby zorganizował mi spotkanie z ichnim generałem, któremu chciałem przedstawić wszystkie szczegóły tego obrzydliwego szantażu, obiecałem zwrócić się do prasy (tak, teraz to ja groziłem prasą!), do Kijowa, do Moskwy, bo wszystko ma swoje granice, a ja właśnie znajduję się na takiej granicy. On chyba jednak trochę ocipiał, bo tylko rozłożył ręce i powiedział, że skontaktuje mnie z generałem, ale obietnicy nie dotrzymał i zniknął na długo. Teraz to ja go szukałem, dzwoniłem, naciskałem, ale on zasłaniał się jakimiś przedłużającymi się delegacjami. Ukrywał się przede mną. Chodził ulicą z wysoko podniesionym kołnierzem płaszcza i w kapeluszu nasuniętym nisko na oczy.

I dopiero po roku - w lecie osiemdziesiątego ósmego - bez kredowego kóleciska, ale po prostu i po ludzku sam zadzwonił do mnie, żeby umówić się na spotkanie. Zamkniemy całą sprawę, powiedział.

Następnego dnia, nie wstępując do żadnego lokalu, na jakiejś bocznej uliczce oznajmił, że nasze kontakty ulegają zerwaniu. Mogę uważać się za wolnego od wszelkich zobowiązań, oprócz jednego - zachowania w tajemnicy nieudanej próby naszej, jak się wyraził, współpracy. To ostatnie zobowiązanie, Wasza Miłość, uroczyście łamię teraz, pisząc ten list. Rozgłaszam tę tajemnicę. Amen.

i Nie zawiniłem wobec nikogo. Memu dziadkowi, od niedawna już nieboszczykowi, nie powiedziałem ani słowa, chociaż on, biedaczysko, wyczuwał z ich strony jakieś zagrożenie i bardzo chciał zobaczyć mnie przed śmiercią. Zdążyłem jednak dopiero na pogrzeb.

Zawiniłem wobec samego siebie. Że przychodziłem na ich wezwania. Że powodowany dobrym wychowaniem podawałem im rękę, uważając, że w końcu to też ludzie, jakkolwiek okaleczeni. Że podpisałem ten dokument, który dotychczas znajduje się tam, w ich archiwach - żółknie, blaknie, tleje, ale jednak jest, ten dowód mojej słabości, świadek duchowej rozterki i zagubienia, sygnowany głupkowato-pretensjonalnym imieniem, które wtedy głęboko znienawidziłem.

Taka jest, Mój Królu, spowiedź stojącego przed Tobą nędznego grzesznika; tylko Ciebie, Panie, chcę prosić o wybaczenie.

Specjalna komisja rządowa z pewnością będzie próbowała wyjaśnić przyczyny zagadkowego wybuchu w Barze. Niewątpliwie wiadomość o tym zostanie odczytana dzisiaj przez surowego prezentera programu „Czas”. Ale co ciebie, von F., to obchodzi? Sweter przemókł ci do suchej nitki, koszula też, i stoisz, kiwasz się agramatycznym znakiem zapytania, jak powiedział poeta, przed głównym wejściem do Świata Dziecka, przed bramą tego głupkowatego olbrzyma, zrodzonego w apogeum złotej ery imperium, i sam już nie wiesz, po co tu sterczysz, na co ten deszcz, czego domaga się od ciebie ten Świat Dziecka, czemu tak męczy twoją świadomość przeciążoną samym faktem swego istnienia, swojej obecności w centrum Moskwy, niedaleko mrocznego pomnika Dzierżyńskiego, który do złudzenia przypomina Don Kichota.

I niedługo będzie już szósta, a ty, von R, wciąż jeszcze nie wiesz, po co tu przyszedłeś, i jeżeli powalczysz z tym problemem jeszcze z godzinę, to już nigdzie nie będziesz musiał iść, bo zamkną wszystko na świecie, i w ten sposób rozwiążą twoje palące problemy, a przynajmniej jeden. Stoisz jak swój własny pomnik, statua pijanego myśliciela z torbą w ręce, a wokół faluje morze ludzi, którzy nawet w ten deszcz nieustannie czymś handlują - gumą do żucia, perfumami, płaszczami, butami, pornografią, pistoletami, narkotykami - pod samym nosem osłupiałego Dzierżyńskiego, który do złudzenia przypomina Don Kichota, kłębią się wokół ciebie i ciągną cię za rękawy, szczerzy, prostoduszni ludzie o zagadkowych i świetlistych rosyjskich duszach.

W duchu wykonujesz tymczasem pionowy przekrój własnego ja. W ten sposób z pewnością łatwiej będzie się skoncentrować i dotrzeć do istoty rzeczy. Zatem na spodzie mamy piwo. Mniej więcej trzy litry żółtego, mętnego napoju, nawarzonego specjalnie z myślą o proletariacie. Wyżej ciepła i czerwona warstwa wina. Tam rodzą się procesy górotwórcze, to wulkaniczne głębiny. Jeszcze wyżej, gdzieś na poziomie przewodu pokarmowego, stosunkowo cienka warstwa wódki. Jest to segment bardzo aktywny w sensie biologicznym. W pewnej chwili może stać się katalizatorem potężnych tendencji prowadzących do wielkiej odnowy. Ściśle mówiąc, to ładunek wybuchowy. Ponad wódką, bliżej gardła, zalega pokład enwuemu - „napoju winogronowego mocnego”. W razie erupcji tym właśnie tryśniesz najpierw. Jest śmierzący i bury jak nafta.

Tak oto, w najogólniejszym zarysie, wygląda schemat twojej wewnętrznej pustki. Na temat krwi oraz wszystkiego innego na razie jeszcze milczymy.

Teraz z kolei pewne miłe odkrycie. Okazuje się, że w Barze razem z wydaną resztą przeszła na twoją własność dwukopiejkowa moneta. A to oznacza, że z najbliższego automatu należy zadzwonić do Cyryla, aby uprzedzić o swoim prawdopodobnym spóźnieniu.

Tym razem chyba nikogo nie ma. W końcu słyszysz w słuchawce znajomy głos.

- Eee, Cyrylu, cześć, to ja - zagajasz.

- Okej.

- Co za „okej”, do diabła? Dzwonię, nie słyszysz?

- Słyszę, przyjacielu.

- Jestem już tutaj, na miejscu.

- Co przez to rozumiesz?

- Mówię, że przyszedłem! Przyszedłem, jasne? Przyszedłem i stoję! Przecież umawialiśmy się pod Światem Dziecka, nie?

- Pod Światem Dziecka? - na odległość widzisz, jak hajdamackie brwi Cyryla unoszą się ze zdziwieniem. - Kiedyż to myśmy się tam umawiali? Co ty pleciesz, chłopie? Co z tobą?

- Ze mną wszystko okej, Cyrylu. Chociaż niedawno uniknąłem niechybnej śmierci. Rzecz w tym, że wyleciał w powietrze Bar na rogu Arbatu - ten sam, w którym kiedyś pokazywałeś mi gazetę „Ruchu”.

- Co ty bredzisz? Źle się czujesz?

- Źle. Bardzo źle, Cyrylu. Składałem się z czterech wewnętrznych warstw.

- Czy nie mógłbyś mimo to tu przyjechać? - W jego głosie słychać szczere zaniepokojenie, które graniczy z konsternacją. - Kończymy już redagować pierwszy numer. Przez ciebie jesteśmy spóźnieni. Myśmy się nieźle napracowali: Omelan Porfirowicz, Andrzej, Luba...

- Cyrylu - przerywasz - mógłbyś dać Lube do telefonu?

- Zaraz - odpowiada z wahaniem. - Ale co ci jest?

- Mam jej coś ważnego do powiedzenia.

- Halo - słyszysz niebawem głos Luby.

- Luba - mówisz, starając się włożyć w to słowo jak najwięcej czułości, całą swoją czułość, całą czułość świata.

- Tak, słucham - Luba obdarzona jest pikantną rosyjską wymową, nawet jeśli mówi po ukraińsku.

- Luba, od dawna chciałem pani powiedzieć...

- Co; co pan chciał mi powiedzieć, panie Ottonie?...

- Ze pani szalenie mi się podoba. Zupełnie straciłem głowę dla pani nóg, najpiękniejszych nóg na świecie... Proszę mi je bliżej pokazać, pani Lubo...

- O Boże, co znowu - śmieje się - miło mi to słyszeć, Ottonie, ale...

- Nie trzeba żadnych „ale”, proszę panią, Lubo - jej imię ciepło wychodzi z twoich ust wraz z ciepłym oparem enwuemu.

- Co się z panem dzieje, mój drogi? Nigdy bym nie pomyślała...

- Proszę pomyśleć, Luba, Mi-ła, Mi-łość-ci...

Ona znowu chichocze nerwowo, w jej głosie brzmi zakłopotanie i pewna oschłość, ale raptem w słuchawce zapada cisza. Trzy minuty, przeznaczone na połączenie, minęły.

Tak. Jedno wyjaśniłeś sobie dokładnie. Miałeś się spotkać z Cyrylem u niego w domu. Znaczą pod Światem Dziecka tkwisz jak słup z jakiegoś innego powodu. Ale z jakiego? Chcesz wiedzieć? Trzeba chyba zapytać Dzierżyńskiego. Żelaznego Feliksa. Nie, Żelaznego Zygryda. Konrada Klauza Ericha Dzierżyńskiego. Albo Rainera Anzelma Willibalda Kirowa. Albo Wolfganga Teodora Amadeusza Lenina. Jest tu nieopodal, pod szkłem, bardziej żywy od żywych.

Mam! Trzeba spróbować dostać się do środka, prze-czołgać się przez paszczę tego monstrum i jakiś czas pobyć tam, w jego brzuchu. Być może tam wszystko sobie przypomnisz. Wystarczy jakiś drobny niuans, niewyraźna aluzja, odległe skojarzenie - i przypomnisz sobie wszystko: po co się tu przywłokłeś, na co to wszystko i po kiego wala w ogóle żyjesz na tym świecie, ty pijany potworze z mizernym talentem do rymowania. Zatem - avanti, wpierd i do wejścia, rozepchnij łokciami całą tę prymitywną, wieloetniczną tłuszczę i wtargnij w ten okrutny, ciasny, nienormalny, nerwowy, cyniczny Świat Dziecka! Może właśnie tutaj, w tych salach, na tych piętrach, w tych bezsensownych kolejkach po nic nasze dzieci tracą bezpowrotnie swoje dzieciństwo i przestają być dziećmi. Wychodzą stąd jako ukształtowani debile, przydatni jedynie w procesie budowy komunizmu albo realnego socjalizmu, czy też do jakichś innych, równie absurdalnych zajęć.

Parter to zabawki. A dokładniej mówiąc, nieobecność zabawek. Spośród całego możliwego asortymentu, z całego świata czarownych fantazji, ze wszystkich istniejących obok siebie baśniowych przestrzeni, tutaj występują tylko papierowe składane gołębie, którymi zavalone są wszystkie stoiska. Tysiące, setki tysięcy, miliony składanych papierowych gołębi! Cały matecznik papierowych gołębi, zapakowanych w niebieskie pudełka. Wszystko inne wykupiono jeszcze przed rewolucją. I tylko papierowe gołębie istnieją po to, aby na użytek obcych wywiadów stwarzać iluzję pełnych półek i zabawkowego dostatku. Gołębie produkuje pewna fabryka czołgów w ramach produkcji ubocznej. Czasem

jacyś zniechęceni klienci, machnąwszy na wszystko ręką, zdobywają się na odwagę i kupują. I szczęśliwe radzieckie dzieci, rozmazując po policzkach łyżę zawodu, niosą pod pachą papierowe gołębie. Rozczarowania, straty moralne i zgrzytanie zębów. Ale gołębi na półkach od tego nie ubywa.

A gdzież to oni mają toaletę, ha? Masz straszną ochotę się odlać. Co jakiś czas widzisz rozmaite absurdalne strzałki, na przykład „1 Alejka Artyleryjska”, ale tobie nie chodzi o armaty, ty chcesz wystrzelić z czegoś innego zwykłym ciepłym strumieniem, żeby lżej zrobiło się na sercu, żeby odrodzić się w tej przeogromnej sali, pośród rozdrażnionego i pokornego tłumu. Mijasz jakieś puste stoiska, potem dział szczoteczek do zębów i płyt gramofonowych, wypełniony papierowymi gołębiami i śmierdzącymi hymnami wszystkich republik związkowych, wydany przez firmę Melodia, aż oto - nareszcie!

Niedwuznaczne drzwi z literą M. Wymacujesz w kieszeni dwadzieścia kopiejek. Chociaż gdyby zażądali stu rubli, nie targowałbyś się nawet sekundę. Babcia przy wejściu czule przyjmuje twoją monetę. Moskiewskie babcie klozetowe umieją współczuć pijakom. Nigdy się nie kłóca, nie wyklinają, traktują ich jak dopust Boży. Być pijanym w Moskwie to jakby być rudym w Irlandii. Czy można człowieka prześladować z powodu koloru włosów? Chyba nie.

Podchodzisz do pisuaru, ściany wyłożone starodawnymi, może nawet antycznymi kafelkami, i mimo woli zwracasz uwagę na szacownie odzianego szpakowatego jegomościa, który po prostu stoi sobie i pali. Chuderlawy południowy typ, na oko chyba ze sześćdziesiąt lat, garnitur bez zarzutu, krawat ze lśniąca szpilką, złoty ząb, opalona twarz - jakiś Azer albo Arab, a może Cygan. Odprowadza cię lepkim spojrzeniem. Coś ostatnio zbyt wielu pedałów się namnożyło - przeczuwają pewnie nadchodzące zmiany w ustawodawstwie i coraz śmielej demonstrują swoje oryginalne skłonności.

Torbę zarzucasz na ramię i nieco zgrabiętymi na deszczu palcami zaczynasz walczyć z suwakiem. W takiej chwili najważniejsze to zachować spokój i nie przyjmować tego, co pożądanego, za rzeczywistość. Przykro byłoby doznać porażki przed samą metą. Dlatego każdy twój wyważony ruch dowodzi maksymalnej koncentracji i zagłębienia we własne jestestwo...

Wszystko trochę trwało, ale faktycznie dostarczyło ci całego morza satysfakcji. Zaciągasz suwak i obojętnie przechodzisz obok szpakowatego wujaszka o nietypowych preferencjach. Bezcelnie wytrzeszcza na ciebie oczy, w dodatku jeszcze uśmiecha się kącikami ust. Źle trafiłeś, szanowny panie! Z samymi tymi wszystkimi babami trudno sobie poradzić. Na próżno kusisz mnie swoim złotym zębem. Ciao, stary!



Okazuje się, że trzeba było zaczynać właśnie od toalety. Bo po tej wizycie doznałeś niezwykłego olśnienia i nagle przypomniałeś sobie o przyjaciółach, ich dzieciach i o tym, po co tu przyszedłeś. Wychodzisz z sali i widzisz sytuację jasno jak na dłoni. Toteż póki nie jest za późno, warto by kupić kilka papierowych gołębi. To jedyna rzecz, jaką możesz zrobić dla twoich przyjaciół oraz ich uroczych maluchów. Zresztą nie taki to kiepski prezent - bądź co bądź symbol pokoju i Ducha Świętego. Mimo wszystko jednak nie czołg i nie karabin czy jakaś inna militarna głupota.

Sięgasz po portfel. Masz w swojej wielkiej torbie taką boczną kieszeń. Ale portfela w niej nie ma. No cóż, spokojnie, von F. Samo przez się zrozumiałe, że portfel jest nie w bocznej kieszeni, ale w środku. Oczywiście włożyłeś go tam, zapłaciwszy za jedzenie w Barze. Przyklękasz na kolano i otwierasz torbę. Długo i uparcie gmerasz we wnętrzu. Ale znajdujesz tylko jakiś wielki i płaski pakunek, zawinięty w „Litieraturną Rossiję”. Jakaś wąsata ryba. Sum! Skądże on się tu wziął, może mi ktoś powiedzieć?

Cóż, rybka to też nieźle. Ale gdzie portfel? Gdzie on się podział, cholera jasna! Nie było tam znów tak dużo, ale był to cały twój szmal. Plus bilet na samolot do domu, przecież za dwa tygodnie masz na stałe wrócić do domu i stałeś po ten bilet w kolejce cztery i pół godziny.

Jeszcze raz przeglądasz saczek-nieboraczek. I zaczynasz macać w jego pustce, w pysku suma, sięgasz ręką do wszystkich działów, sekcji, stoisk, boksów, kieszeni. A tymczasem z toalety wychodzi szpakowaty jegomość ze szpilką w krawacie. Wasze spojrzenia na moment krzyżują się. Ujrawszy cię, robi gwałtowny zwrot na wysokich obcasach, skręca w prawo i znika w bocznym wyjściu.

Oto co znaczy zepsuta, postmodernistyczna świadomość, von F.! Wziąć zwykłego kieszonkowca, starego, subtelnego arystokratę, wirtuoza w swojej dziedzinie za pedała! Bez wątplenia to on zajął się twoją torbą, kiedy rozkoszowałeś się procesem oddawania moczu. I teraz, durniu, masz dosłownie kilka sekund na zastanowienie. Łapać jakiegoś tutejszego glinę, zmobilizować ich wszystkich do poszukiwań, ogłosić przez radio wszechzwiązko-wy pościg, włączyć syrenę, zebrać najlepszych kryminologów i sporządzić komputerowy portret pamięciowy. Ale poczekaj, przyjacielu, przestań się miotać. W twoim stanie nieważkości zbyt ryzykowne jest szukanie wsparcia w szeregach milicji. Ta przygoda może zakończyć się dla ciebie odbiciem nerek lub wątroby i lodowatym prysznicem. A ty lubisz tylko gorący, a w dodatku już po dziurki w nosie nasiąkłeś wszystkimi deszczami Moskwy.

Rzucasz się do wyjścia, w którym przed chwilą znikł baron cygański. To klatka schodowa, schody wiodą w górę, ale i w dół, do piwnic Świata Dziecka. Wątpliwe, by baron

poszedł na dół, bo co miałby do roboty w tych ponurych lochach, kto tam na niego czekał? Jasne, że mógł zwiewać tylko w górę - żeby zgubić się gdzieś na wyższych piętrach, pośród manekinów, mundurków szkolnych, płaszczy, spodni, butów, których co prawda od dawna już próżno szukać. Wszystkie piętra są z pewnością tak samo zawałone papierowymi gołębiami. Złoczyńca mógł się ukryć wśród nich. Tak, niewątpliwie udał się w górę.

I dlatego intuicyjnie zbiegasz w dół. Kilka pięter, jakieś drzwi z kłódkami, najwyraźniej zamknięte, długi wąski korytarz, oświetlony jedyną żarówką przy wejściu. Ani żywej duszy, jak w trzecim dniu stworzenia. A jednocześnie uczucie takie, jakby ktoś tu był, jakby ktoś oddychał potajemnie w tym półmroku, za którymiś drzwiami. Trzeba się zaciąć i czekać. To jedyna szansa. Czekać, dopóki nie zamkną wszystkiego na świecie. Jeżeli on gdzieś tu jest, to na pewno wkrótce będzie chciał wyjść.

Kucasz za ciężkimi, żelaznymi taczkami z koślawym czarnym napisem „Dział obuwniczy”. Nadstawiasz ucha, ale słyszysz tylko odgłosy potępieńczego życia sklepowego na górze. Forsę można by pożyczyć, powiedzmy, od Cyryla, ale teraz on jest na ciebie obrażony, a w dodatku nagadałeś przez telefon jego żonie kupę nieprzyzwoitości na temat jej nóg, średnich zresztą. Ale najważniejsze, to jak teraz zdobyć bilet do domu. Bo przecież biletów dawno już nie ma - tego jesteś pewien.

Pozostaje tylko zamknąć oczy i po cichu skonać tutaj, koło tych taczek. Ty, który w swoich marzeniach miałeś podróżować i pisać ezoteryczne, przejmujące wersy, budząc się w Wenecji i zasypiając w Jerozolimie, ty, który pragnąłeś objąć wszystkich ludzi świata i kochać wszystkie kobiety świata, ty błaznie, który traktowałeś życie jak mocny kosztowny trunek, zdychaj teraz tu, nikomu nie znany, nie zidentyfikowany trup w wilgotnym swetrze. Cicha łza spłynęła ci po policzku. Nie czekajcie na mnie, wy, co czekacie, nie przyjdę już do wasi Niedługo zamkną to gmaszysko. W ponurych podziemiach zapadną ciemności. Potem będzie jeszcze cała niedziela, a potem znowu noc. W poniedziałek znajdą cię tu, koło taczek, sztywnego. Chociaż, gdyby rozsądnie gospodarować sumem, można by pociągnąć nawet tydzień. Wodę też można by gdzieś znaleźć, na przykład w tych nieszczęsnych toaletach. Sprawa wcale nie wygląda beznadziejnie. Mimo wszystko wyśledzisz tego podłego złodziejaska i, odzyskawszy portfel, wrócisz do akademika wziąć prysznic, ogolić się, zjeść jakieś śniadanie. Wieczorem można będzie pójść do Małej Sali konserwatorium na Requiem Mozarta. Pod uszlachetniającym wpływem jego nieziemskiej muzyki zacząć w końcu poetycką powieść.

Otrzymać za nią od Jego Królewskiej Mości dożywotnie stypendium i ruszyć w podróż dookoła świata...

Lot twoich myśli przerywają kroki zbliżające się z biegnącego obok korytarza. Ktoś tam jednak był! Napinasz mięśnie jak łucznik przed wypuszczeniem strzały. Jednym ruchem, omal nie tracąc przy tym równowagi, zrywasz się zza tacek. Trzeba mniej pić. Przy końcu korytarza, akurat pod żarówką, widzisz błysk znajomej szpilki. To on!

Zastępujesz mu drogę.

- Oddaj - mówisz twardo.

- Czo ty, malczik? - wzrusza ramionami baron złodziejski. - Mnoho wypił, da?

Podejść dwa, trzy kroki bliżej. Wtedy można będzie dać mu kopa. W same jaja i tylko tam - okrutne to, ale pewne. Torba, którą trzymasz, może trochę przeszkadzać, ale i ona się przyda - jest dosyć mocna, z twardego skaju.

- Oddaj - powtarzasz twardo, robiąc następny krok naprzód.

Sięga do kieszeni. To już gorzej. Tego nie przewidziałeś. Ale udaje ci się kopnąć go w rękę i pojemniczek z gazem odlatuje daleko w bok. Kieszonkowiec rzuca się w tył - w ciemność korytarza. Teraz tylko nogi mogą ci pomóc, von R, pijane, ale dość długie, zmęczone nogi młodego poety. Zaczyna się pogoń...

Okazało się, że któreś drzwi - chyba ostatnie - nie są zamknięte. Potem znowu były schody, kręte, prowadzące gdzieś w dół, prawie nie oświetlone, z wyjątkiem czerwonych lampek sygnalizacyjnych czy innego dziadostwa. Złodziej miał nad tobą z pięć metrów przewagi i ciężko dyszał. Ale w żaden sposób nie udawało ci się skrócić dystansu. Gorzej niż on widzisz w ciemności i dlatego musisz ciągle zwalniać, niemal obmacując poszczerbione występy ścian na ostrych zakrętach. W dodatku twoja cholerna wielka torba nie zawsze płynnie wpisywała się w prześwit klatki schodowej.

Mimo woli przypomniało ci się, że prawdziwi kieszonkowcy - królowie najsubtelniejszego rzemiosła - zazwyczaj działają w grupach. I całkiem możliwe, że twój złodziejaszek wciąga cię w jakąś straszliwą pułapkę, do bandyckiej meliny, gdzie będziesz sam przeciwko wszystkim. Ta myśl sprawiła, że jeszcze bardziej rozboleła cię wątroba, a płucom coraz trudniej było złapać powietrze. Chciałoby się stanąć i plunąć na to wszystko, poleżeć gdziekolwiek.

Na szczęście schody wreszcie się skończyły. Na dole był jakiś korytarz, tym razem znacznie szerszy, ale za to zupełnie nie oświetlony. Trzeba było znów zwolnić, bo w takiej ciemności łatwo potknąć się o jakiś stopień i na dzień dobry oberwać pałąką, kastetem, czy choćby pięścią. Tym bardziej że kroki uciekającego umilkły. Dyszał tylko ciężko gdzieś tam przed tobą.

- Hej, stary! - przystanąłeś, walcząc z zadyszka. - Pogadajmy!

- Bud - odpowiedział. - Buc i frajer!

- Za daleko się zapędziliśmy, dieda - zacząłeś twardo. - W twoim podeszłym wieku niezdrowo tak skakać...

- Czio, nu czio ty priwjazałsia, czio prijebałsia, mu-dak ty, kalieka?- odpowiedział na to baron.

- Zamknij się i słuchaj! Aj hew e propozyszn. Zabieraj sobie całą forszę...

- Kakije hroszi, kakije hroszi, o czom ty szepczesz, sy-nok? - wy dyszał.

- Zabieraj sobie całą forszę z tego portfela, coś mi buchnął - ciągnąłeś dalej.

- Kakowo hamanca, czo ty honisz? - upierał się baron.

- Zabieraj sobie całą kasę, którą mi podprowadziłeś, zresztą uczciwie na nią zapracowałeś. Ale oddaj mi mój bilet na samolot, oddaj bilet z moim nazwiskiem. Tam jest moje nazwisko, kapujesz? Co ci z tego biletu przyjdzie, dieda? Tam jest moje nazwisko, jasne, ty chuju ciemny?!

- Nie.

- Czemu, wyjaśnij mi to, ty cygańska chabeto?

- Bo ja zdam jowo w liubuju kasu i hroszi poluczu - odparł cynicznie baron.

- Mało ci, ścierwo, tych pieniędzy, które są w portfelu? - zdziwiłeś się.

- Czto ty, malczik, jakych hroszej, czto ty, obkuriłsia, czto li? - zaczął znowu swoją prymitywną grę.

Postąpiłeś kilka kroków naprzód, w kierunku, skąd dobiegał jego głos. I od razu usłyszałeś, że on również się poruszył.

- Stój, dieda! - spróbowałeś nowego wariantu porozumienia. - Przecież my na pewno swojacy. Skąd jesteś, ha?

- Z Białej Cerkwi, malczik. To jest z Krzywego Rogu. To jest, na odwrót - z Szepietówki, stan Kaszmir, prowincja Pendżab... / nikakoj ty mnie nie swój, tlia ban-derows'kajal...

Skoczyłeś na oślep naprzód. Tego się nie spodziewał. Ale jednak zdążył ci się wyślizgnąć. 'Znów zaczęliście biec, tratując szaleńczo ceglany gruz, kawałki drutu i żelastwa, wszystko, co pretendowało do miana podłogi w tej zakazanej dziurze. Wymachując torbą nad głową, starałeś się zahaczyć nią o podbródek albo szyję złodziejaszka.

W końcu za kolejnym zakrętem jakoś ci się udało. Paskiem torby jak arkanem zacząłeś ciągnąć go w tył. Charczał i opierał się, wściekle wierzgając nogami, usiłując rękami zerwać z szyi twoją dość ciężką torbę. W pewnej chwili zdołał boleśnie kopnąć cię w kolano.

Padając, ściągnął go na siebie, ale on błyskawicznie zsunął z głowy pasek twojej torby i odzyskał swobodę ruchów.

Chwilę wahał się, czy dobić cię, rozplaszczonego na ceglanym gruzowisku, czy też, jak przystało na barona, oddalić się z podniesioną głową; wybrał to drugie.

- Jesteś buc i frajer - powiedział jakby na pożegnanie, oddalwszy się wcześniej na bezpieczną odległość.

Wówczas zuchwale wyciągnął z kieszeni twój portfel i w nikłym świetle swojej fosforyzującej szpilki zaczął liczyć pieniądze.

- Ciut mało - mruknął jakby do siebie. - Biedno żywio! synok, da? Aha, bilet! - Spojrzał na cenę biletu i to wyraźnie poprawiło mu humor.

- Pokal - machnął ręką na pożegnanie i pobłyskując szpilką; pewnym krokiem skierował się w stronę, skąd przed chwilą nadbiegliście, to znaczy do wyjścia, zapewne z nadzieją, że zdąży w porę wydostać się z tego Świata Dziecka czy z miejsca, w którym się znaleźliście.

Zgrzytnął zębami i w jednej chwili poczułeś wszystko naraz: że kolano szybko puchnie, że gorączka wzrosła i zaczyna tobą wściekle trząść, że alkohol wyparowuje z ciebie i niebawem nawet on nie pomoże.

- Jestem chory i ranny - rzuciłeś w ciemny korytarz. Z ciemności doleciał rechot twego przeciwnika. Był już dość daleko. Jego śmiech stawał się coraz gwałtowniejszy i głupkowaty. Wariackie rechoty świdrowały ci w uszach. Przemogłeś się i zacząłeś czołgać się w ślad za kieszonkowcem. Szorowałeś brzuchem po ceglanym gruzie i kawałkach drutu. Śmiech opryszka narastał, wypełniał korytarz, przelewał się w boczne chodniki, był coraz bardziej nieznośny, zwycięski. Choćby tylko z racji tego rechotu warto było zakatrupić starego błazna. Był po prostu gargantuiczny. Zdawało się, że nic i nigdy nie potrafi go powstrzymać. To nie był zwykły śmiech. To był żywio}...

Który zniemacka urwał się nieludzkim wrzaskiem bólu. CKrypiwy rechot przeszedł nagle w niesamowity ryk. Być może tak ryczy zwierzę, nadziawszy się na nóż. Być może tak kwiczy odrąbany świński łeb.

W końcu udało ci się stanąć na nogi. A krzyk nie ustawał. Xjtykając i spluwając, powlokłeś się w kierunku, skąd cJolatywał. Wrzask nabierał jakiejś nowej jakości - I coraz więcej było w nim przerażenia i rozpacz. Ten krzyk o nic nie prosił, bo już w nic nie wierzył.

Sytuacja rzeczywiście wyglądała beznadziejnie. Pojąłeś to, gdy po mniej więcej trzydziestu metrach natrafiłeś na odsuniętą klapę studzienki, z której wrzeszczał nieszczęsny

baron. Z pewnością wpadł tutaj, kiedy pochłonięty rehotaniem nie spojrzął pod nogi, co okazało się fatalnym błędem. Zawisł teraz ostatkiem sił, uczepliwszy się zardzewiałych prętów zbrojeniowych jakieś dwa metry poniżej klapy, w dole kłębiły się cuchnące potwornie odmęty kanalizacji; o obecności barona świadczył jedynie błysk złotego zęba, migoczący z jego rozdziawionej, wyjącej gęby. Rzezimieszek usiłował wdrapać się na górę, ale gęste bagno, w którym tkwił po pas, nie puszczało.

Ujrzał cię, kiedy twoja czarna sylwetka przesłoniła wylot jamy, i przestał wrzeszczeć.

- Synok, wytaszczi mienia - poprosił ochryple.

- Wątpię, czy to się uda, stary - odparłeś. Był wyraźnie rozczarowany tym, co usłyszał.

- Synok, nu nie podychat' że mnie, a? W hamnie, synok? A? - przeszedł do błagań.

- Każdemu jego los pisany - westchnąłeś.

- I droga szeroka - dodał on. - Pamagi, słysz, ziem-liaczok, wytaszczi mienia - wciąż musiał nieźle się natężyć, żeby przekrzyczeć chlupot kłębiących się pod nim nieczystości.

- Jak niby, twoim zdaniem, miałbym to zrobić? - zainteresowałeś się, chcąc mu trochę dodać otuchy przed czekającą go niechybną śmiercią.

- Ty spustis', bud' dóbr, siuda niże, czujesz, won po trubie, togda dostaniesz rukoju moju ruku, poniał? - jąkał z coraz większym trudem, raz po raz wypluwając kloacz-ne resztki, ale wciąż pobłyskując złotym zębem.

- Na pewno bym tak zrobił, stryju, ale kolano mi bardzo dolega - rozczarowałeś go ponownie.

I - Nu, izwini, nu, broś szutit', zemielia, nu, daj ruku, słysz?]

- Nie dam - przyobiecałeś twardo. - Przekaż ode mnie pozdrowienia, jak już będziesz w piekle. Idę sobie. Za bardzo tu śmierdzi!

Ostentacyjnie, chociaż on pewnie tego nie widzi, zatykasz nos. Nieszczęśnik znów zaczyna krzyczeć, bo i cóż mu pozostaje, i coraz głębiej zapada się w bure, mętne, straszliwe, ciepłe moskiewskie odchody.

A ty odsuwasz się od klapy i opierasz się o wilgotną ścianę korytarza, bo ledwie możesz utrzymać się na nogach i nie możesz słuchać tego krzyku, smród zapiera ci dech w piersiach, niemal płaczesz, bo żal ci jednak starego skurwysyna. A wraz z ostatnim jego zawołaniem, zakłębieniem i zachłyśnięciem gaśnie twoja nadzieja na to, że odzyskasz bodaj swój bilet na samolot...

Walczył jeszcze przez kilka minut. Okazał się dosyć silny. Ale w końcu odpuścił, rozwarł omdlałe palce i ześlizgnął się w dół, wody połknęły jego ciało i duszę i wszystko ucichło. W ciemnych czeluściach Moskwy pozostałeś tylko ty, von F., rozmyślając o tym, czy

jest choć kropla twojej winy w tamtej przedwczesnej śmierci, czy mimo wszystko, ryzykując życiem, powinieneś być uratować to arystokratyczne złodziejskie cielsko. I o tym, że kiedyś, czyszcząc zatkaną odchodami sieć moskiewskiej kanalizacji miejskiej, asenizacyjna brygada w maskach tlenowych wygrzebie spod warstwy mułu jakąś szpilkę od krawata, złoty ząb albo na wpół zetlały, napuchły portfel, pełen rozmaitego obrzydlistwa...

Ale teraz, von F., znalazłeś się w tej dziurze zupełnie sam. Jeszcze nie całkiem zdajesz sobie sprawę, w jakiej pułapce się znalazłeś, nieszczęśniku. Zdawało ci się bowiem, przyjacielu, że kuśtykasz dobrą drogą, okazało się jednak, że nie całkiem. Był to niewłaściwy korytarz i niewłaściwe drzwi. Bo wszystkie są zamknięte, wszystkie mury ślepe, a nieliczne żarówki wcale nie pomagają - nie, raczej są po to, żebyś mógł się, dumnie, przekonać, że żadnego wyjścia nie ma.

Tym bardziej że już dawno po siódmej, co oznacza, że całego tego kolosa nad twoją głową, cały ten Świat Dziecka zamknięto aż do poniedziałku i chodzi po nim tylko dwóch, trzech smętnych gliniarzy, niesłyszalnych jak zjawy strzegące przestrzeni wypełnionych papierowymi gołębiami. I nawet gdybyś wydrapał się na górę, nawet gdybyś znalazł stąd wyjście, i tak nie ominą cię rozkosze aresztowania i przesłuchiwania, a potem - bo czemuż by nie - zostaniesz jeszcze dodatkowo skopany po wątrobie i gdzie popadnie.

Toteż masz do wyboru, drogi von F., aż dwa warianty. Pierwszy polega na tym, aby jakimś cudem dożyć w tych ciemnościach do poniedziałku, uprzednio znalazłszy jednak to przekłete wyjście, przy którym można by się przyczaić. I w poniedziałek rano najspokojniej w świecie wynurzyć się, pogwizdując, i pójść sobie w cholerę (do akademika, do Cyryla, do Gali, do Małej Sali konserwatorium, do baru piwnego przy Fonwizina - dalej jest już całe mnóstwo możliwości). Drugi polega na tym, aby walkę uznać za sens życia. Ten wariant kryje w sobie uparte i wyczerpujące poszukiwanie jakiejś trzeciej, jeszcze nie znanej ci możliwości wyrwania, a raczej - wybabrania się stąd.

Bez wahania, pijany cymbale, wybierasz wariant drugi. Bo cóż ci pozostaje, jeśli nie bezpodstawa nadzieja na cudowne wybawienie? Dlatego chcesz pozostać chłodny, twardy i racjonalny. Mimo że w sytuacji, kiedy temperatura twego sponiewieranego cielska osiąga trzydzieści dziewięć stopni, jest to prawie niemożliwe. Ale spróbuj, kochany, spróbuj.

r 123

Zatem. Istnieje piwnica, w której się znajduję. Możliwe, że to jakieś zapasowe pomieszczenia Świata Dziecka albo, powiedzmy, komitetu państwowej bezpieki. Zresztą pogoń za nieszczęsnym Cyganem, niech mu piekło lekkim będzie, połknęła tyle czasu i przestrzeni, że może już być na przykład XVI wiek, epoka Iwana Groźnego. Te podziemia

mogą się ciągnąć pod Bóg wie czym - pod murami Kremla, pod Soborem Uspieńskim, pod Teatrem Bolszoj, pod Centralą Telegraficzną, pod Pocztą Główną, pod hotelem Metropol, pod CUM-em, GUM-em lub jakimkolwiek innym gównem.

A propos. Spójrzmy na to pod kątem kanalizacji. Szambo kłębi się nie tak znów głęboko pode mną. Przy tym jest to jedna z magistrali - koryto, które przyjmuje inne, średnie i małe ścieki. Czy można jeszcze coś do tego dodać? Ano nic. A radzili mi kiedyś mądrzy ludzie, żeby nauczyć się schematu moskiewskiej kloaki - w życiu, jak i w literaturze, wszystko może się przydać, tym bardziej że chciałem tę kloakę opisać w wierszowanej powieści. Jednak lenistwo i kobiety przeszkodziły mi w tych planach. Z całej wiedzy na temat systemów kanalizacyjnych zapamiętałem jedynie słowo „kolektor”, chociaż o kolektorach można mówić również w odniesieniu do bibliotek. Zresztą, każda biblioteka to wielki (większy lub mniejszy) kanał, zbierający plody ludzkiego ducha. Sformułowanie, które warto zapamiętać na użytek mojego przyszłego wykładu noblowskiego.

Hej, von R, o jakim noblowskim wykładzie bredzisz, kretynie, o jakim noblowskim wykładzie, gołąbku? Na razie siedzisz pod ziemią, pijany, chory, obdarty, z rozwalonym kolanem, bez pieniędzy, bez biletu na samolot, nie wiesz, jak się stąd wydostać i czy w ogóle można się stąd w jakikolwiek sposób wydostać, jesteś na granicy bytu i niebytu, von E, i to nie są żarty, ale ty, zamiast powoli oswajać się z najgorszym i gotować na spotkanie ze śmiercią wyzwolicielką, ni w pięć, ni w dziewięć zaczynasz oswajać się z tym, co najpiękniejsze i przygotowujesz do Nagrody Nobla. Można tylko gorzko zaśmiać się nad tobą, błażnie, i to wszystko!

Zaczekajcie, przyjaciele, nie spieszcie się tak z tym zrywaniem boków ze śmiechu. Taki jeden przed chwilą właśnie śmiał się do rozpuku. Wiecie, czym to się skończyło. Dlatego nie radzę. A jeśli idzie o bezpodstawne, jak mówicie, marzenia o Noblu, to ja tylko tak, żeby człowiekowi było raźniej. Przecież Nagrodę Nobla przyznaje się tylko żyjącym. Więc muszę o niej myśleć, żeby przeżyć. Bo martwi otrzymują tylko nagrodę od Boga. Martwi nie wiedzą, co to wstyd. Martwi wszystko mają gdzieś. Martwi nie czują bólu. Martwe pszczoły nie brzęczą. A ja bym chciał jeszcze pobrzęczeć, moi kochani, moi złoci.

Cóż, kochany von R, dość przekonująco, jak na możliwości twojej pijanej głowy, wyłożyłeś swoje na wpół uświadomione dążenia. Ciekawie będzie obserwować cię dalej. Bitte, setzen Sie fort, mein Schatz]

Spróbuję, moje szanowne głosy wewnętrzne. Zastanówmy się teraz, jak to wygląda od strony metra. Zawsze pociągało mnie przez swoją dziką apokaliptyczność. W takich wagonach woziłbym grzeszników do piekła. Wszystko - poczynając od bramek wejściowych,



które przerażają swoją stalową automatyką, od nie kończących się eschatologicznych ruchomych schodów, na których zastygły postacie katatoników lub wiecznie spłoszone sylwetki paranoików, aż po podziemne pociągi, które wynurzają się z mroku, z przeraźliwym piskiem hamują na stacjach ochrzczonych bandyckimi imionami, aby pół minuty później runąć znów gdzieś w ciemność, zacisnąwszy w drzwiach czyjeś pechowe ręce, pośladki, głowy.

Tak więc także metro powinno być niedaleko. Według wszelkich moich przypuszczeń znajduję się pomiędzy stacjami Dzierżyńska oraz Prospekt Marksa (zresztą niczego sobie towarzystwo!). Ale cóż zrobić - to pułapki totalitarnej przeszłości, tutaj prawie wszystkie stacje są takie. I któreś z następnych drzwi, na jakie natrafię, mogą prowadzić prosto na stację metra. Albo na tory. Ciekawe, w jakim układzie, jeśli idzie o poziom korytarzy, są względem siebie moskiewskie metro i kanalizacja? Co znajduje się wyżej, a co niżej? Czy może tworzą one jedną i niepodzielną całość? Bo architekci imperium uwielbiali takie różne sztuczki. Powiadają, że istnieje jakoby całe odgałęzienie metra, które przeznaczone było wyłącznie dla Stalina. Jeździł sobie w miękkim pulmanowskim wagonie, po obu stronach toru rozmieszczone były katownie ze szklanymi ścianami. Z okna swojego przedziału wielki fantasta rozkoszował się, obserwując, jak miażdżą jaja tym, co z nim rywalizowali w miłości do leninizmu. Owo tajne odgałęzienie nie zostało uwzględnione na żadnej ogólnodostępnej mapie. Wszyscy udają, że niby nie istnieje.

Przyznaj szczerze, von F., że sam to przed chwilą wymyśliłeś! Tor metra, którym wożono tylko Stalina! Katownie z przezroczystymi ścianami! A bananowych plantacji dla dowództwa Czeka tam nie było? A haremów z dwunastoletnimi nałożnicami dla spróchniałej krem-łowskiej elity? Basenów, garaży, restauracji, lotnisk? Sosnowych lasów nadających się idealnie do biegania na fińskich nartach? Akwarium z delfinami i krokodylami dla serdecznej uciechy wiekowych generałów? Nie było?!

Wszystko było, przyjaciele. Imperium było zdolne do wszystkiego. Tutaj panuje aura czegoś tajnego, zakazanego. Tutaj ukryto miliony zbrodni. Wszystkie te zaniedbane korytarze mają wielkie znaczenie strategiczne. To w nich wykuwały się najhuczniej świętowane zwycięstwa. To katakumby, z których wyszło imperium i do których powróci, kiedy zacznie się jego zmierzch. Dlatego powinny się tu znajdować nie tylko haremy czy katownie, ale całe miasta. Magazyny przeogromnych składek partyjnych. Być może, jeśli pociągnąć za ten drut, otworzy się grot z diamentami przeznaczonymi dla dyktatury proletariatu. Albo ni stąd, ni zowąd coś wyleci w powietrze, na przykład jakieś miasteczko Maastricht. Bo imperium mogło wszystko. I nawet dzisiaj jeszcze może.

Pewnie teraz dworujecie sobie ze mnie, a ja właśnie natrafiłem na jakieś wpół uchylone, pancerne drzwi. Zszedłem dwadzieścia stopni w dół i znalazłem jeszcze jedne drzwi - dwukrotnie masywniejsze, z jakimś niemal biblijnym napisem: „PRIEŻDIE, CZIEM OTKRYT’ DANNUJU DWIER’ - UBIEDIS’, CZTO ZAKRYTA DWIER’ PRIEDYDUSZCZAJAW”. Nie bacząc na ból w kolanie, znów pokuśtykałem dwudziestoma schodkami w górę, aby się upewnić. Drzwi były otwarte. Odetchnąwszy z ulgą, ponownie poczołgałem się na dół i napałem na owe monumentalne, opatrzone napisem.

Przede mną ciągnął się tunel. Prawdziwy tunel metra, z szynami i pojedynczymi lampkami. Radośnie wskoczyłem weń, ciesząc się, że jednak potrafiłem znaleźć wyjście z tej przeklętej pułapki. Ale w tej samej chwili moje biedne kolano dało o sobie znać tysiącem ukłuc; a w dodatku już na torach uświadomiłem sobie, że palnąłem niebywałe głupstwo.

Bo z ciebie jednak, von R, dureń, chociaż zarazem wielce utalentowany poeta. Wyobraź sobie oto, że właśnie teraz na najbliższą stację wjeżdża szybki pociąg metra. Drzwi wagonów rozsuwają się. Pedalski głos z taśmy magnetofonowej informuje: „Stacja Chujińska. Uwaga, drzwi się zamykają! Następna stacja - Plac Bydłowa!”. I drzwi faktycznie się zamykają, pociąg rusza i rozcinając ciemności tunelu dwoma potężnymi reflektorami, osiąga swoją pierwszą prędkość podziemną; wtedy maszynista nagle spostrzega przed sobą na torach jakąś absurdalną, kuśtykającą postać z wielką torbą. - Co jest, kurwa twoja mać?! - tyle zdąży pomyśleć, ale po tobie, bałwanie, pozostaną już tylko rozmazane po szynach flaki... A maszynista dochodzi do wniosku, że to jakieś zwidy skacowanej wyobraźni i - pogwizdując „nie-syp-mi-soli-na-ranę” - pogna swoją maszynę dalej - do stacji Plac Bydłowa. Podobają ci się to, von R?

A jeżeli ci się nie podoba, to po jakiego wała tu wskakiwałeś? Przecież wygrzebanie się z tunelu moskiewskiego metra jest prawie niemożliwe. Pozostaje ci tylko jedna niepewna szansa: musisz uwierzyć, że w związku z krótkim strajkiem ostrzegawczym nastąpiła chwilowa przerwa w ruchu pociągów i posyłając do wszystkich diabłów bolące kolano, gnać co sił do następnej stacji, jakkolwiek się ona nazywa. Żeby zdążyć na oświetlony, zatłoczony peron, zanim przeleci ci po żebrach bezlitosny rydwan postępu (he, he, nieźle powiedziane, co?!). I jeśli ci się uda, w co nie wierzymy, to być może tam, na stacji, jacyś dobrzy ludzie wyciągną cię, podsuną pod nos amoniaku, ułożą na chłodnym betonie pod marmurową kolumną i wezwą posterunkowego Gołosraczenkę, a on zabierze cię na przykład do izby wytrzeźwień, gdzie będzie zimna woda, tłum jakichś Bogu ducha winnych chłopów i gdzie zapytany o „miejsce pracy” będziesz mógł najwyżej odpowiedzieć: „kancelaria Pana Boga”...

I puszczasz się pędem, choć co chwilę zdaje ci się, że z tyłu słyszysz złowróżbny łomot kół albo że z przodu oślepią cię już zabójcze reflektory; zmęczone nogi uginają się pod tobą. Life in the fast lane, jak powiadają bracia Amerykanie. Bieg po życie. Jeżeli to bezsilne kuśtykanie można nazwać biegiem. A to obrzydliwe istnienie - życiem. Najbliższe zaś prawdy będzie chyba takie określenie: bezsilne, zasapane kuśtykanie po obrzydłym, wstrętne istnienie.

Toteż, kiedy znienacka rozlega się suche jak wystrzał „Stoj! Ruki wwierch!” i zatrzymujesz się, z rękami oraz torbą nad głową, odczuwasz nawet sporą ulgę...

Otoją przed tobą na torach i obmacują cię, tną snopami latarek. Jest ich może pięciu. Ale to, co w pół oślepieniemu udaje ci się zauważyć, to ich niezwykle, absurdalne uzbrojenie. Każdy z nich ma pod pachą jak nie miotacz ognia czy ręczny karabin maszynowy (pod jakim dziesięć lat temu uginałeś się, maszerując w legendarnej piechocie - królowej broni), to przynajmniej kilka niezawodnych pistoletów nadzianych straszliwymi kulami dum-dum. O niewiarygodnej liczbie noży, wystających ze wszystkich możliwych kieszeni, nawet nie warto wspominać. A przecież w tych kieszeniach są jeszcze granaty, laski dynamitu oraz inne, nowocześniejsze i arcyciekawe materiały wybuchowe, których nazwy już szczęśliwie pozapominałeś - Coś ty za jeden? - zapytał pierwszy, gdy tymczasem drugi, z brodą, obszukuje cię i znalazłszy w torbie śniętego suma, długo go obwąchuje.

- Wołają mnie Kropywa, ale tatuś pisali się Pidopry-hora - odpowiadasz grzecznie, zgodnie ze starą tradycją rodem z izby wytrzeźwień.

Wojacy wybuchają złowrogim rechotem. Tylko ten, który zadał pytanie, pewnie dowódca, zachowuje powagę, wściekle łypiąc okiem na swych podwładnych i na ciebie.

- Wo, blad', nazrałsia! - słyszysz aforyzm, który chyba już dzisiaj gdzieś słyszałeś.

- Jak trafiliście w strefę rządowego metra? - pyta twardym tonem dowódca.

- Jak tutaj trafiłem? - powtarzasz w zadumie. - A jak w ogóle znalazłem się na tym świecie? Jak inni tu się znaleźli? Przecież w nieskończonej kosmicznej nicości wszyscy stanowimy niezwykle przykłady triumfu przypadkowości. Ludzkość powstała dzięki przypadkowi. Cywilizacja powstała z przypadku. Chociaż z drugiej strony, przyjaciele, nad wszystkim czuwa Boża Opatrzność. Ona właśnie sprawiła, że składam się z czterech 129

elementarnych warstw. Wyłączcie, proszę was, choć jedną latarkę, bo czuję się jak na gestapo. Oczy boją. Dziękuję! Pierwsza warstwa mojej obecnej duchowości to piwo, wypite na Fonwizina. Wypite także czerwone wino stanowi drugą, w pewnym sensie bardzo newralgiczną warstwę...

Nad samiuśką twoją głową coś świsnęło - pewnie kula.

- Ja spraszycie, jak ty popal w ochraniajemuju zo-nu? - niecierpliw się dowódca.

- O to pytajcie tych, którzy ją chronią - wzruszasz prostodusznie ramionami, jak ów wodewilowy Omelko z epoki sentymentalizmu. - A ja opowiadam wam o znacznie donioślejszych i ciekawszych momentach. O właśnie, przypomniałem sobie! Złożony jestem nie z czterech, ale całych pięciu warstw! Bo powyżej czerwonego wina zalega jeszcze bimber, wypity znowuż tam, na Fonwizina!

- Ryba kakaja-to dochłaja, t-arisz kapitan - brodacz melduje rezultaty rewizji.

- Tak - mówi nieco spokojniej „t-arzysz kapitan”. - Aresztuję was. W celu wyjaśnienia okoliczności. Możecie opuścić ręce.

- Daj wam, Boże, zdrowie - dziękujesz. - A pan to w ogóle kto jesteś?

- Kapitan Szelud'kow, dowódca oddziału imienia Fa-rabundo Martiego do zadań likwidacji szczurów - unosi dłoń do swego beretu. Ki diabeł, honory oddaje?

- Ach, więc to pan! - wprost nie posiadasz się z radości z tak niecodziennego spotkania, nie masz jednak czasu nacieszyć się nim jak należy, bowiem ten sam brodacz zawiązuje ci oczy czarną chustką i szturcha cię w plecy czymś twardym i nieprzyjemnym.

- Wpieriod - mówi.

A wtedy pozostaje ci tylko wykonać ten rozkaz. Czujesz, jak cię otaczają, chociaż w twojej sytuacji o żadnej ucieczce nie ma co marzyć, jesteś jednak otoczony zewsząd przez szczurołapów-internacjonalistów; idziecie najpierw tunelem, owym martwym, tajnym odgałęzieniem, po którym teraz nie kursuje metro, potem gdzieś skręcacie, chyba w jakąś bramę, potem idziecie schodami w dół - znowu w dół! - potem któryś z nich wystukuje jakieś cyfry na tarczy mechanizmu blokującego i mur stawiany jeszcze przez niewolników Iwana III rozsuwa się, ale ty możesz tylko się tego wszystkiego domyślać: ruchomych ścian, napisów wykonanych starosłowiańskim duktem „POSTORONNIM WCHÓD WOSPRIESZ-CZIEN”. Z boku wygląda to pewnie dość zabawnie: wataha nad miarę uzbrojonych cudaków w ciężkim, niemal hokejowym rynsztunku, w plamistych panterkach czujnie prowadzi kulejącego, obdartego pijaczka z wielką i - jeśli nie liczyć suma - pustą torbą w ręku. Ale jeżeli według japońskich horoskopów jesteś, von F., właśnie szczurem, od razu ujawni się nam prawdziwe znaczenie tego wszystkiego. Szczurołapy złapały szczura. Chwała szczurołapom, hańba szczurowi!

Rzecz bowiem w tym, że już od roku kursują po Moskwie plotki, podsycane przez całą brukową - nie tylko czerwoną - prasę, jakoby w czeluściach metra rozmnożyły się wielkie jak owczarki szczury. Bezlitosne, oszalałe, w oka mgnieniu rozdzierają na kawałki wszystko, co się rusza, jako że grubość ich siekaczy sięga centymetra! Są nienasycone w

pożeraniu i w kopulacji. Szatańsko sprytnie i znakomicie orientujące się w labiryntach metra, bestie te, płody jakichś katastrof ekologicznych, mutanty Antychrysta, apokaliptyczne monstra albo - co gorsza - sztucznie wyhodowane w zamorskich laboratoriach i podstępnie wrzucone w nasze podziemia, stają się faktycznie władcami moskiewskich podziemi. Wcześniej dawały o sobie znać tylko w nocy. Teraz zaczęły się pojawiać nawet w dzień, i to na dość uczęszczanych stacjach, na przykład Barykadnaja, siejąc panikę; na stacji Biegowaja opanowały nawet ruchome schody i przez jakiś czas trzymały je pod kontrolą. Przepędzić te gryzonie w głąb tunelu udało się dopiero za pomocą potężnych laserów, takich samych jak te, które swego czasu powstrzymały frontalny atak hunwejbínów na granicy radziecko-chińskiej. Pociągi metra muszą teraz często i niespodziewanie hamować pomiędzy stacjami. Z prostej przyczyny: liczba szczurów wzrasta, buszujące na torach stada stają się tak wielkie, że koła po prostu grzęzną w miażdżonych zewłokach. Jednak chyba ta hekatomba wkrótce się skończy: obrzydliwe zwierzaki coraz lepiej przystosowują się do sytuacji. Zagryzły już kilku maszynistów, kilku innych zwariowało i zamknięto ich w klatkach i kazamatach instytutu psychiatrycznego imienia akademika Snieżniewskiego. Wszystko to utrzymywane jest jednak w ścisłej tajemnicy, za której złamanie grozi wyrok śmierci i winni zostają dożywotnio zesłani w moskiewskie podziemia. Rodziny ofiar i obłąkanych informuje się, że nieszczęśnicy przypadli bez wieści, bo przypadkowo pomylili tory i wjechali w jakieś nikomu nie znane ślepe odnogi.

Od pewnego czasu wszystko, co ma jakikolwiek związek ze szczurami z metra, otoczone jest nadzwyczajną tajemnicą służbową. W moskiewskim KGB utworzono specjalny pododdział z kilkoma laboratoriami. Prowadzone są jakieś badania przy udziale najwybitniejszych naukowców, bioenergoterapeutów i tybetańskich mnichów. Sformowano ochotnicze bojówki weteranów wojny w Afganistanie, które nocami przeczesują podziemną Moskwę i pociskami dum-dum bez litości rozwalają wszystko, co się rusza i choć trochę przypomina szczura. To krzepkie i ofiarne chłopaki. Oni właśnie prowadzą cię teraz, von F. I dziękuj Bogu, że od razu nie wpakowali w ciebie kilku serii, aby potem, schyliwszy ze skruchą głowy, udać trochę strapionych.

Idą w milczeniu, otoczywszy cię ze wszystkich stron, a ty wciąż usiłujesz wciągnąć ich w rozmowę.

- Hej, chłopaki - mówisz - zawsze podziwiałem waszą odwagę i poświęcenie. Już tylko wy zostaliście, jedyna chluba tego na wskroś zdemoralizowanego społeczeństwa. Oprócz, oczywiście, członków Biura Politycznego. Choć z drugiej strony, jeśli umiesz tylko wypuszczać bańki nosem i serie z automatu, jeśli twoje mięśnie są jeszcze młode, a zwoje

mózgowe nie dość rozwinięte, jeżeli w omonie nie ma wolnych miejsc z uwagi na szczególnie prestiż tej humanitarnej formacji, to chyba rzeczywiście możesz już tylko iść pod ziemię i polować na szczury. Ale mimo wszystko ciekawi mnie, o czym rozmawiają z wami wasze ukochane, przyjaciółki, żony i siostry, kiedy po ciężkiej nocnej zmianie włączacie do wanny, aby zmyć z siebie czarny żwir i zlepione kłaki sierści? Albo kiedy szukając czegoś w waszych kieszeniach, znajdują skręcony jak szpagat, półmetrowy kawał gołego ogona? Czy kochają was tak samo jak przedtem? Czy tak ochoczo oddają wam miłośnicie swe wiośniane ciała?... - Zachęcony ich tępym milczeniem, kontynuujesz: - Bo przecież rzecz nie tyle w szczurach, ile w samej potrzebie tępienia czegokolwiek. Całe życie udawadniałem sobie i innym, co prawda bez powodzenia, że świat jest zbyt brutalny, by słowami można go zmienić na lepsze, ale i zbyt delikatny, aby można go było odmienić za pomocą kul. To znaczy przeciwnie. No, sami rozumiecie. Pojawienie się w otchłaniach metra nie znanego dotychczas nauce - mam na myśli biologię porównawczą - gatunku szczurów należy traktować wyłącznie pod kątem wzbogacenia bytów. Chociaż sam w sobie każdy szczur, ze mną włącznie, jest niewątpliwie jakąś częścią zła, występując zarazem jako jego aktywny... eee... obrońca. Jednak z jakiegoś powodu wciąż mi bardzo żal tych zuchwałych, niepokornych, niepowtarzalnych, zgódźcie się, stworzeń. Mam na myśli szczury jako wyższe stadium ewolucji. Chociaż tak samo żal mi was. Bo wy; podobnie jak te szczury, jesteście być może ostatnim produktem imperium, jego łabędzim śpiewem. I właśnie dlatego w wojnie, którą toczycie, nie będzie ani zwycięzców, ani pokonanych, jedynie same ofiary...

Mógłbyś, von F., jeszcze z pół godziny rozwijać ten swój bezsensowny, błazeński monolog, gdyby nagle i bez uprzedzenia nie wepchnięto cię gdzieś, tak że padłeś na twardą i zimną posadzkę, zdaje się na goły beton.

- Popizdi mnie tu jeszcze, Zan-Pol Sartr dranyj - burknął bez złości młody kapitan Szełud'kow, zdzierając ci z oczu opaskę.

Była to klatka. Na szczęście dość obszerna, stojąca pośrodku ciasnego, dusznego i wilgotnego pomieszczenia, tak skąpo oświetlonego, że mogło przypominać jedynie „dieżurnyj swiet” w koszarach nocą. Z trzech stron odgradzały klatkę od świata (he, hel) grube kraty. Z czwartej, za twoimi plecami, była ściana i zamknięte drzwi, za którymi coś wściekle miało się i wyło, absolutnie jednak nie mogłeś określić, czym to coś mogło być.

- A tak w ogóle, kapitanie, na jakiej to podstawie traktujecie mnie jak jakiegoś szczura? - przypomniałeś sobie wreszcie o fundamentalnych prawach człowieka.

- Zostaliście zatrzymani w strefie rządowego transportu i telekomunikacji. To wystarczy - wyjaśnił dobitnie oficer.

- Wystarczy do czego? - zainteresowałeś się.

- Do wszystkiego - obiecał kapitan.

I dał rozkaz jednemu ze swoich orłów, aby zamknął klatkę od zewnątrz. Ponieważ znajdowały się tam jeszcze jedne, zakratowane drzwi. A sam oddalił się najwyraźniej złożyć komuś raport. Wyjaśnić okoliczności.

- Imperium jest takie zajmujące dlatego, że niektóre okoliczności wyjaśnia się po kilkaset lat. Potem wszystkich się rehabilituje - i ofiary, i oprawców - ale to nie ma już najmniejszego znaczenia - mówisz i ziewając, zapadasz w drzemkę, oparty plecami o zimne stalowe drzwi, za którymi coś miota się i drapie.

Może za jakieś trzysta lat archeologowie odnajdą twój szkielet...

Jednak z twoich planów, żeby sobie uciąć trzystuletnią drzemkę, nic nie wyszło. Po kilku minutach poczułeś na ramieniu łagodne, ale ciężkie dotknięcie.

- Co za cholera? - zainteresowałeś się ochryple, z trudem podnosząc ołowiane powieki.

Przed sobą ujrzałeś jakiegoś kłaniającego się jegomościa o nieokreślonym wyglądzie zewnętrznym, ale w garniturze i krawacie niezupełnie przystających do sytuacji.

- Otto Wilhelmowicz? - upewnił się.

To wystarczyło. Machanie ci przed nosem czerwoną legitymacją nie było już konieczne, chociaż facet regulaminowo nią pomachał.

- Bardzo się cieszę ze spotkania - uśmiechnął się.

- Radość komunikacji międzyludzkiej - westchnął ze smutkiem.

- No, po cóż wy tak - rozjaśnił się jeszcze serdeczniej. - Możecie mówić do mnie... eee... Saszko.

- Nie - odpaliłeś. - Jaki tam z pana Saszko.

- Wszystko jest względne, panie von F., zapewniam powiedział przekonująco. - Co za różnica, jak się wasz wie ta marna, doczesna powłoka? Najważniejsza jest nieśmiertelna dusza. A ona nie ma ziemskiego imienia, za ciasne dla niej jakiegokolwiek ludzkie imię. W pewnym sensie wy też nie jesteście Arturem... Ależ siedźcie, siedźcie...

Znacznie słuszniej mógłby powiedzieć „leżcie, leżcie”, ale zgodnie ze starą służbową tradycją pozwolił sobie na małą nieścisłość.

i Rozsiadł się na środku klatki na krześle, które zapewne sam sobie przyniósł.

- Zapalę sobie u was, można? - zapytał grzecznie.

- Proszę się czuć jak u siebie w domu - poradziłeś. Roześmiał się szczerze.

- Zawsze cenilem wasz subtelny, trochę złośliwy czarny humor. Te aluzje, uogólnienia, te niespodziewane porównania i metafory! Nawet teraz nie użyliście przecież tradycyjnego zwrotu „jak w domu” ot tak sobie w odniesieniu do - śmiech powiedzieć - klatki. Mam wrażenie, że chcieliście wyszydzić przede wszystkim całą naszą socjalistyczną ojczyznę. Czyż nie tak, Ottonie Wilhelmowiczu? - głęboko zaciągnął się dymem.

- Naturalnie - kiwnął głową. - Ale to tylko tak między nami - dodał szeptem. - Proszę nikomu o tym nie mówić.

- No, co też wy! - „Saszko” znów poweselał. - Jest to zupełnie uprawniony pogląd. Szanuję dobrą satyrę! Wiecie przecież, że mamy teraz swobodę wyrażania myśli satyrycznych. Jak powiadają, demokracja to wspaniała rzecz, ale niczego gorszego ludzkość nie mogła wymyślić. Tak że wasze słowa ani trochę nie pachną kryminałem. Inna sprawa, gdyby wpadło wam do głowy przemocą niszczyć istniejący ustrój państwowy...

- Nieistniejący - poprawił. Pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Sytuacja naszego ustroju państwowego jest istotnie skomplikowana, toteż podzielał wasze zaniepokojenie. - Papieros był chyba dość wilgotny, bo raz po raz gasł, a on musiał znów sięgać do kieszeni spodni po zapalnik. - Ale sprawa nie wygląda tak beznadziejnie. Wszystkie nasze plany wiążemy ze zjednoczeniem zdrowych sił patriotycznych, które do tej pory działały na ogół w rozproszeniu. Kurwa mać, już prawie tydzień, jak gniję tu w tych lochach, papierosy zawilgły!

I - I co tutaj robicie? - rzucił od niechcenia.

- Tego to nawet my nie wiemy - poufnym tonem wyjaśnił „Saszko”. - Jakieś ważne, ogólne sprawy, ktoś się tu z kimś spotyka. A my - jak to mówią - na posterunku. Przy okazji otrzymaliśmy informację o waszym zatrzymaniu. Postanowiliśmy zapewnić staremu znajomemu trochę rozrywki. A propos, co sądzicie o moim ukraińskim?

- Mógłby być gorszy - zauważył. - Jest zbyt poprawny, co od razu czyni waszą profesję oczywistą...

- Dziesięć lat w tej zasranej Moskwie, a ojczystej mowy nie zapomniałem - pochwalił się „Saszko”. - W naszym Komitecie stoję na czele koła towarzystwa miłośników języka ukraińskiego. A właśnie, napisałem niedawno wiersz!... Jak mogłem zapomnieć!

Sięgnął do tej samej kieszeni w spodniach i wydobyl z niej jakiś świstek.

- Proszę posłuchać, Ottonie Wilhelmowiczu. To taki klasyczny wiersz, ułożony na wzór klasycznych wierszy japońskich:

Na żółtych liniach jesiennego liścia  
Czytam wiersz O pierwszych wiosennych pąkach...



- No i jak? - zapytał wzruszony, po raz kolejny zapalając gasnącego papierosa.

- Wtórne - oceniłeś.

- A ja chciałem was prosić, żebyście mi go pomogli opublikować - wyznał rozczarowany. - Bardzo bym chciał, żeby mi coś wydrukowali. W jakimś piśmie, może być „Witczyzna” albo „Kyjiw”...

- Może lepiej w „Suczasnosti”?\* - zapytałeś.

„Suczasnist”<sup>6</sup> - jedno z najważniejszych emigracyjnych pism społ-polit., wydawane w Monachium, a od 1992 r. w Kijowie.

- A pomoglibyście? - mrugnął „Saszko”. Skrzywiłeś się i zamilkłeś.

Długo zapalał nowego papierosa. Później w zadumie zacytował kogoś:

- O mowo ojczysta, czymże jestem bez ciebie?

- Gównem - odpowiedział mu.

- Słucham? - nie zrozumiał „Saszko”.

- Chciałem powiedzieć, że bez ojczystego języka żaden czekista do niczego się nie nadaje.

- Nazywając mnie czekista, niewątpliwie chcieliście mnie zranić, ciężko obrazić, pokazać mi, gdzie moje miejsce czy coś takiego - odparł z nieoczekiwaną surowością „Saszko”. - Ale nie zapominajcie, błagam, że zostaliście zatrzymani w strefie rządowej telekomunikacji, co może zostać potraktowane jako zamach terrorystyczny i próba obalenia władzy siłą. W dodatku nie dalej jak przed chwilą nazwaliście Moskwę „zasraną”, a to całkowicie podpada pod artykuł o podsycaniu nienawiści pomiędzy narodami...

- Chwila! - spieszyłeś się nieco. - O ile pamiętam, to właśnie wy nazwaliście Moskwę „zasraną”, ja zaś - mimo iż w pewnym stopniu podzielam waszą opinię - nie mogę odpowiadać za coś, czego nie powiedziałem... Poza tym wszyscy jesteśmy tylko echem wielkiego Światowego Dzwonu i żadne nasze słowo nie rodzi się samo przez się. Nawiasem mówiąc, któż to się ciągle tak tłucze tam za ścianą?

- Cieszę się, Ottonie Wilhelmowiczu, że nareszcie zadaliście to pytanie. I ze szczególną radością informuję: za ścianą znajdują się dwa schwytane przez nas szczury, które są obecnie przedmiotem specjalnych eksperymentów. To wspaniałe okazy owych podziemnych monstrów, o których tyle się ostatnio wszędzie mówi. Niedługo minie już tydzień, jak nie były karmione, co powinno skończyć się tym, że jeden zeżre drugiego. Tak że zastanówcie się...

- Wyczuwam w waszych wyjaśnieniach odcień pogroźki - zacząłeś. - Śmiem przypuszczać, że doświadczenia nad zgłodniałymi szczurami można poszerzyć o pewnego

poetę. I chociaż w mojej krwi krąży niesławnej pamięci „napój winogronowy mocny”, mimo wszystko chciałbym zapytać: czego tym razem się ode mnie wymaga?

- Zupełnie niczego - uśmiechnął się czarująco „Saszko”, wdeptując w podłogę dopalonego wreszcie peta. - Nic od was nie chcemy, Ottonie Wilhelmowiczu. Absolutnie nic. Myślicie pewnie, że każemy wam wybierać, że postawimy was przed jakąś moralną decyzją, a wy dokonacie wyboru i zginiecie śmiercią bohatera! Nie, kochany! Żadnego wyboru! I żadnej nieśmiertelności. Bo i na co moglibyście jeszcze nam się przydać? No, chyba że jako część składowa eksperymentu, ty bezimienny kościotrupie...

- Zagrajcie mi lepiej na flecie! - oświadczyłeś, czując jednocześnie, jak ciarki maszerują ci po plecach.

- Rozumiem, co macie na myśli, mówiąc o flecie, jednakowoż nie czuję się urażony - „Saszko” zapalił następnego papierosa, który od razu zgasł. - Ale przyznajcie mimo wszystko, że w ten sposób wykonamy niezbędną dla świata akcję sanitarną. Bo przecież to bez sensu, żeby chodził po świecie taki nędznik jak wy.

- To wam się tak zdaje! - burknąłeś obrażony.

- Bez sensu, Ottonie Wilhelmowiczu, zapewniam was, że bez sensu! Wasze istnienie nie ma racji z żadnego punktu widzenia: ani teologicznego, ani ekologicznego, ani społeczno-patriotycznego. Weźmy dla przykładu wasz dzień dzisiejszy, sobotni. Zaczął się od występnego stosunku w łaźni akademika z obywatelką Republiki Malgaskiej o nazwisku Tatnaketea. Biedaczka do tej pory jest przekonana, że zstąpił na nią Ananmaalchoa - duch urodzaju, ogrodnictwa i płodności. Potem cynicznie piliście przy Fonwizina, gdzie wygłosiliście nacjonalistyczne, rasistowskie przemówienie, w którym, bluźniąc obficie, wzywał<sup>39</sup>

liście do rozlewu krwi w imię czystości piwa. Potem dopuściliście się rozboju z włamaniem do mieszkania Gali-ny K., współpracownicy podległego nam Instytutu Trucizn i Nietradycyjnych Metod Uśmiercania...

- Gala - wyszeptales ledwie słyszalnie, kompletnie porażony.

- Tak, Gala - potwierdził „Saszko”. - Kobieta, która dla was gotowa była na wszystko. Wy jednak, jak zawsze, działaliście w zdradziecki sposób. To jest wasz styl, von F. Jedną kobietę zdradzać z drugą, a tę drugą - z jeszcze inną i tak dalej. Tak samo było dzisiaj. W przypadku Galiny K. bardziej pociągająca okazała się dla was gorąca wanna. Okrutnie rozprawiliście się z nieszczęsną kobietą, notabene Rosjanką z pochodzenia, i fakt ten muszę ocenić jako przejaw ukraińskiego nacjonalizmu, podobnie jak za przejaw rasizmu uważam dokonany przez was poranny gwałt na malgaskiej poetce Tatnaketei...

- Było jej przyjemnie - próbowałaś powstrzymać ten strumień.

- Przyjemnie? - „Saszko” znów zarechotał na całe gardło. - Wasz czarny humor nie zna granic, Ottonie Wilhel-mowiczu. Nie szkodzi, wam też wkrótce zrobi się przyjemnie. Słyszycie, jak się niecierpliwą wasi sąsiedzi za plecami, czekając na sobotnią kolację? Kontynuujemy jednak ten spis waszych ostatnich osiągnięć. Ta czarna lista staje się z wolna istnym rejestrem martyrologii. Od nawoływań i przemówień przeszliście do czynów. Albowiem prócz wszystkiego innego braliście również bezpośredni udział w terrorystycznej akcji w Barze na rogu Nowego i Starego Arbatu. Wasze zbrodnicze działania, które doprowadziły do wybuchu nie znanego nam na razie materiału...

- Granat F-1 - wyjaśniłeś.

- ...dziękuję, tak więc wskutek waszych działań ponieśli śmierć przedstawiciele wielu narodów i narodowości Związku Radzieckiego. Rzeczywistym celem waszego zamachu była destabilizacja i destrukcja. Mówiąc ściślej, był to zamach na cały naród radziecki jako nową wspólnotę historyczną.

- Dalej - jęknąłeś.

- Proszę bardzo! W ciągu dnia kilka razy dzwoniлиście do niejakiego Cyryła S., który znany jest nam jako banderowiec, zbliżony do kół „Ruchu”, hetmanatu i melny-kowców; wymieniony usiłuje obecnie założyć w Moskwie wywrotową gazetkę. Ale również tutaj zachowaliście się, von F., jak degenerat. Bo nie zdobyliście się jednak na to, żeby się z nim spotkać. Natomiast, śliniąc się na samo wspomnienie nóg współlokatorki Cyryła, próbowaliście ją namówić na randkę koło sklepu Świat Dziecka.

- Nie namawiałem jej na randkę - skrzywiłeś się gorzko. - Wasz podsłuch ma podejrzaną zdolność do przekręcania i przekłamywania.

- To tylko niewiele zmienia wasze na wskroś odpychające oblicze moralne, von F., waszą-proszę wybaczyć szczerłość - amoralną mordę. Ale dziękuję za informację - bezwarunkowo natrę uszu komu trzeba w wydziale nasłuchu - proszę zauważyć: na-słuchu, a nie pod-słuchu, jak powiedzieliście przed chwilą - już kolejny raz okazuje się, że oni z upodobaniem dodają od siebie jakiś romantyczny syf. Pewnie zagnieździł się tam jakiś pierdolony beletrysta, na wasz obraz i podobieństwo, Ottonie Wilhelmowiczu!

- Proszę kontynuować i nie odbiegać od głównego wątku - poprosiłeś.

- Ten wątek znacie lepiej niż ja - prychnął „Saszko”, nieznośnie długo zapalając kolejnego papierosa. - W celu dokonania następnego aktu terroru, tym razem już w strefie rządowej telekomunikacji, dotarliście na zaplecze Świata Dziecka. Tutaj ofiarą waszej

zbrodniczej bezczynności padł jeszcze jeden wspaniały człowiek - głos „Saszki” lekko zadrział - ojciec trzynaściorga dzieci, 141

nasz wieloletni współpracownik, agent do specjalnych poruczeń o pseudonimie „Baron Cygański”.

- To ten, co utopił się w gównie?

- Ten sam. Prezydent podpisał już dekret o nadaniu mu pośmiertnie miana Bohatera Związku Radzieckiego - odparł „Saszko” nieco bardziej uroczystym tonem.

- W takim razie niech wasz prezydent zatroszczy się również o zwrot mojego biletu lotniczego - powiedziałaś drwiąco.

- A kto zwróci dzieciętkom ich tatkę? - zapytał surowo „Saszko”. - Nie, von F., na nic wam już bilet na samolot! I proszę bez żadnych złudzeń! My potrafimy karać! Znaleźlibyśmy cię nawet w Meksyku...

- W Meksyku - poprawiłeś go.

- Co?

- Według nowych zasad ortografii powinno być „w Meksyku”...

- Jedna cholera - w Meksyku czy w Meksyku - i tak masz przechlapane! W ostatnich dniach podpisano tajną instrukcję - mówię ci to, bo i tak już nikomu nic nie wypaplesz - o wykorzystaniu szczerów nowej generacji do rozpędzania nielegalnych zgromadzeń, a także w stanie wyjątkowym i wojennym. Dzisiaj wreszcie nadeszła z Komitetu Nadzoru Konstytucyjnego zgoda na przeprowadzenie prac doświadczalno-eksperymentalnych. Ty będziesz pierwszy, von F.! Możesz być dumny. Ogłosi się oficjalne podziękowania dla agentów „Kaina”, „Belzebuba” oraz „Zyrynowskiego”. „Baron Cygański”, jak już mówiłem, zostanie odznaczony oddzielnie. Zaraz, kochaneczki, zaraz! - zaseplenił łaskawie, zwracając się do czegoś wielkiego i włochatego, co niecierpliwie skowyczało za ścianą.

- Jedynym moim błędem było to - zacząłeś zmęczonym głosem - że uwierzyłem, iż wolność jest możliwa. Jednak wolność to złuda, jak słusznie zauważył w swoim wierszu Andruchowycz! A szkoda...

Skądś dolatywał dźwięk samotnych skrzypiec. Ich głos narastał, stwarzał jakieś absurdalne i przenikliwe tło, rozpadał się na inne dźwięki, inne instrumenty - niebawem była to już cała orkiestra, która rozbrzmiewała coraz mocniejszymi akordami. Dźwięki dolatywały gdzieś z góry, znad stropu, może tam był jakiś teatr, niezwykły podziemny teatr albo po prostu Bolszoj, w którym rozpoczęło się właśnie przedstawienie. Muzyka sprawiała, że wszystko stawało się o wiele ważniejsze i głębsze. Poczuleś, że należy powiedzieć coś ponadczasowego.

- Przeklinam imperium - wygłosiłeś tonem wschodniego proroka.

- Ty?! Który służyłeś mu wiernie i szczerze? - „Saszko” zarechotał sardonicznie, a może tylko zakaszłał pod wpływem wilgotnego tytoniu.

Wspaniale, a zarazem gniewne tony puzonów i wal-torni zmusiły cię do równie gniewnej i żarliwej riposty:

- Nie służyłem mu wiernie i szczerze! I w najmniejszym stopniu nie poczuwam się do winy, ani trochę! Bo żaden spośród strasznych grzechów imperium nie wsączył się w mą duszę, nie zawiądła mi dusza!

„Saszko”, który w tym momencie zerwał się z krzesła i zaczął gwałtownie latać po klatce, niczym ranny lew, zaatakował cię nie mniej namiętnym recytatywem:

- Nie jesteś winien? Bardzo wygodnie to sobie wymyśliłeś! Tylko wobec siebie winien?! Że niby: moje grzechy - moje zmartwienie?... I ty to mówisz, coś potrafił tylko zdradzać? Ty, który potwierdziłeś zdradę własnoręcznym podpisem?! - Nad jego głową zajaśniała jakby aureola. - A co z tymi zarąbanymi, pobitymi, z tymi, którzy pozostali w wiecznej zmarzlinie - z tymi dziesiątkami, setkami i milionami tysięcy?! Coś kiedyś podpisałeś i zabiłeś duszę!...

Jego słowa to tonęły, to wynurzały się ze wzburzonego oceanu muzyki. Partia instrumentów smyczkowych stawała się coraz bardziej nerwowa i napięta. Na szczęście skądś z głębin partytury wychynął samotny w swoim nieobjętym przebaczeniu obój. To podniosło cię na duchu:

- Ratowałem życie - cudze, jedyne, ale jednak droższe od owych abstrakcyjnych milionów, setek tysięcy...

- Ty? Ratowałeś? Życie? Cudze? - i znowu zaśmiał się demonicznie, wściekle, orkiestra znów huknęła, obój ucichł, gromy kotłów i bębnow zagłuszyły wszystko. - Potrafisz ratować tylko siebie! Zawsze i wszędzie! Ale teraz nawet sam siebie nie uratu-u-u-jesz! - ostatnia fraza, wyśpiewana soczystym tenorem, dość płynnie wpisała się w muzyczne tło.

- No cóż - westchnąłeś - tak już musi być. Kocham to życie z całym jego paskudztwem, chociaż ono też mnie męczyło. Jednak nie wszystek umrę - zostawiłem po sobie słowa, słowa, słowa... Słowa, słowa, słowa... Szczury są bezsilne, nie potrafią wygryźć w nich dziury, słowa unoszą się na wietrze jak kartki, niechże ulatują, ktoś je kiedyś usłyszy. Nie uda się wam mnie unicestwić, w moim sercu noszę to, co nie umiera!

Tempo orkiestry narastało. Było to jakieś ogólne allegro con molto, presto furioso czy coś podobnego. „Saszko” już nie nadażał za krótkimi, zdecydowanymi frazami. Toteż udawało mu się jedynie dopytywać:

- Zostawiłeś po sobie słowa, słowa, słowa...?
- Pozostawiłem słowa, słowa, słowa!
- Nie potrafimy cię unicestwić? -! Nie potraficie mnie unicestwić!
- Nosisz w sercu to, co nie umiera?
- Noszę w sercu to, co nie umiera!

Prawdę mówiąc, ten finałowy duet wypadł dość zgodnie i melodyjnie. Twój urywany, ochrypliwy falset zręcznie przeplatał się ze słowiczym tenorem „Saszki”. Jeszcze przez chwilę brzmiała orkiestra, zamykając całą scenę potężną i tragiczną, ale mimo wszystko optymistyczną w istocie kodą. W końcu wszystko umilkło. I zamiast burzliwych owacji widowni usłyszałeś zza pleców coraz bardziej agresywny charkot i popiskiwanie. Zdawało się, że uwięzione bestie drą pazurami już nie drzwi, ale twój sweter.

- Otóż to - wskazał głową zamknięte drzwi nieco zadyszany „Saszko” i wyjąwszy chusteczkę, otarł z czoła kropelki potu. Cały poddał się muzyce. - Teraz proszę się przygotować, von F. - pokiwał palcem. - Ale jednak, zanim zostaną z was tylko nie strawione resztki, będziecie mieli okazję poprawić swój grzeszny bilans. Czekaj pana, jak to mówią Niemcy, ajne juberraszung!

- U umlaut - poprawiłeś.

- Jeden chuj - powiedział „Saszko” i zabierając ze sobą krzesło z numerem inwentarzowym na nodze, wyszedł z klatki.

Drzwi klatki zamknął na klucz.

V\_>ała ta żywiolowa zabawa ze szczurami, klatką, opuchłym kolanem i operowym czekistą wydała ci się kompletnie głupkowata i nieprawdopodobna. Pomimo że ściana z tyłu aż trzeszczała i chodziła pod naporem niecierpliwości zamkniętych po drugiej stronie potworów, na razie nie bardzo byłeś skłonny uwierzyć w straszliwą perspektywę. Wypite w ciągu dnia substancje najwyraźniej nadal robiły swoje, toteż mimo wszystko postanowiłeś się przespać i nawet zamówiłeś sobie w stosownej kancelarii niebiańskiej sny o Wenecji. Ale nie zdążyłeś nawet dopłynąć wodnym tramwajem od Tronchetto do placu św. Marka, kiedy obudziła cię w twojej klatce nowa postać.

Była to Gala. Położyła ci palec na ustach, a ty, zgodnie ze starym miłosnym zwyczajem, zacząłeś go pieścić. I przypomniawszy sobie, że ona jest przecież ich współniczką, odskoczyłeś gwałtownie, jakbyś dotknął gada. Ale ona uprzedziła twoje możliwe zarzuty.

- Wezwali mnie służbowo - wyjaśniła. - Muszę ci zrobić kilka zastrzyków...

- Po co, Galu?

- Aby zachować czystość eksperymentu.

- Jaką czystość - moralną?

- Przestań przynajmniej teraz - powiedziała cicho, jednak w jej głosie nie było ani cienia złości. - Ściągaj spodnie.

- Chciałbym umrzeć z godnością, Galino.

- Nikt nie dybie na twoją godność. Ale spodnie musisz zdjąć.

Miała na sobie jakiś bardzo oficjalny strój, coś jakby kobiecy mundur, chociaż dość obcisły, z kusą spódniczką. Zajeżdżało od niej trochę wódką, w sumie jednak trzymała się nieźle. Nawet mimo nieco opuchniętego policzka.

- Widzisz, Galu, chciałbym umrzeć bez hałasu i pokierszowanej twarzy, poza tym nie chciałbym w przedśmiertnej agonii narobić w spodnie...

- No to je ściągaj - powtórzyła z naciskiem.

- Czy mogłabyś zrobić tak, abym umarł pięknie i z bohaterską pianą, eee, to znaczy pieśnią na ustach? - zapytałeś, posłusznie odpinając pierwszy guzik. - I w ogóle wyjaśnij mi istotę tego eksperymentu. Przynajmniej do tego mam chyba prawo? Cóż to za bezhołowie panuje w tych waszych podziemiach! Najpierw mówią mi, że zamkną mnie z głodnymi szczurami. Potem dowiaduję się, że będą mnie kłuli w dupę dla zachowania czystości eksperymentu. A naprawdę wszystko jest tylko przygotowaniem odpowiednich struktur do powszechnego wprowadzenia stanu wojennego!

Odłożyła na bok swoją torbę ze strzykawkami. I znowu jej palec dotknął twoich warg.

- Milcz - powiedziała szeptem.

- Nie mogę milczeć! - szarpnąłeś się, ale poczułeś, że jej druga dłoń rozpina ci kolejne guziki.

Jej dłoń potrafiła czynić cuda. Oszołomiony, zamarłeś, a ona zachowywała się jak stara znajoma i dość łatwo trafiła tam, gdzie chciała. To była dłoń muzyka-wirtuoza. Wracała ci siły. Dawała nadzieję.

Raczej poczułeś niż zobaczyłeś, jak zdjęła zakiet i koszulę. Wiła się na tobie niczym królowa żmij. Spowiła cię sobą, a ty zatonąłeś w jej ciele jak w fali; jej odurzająco-podniecający syk wprawiał cię w ekstazę. Błądziła wargami po twoim ciele jak po lesie. Jej usta były wszędzie. I ta dłoń! Kontynuowała swoje, aż zamknąłeś oczy, a twój oddech stał się cięższy, urywany.

- Milcz-syczała królowa żmij.

Zanurzała się w ciebie coraz głębiej i głębiej. Pachniała alkoholem, deszczem i trawą. Leżałeś nieruchomo, a równocześnie odpływałeś gdzieś. Tak, to były fale. Wreszcie dłoń, ta

jej dłoń już wynurzyła się z głębin i przeleciawszy nad twoją pierś jak cudowny ptak, spoczęła na głowie. Dopiero wtedy przypomniałeś sobie, że ty też masz ręce. I one także rozpoczęły swoją podróż. To była walka dło-twoich, jeszcze słabych i nieporadnych, i jej - cuni dotwórczych, ciepłych, szczodrych. Wspomagała cię każdym swoim ruchem, płynęła ci na spotkanie, dopóki razem nie wydobyliście jej ze zbędnych szmatek.

- Zwariuję przez ciebie - szepnąłeś.

- Milcz - powtórzyła.

Słowa mogły tylko zaszkodzić. Nie było dla nich miejsca. Były kompletnie nie na czasie. Nic nie znaczyły. A słowa powinny coś znaczyć.

Wreszcie wydała cichy krzyk. To był dopiero wstęp, ale ty już pograżałeś się w przesywaną błyskawicami ciemność. I dlatego robiła wszystko, ażebyś wytrzymał. Kochała każdą najmniejszą cząstkę ciebie, śpiewała o tym jej nieustanne „milcz, milcz”, i trudno już było zgadnąć, kto z kogo składa ofiarę - żarliwie dawała ci wszystko, co mogła. I ujrzałeś świetlistą ścieżkę nieznanego upalnego dnia, poczułeś żar, poczułeś, że roztapiasz się, wzbierasz jakąś delikatną bielą, zrobiłeś ostatni wysiłek i niczym rajski krzew utonąłeś w białym kwieciu i tak niewysłowio-nym morzu czułości, że większej głębi nie może już być...

- Przyniosłam ci płaszcz - przemówiła po chwili, już prawie ubrana. - Wyprałam go i wysuszyłam.

Podawała ci szare zawiniątko, wydobyte skądś z półmroku.

- Dziękuję, ale po co mi ten płaszcz? - uśmiechnąłeś się kwaśno. - Chcesz, żeby te potwory rozerwały go na strzępy swoimi strasznymi kłami?

Przysiadła obok ciebie i zapaliła papierosa.

- Może mi jednak powiesz, o co tu chodzi? Co za eksperymenty przeprowadzacie? Czemu właśnie ty? Czemu jesteś z nimi?

- Jestem niewinna. Chciałam zajmować się swoją specjalnością. Żmijami, truciznami. Oni stworzyli mi takie możliwości.

- Mam choć cień szansy? Czy potrafię stawić opór szczurom?

- W imię czystości eksperymentu powinnam wprowadzić do twego organizmu pewne substancje. Paraliżujące. Po niecałych dwudziestu minutach od zastrzyku będziesz właściwie rośliną. Chodzi już nawet nie o ciebie, tylko o to, czy te substancje zadziałają potem na szczury. Przecież to także żywe istoty, podporządkowane określonym prawom biologii. Widzisz, ostatnio reżim coraz mniejsze nadzieje wiąże z wojskiem. Z milicją zresztą też. W przypadku zaostrzenia sytuacji i konieczności zastosowania rozwiązań siłowych władza może



się srodze przeliczyć. Ogromne szczury, wypuszczone na demonstrantów, to coś bardziej niezawodnego, nieprawdaż?...

- I ty bierzesz udział w tej zbrodni?

- Codziennie bierzemy udział w jakiejś zbrodni, kochany. Sami nie zdając sobie z tego sprawy. Ale w zbrodnię, o której mówisz, na razie nie jestem zaangażowana.

- Nie będziesz robiła mi zastrzyków, dobrze, miła? Daj mi szansę, abym nie zginął jako roślina. Będę kopał, dopóki mi sił starczy. Mam nadwerżone kolano, ale chciałbym się trzymać do końca... A propos, nie uderzyłem cię zbyt boleśnie?

- Nieważne. To ja byłem wszystkiemu winna. Pierwsza zaczęłam. Ty się tylko broniłeś.

- Przepraszam, jeżeli sprawiłem ci ból.

- Bardzo nie chciałam, żebyś sobie poszedł. Ale teraz to już nie ma znaczenia. Czy choć czasami, chociaż troszkę było ci ze mną dobrze?

- Było mi fantastycznie.

- Mnie też.

- Dziękuję, miła. Jesteś moją ostatnią wielką miłością.

- Tak ci się tylko wydaje. Za chwilę całkiem o mnie zapomnisz.

- Za chwilę nie będę pamiętał nie tylko o tobie. A zresztą, co ja mówię? Czy to ciało, które niebawem zostanie rozszarpane na kawałki, to prawdziwy ja? Nie, ten prawdziwy cię nie zapomni. Miałem okazję przekonać się, że umarli nie zapominają o żywych.

- Ależ ty jesteś zabobonny! Wszyscy Ukraińcy są tacy? Wiesz, kiedy byłem mała, także wierzyłam w takie rzeczy. Że duchy zmarłych pozostają z nami, krążą nocami dookoła naszych łóżek, wypijają w kuchni mleko... Ale mój mąż umarł i nigdy do mnie nie przychodził...

- Miałaś męża? Nigdy mi o nim nie mówiłaś! Dlaczego umarł?

- Ach, głupia nieostrożność!... Lubił po pijanemu wchodzić do serpentarium...

- Dużo pił?

- Jak smok. Właściwie był nałogowym alkoholikiem. Chociaż bardzo mnie kochał. Ale jeszcze bardziej kochał pić. Kilka razy próbował mnie zarznąć. I nie uszło mu to bezkarnie.

- Nic nie uchodzi bezkarnie. Chciałbym zrobić coś w rodzaju podsumowania, Galu. Moje życie okazało się nie tak długie, jak mi przepowiadali wędrowni Cyganie i uczeni astrologowie, ale - co bardziej przykre - także nie tak znów wspaniałe. Staralem się nie mieć wrogów i podobać się wszystkim, pamiętając, że jedynym, najokrutniej-szym moim wrogiem

jestem ja sam. Ale okazało się, że nie można podobać się wszystkim. Nikt nie chciał uznać moich dobrych intencji. Do tego stopnia skłócenia byli między sobą. I dlatego każda moja próba porozumienia kończyła się tym, że mnie przepędzano. Co więcej, przekonałem się, że świat opiera się na nienawiści. Jest to jego jedyny motor. A ja chciałem unikać nienawiści. Chciałem wyruszyć w podróż dookoła świata, a forsę nie wystarczyło mi nawet na to, żeby dopłynąć statkiem do Wenecji. Dlatego poprzestałem na snach, miłości i mocnych trunkach. Bo pijaństwo to także rodzaj podróży! To wędrówka po wyzwolonych półkulach świadomości, czyli także bytu. Pewnego cudownego, deszczowego dnia w maju, to znaczy dzisiaj, w stanie lekko wskazującym, jakimś diabelskim zrządzeniem losu znalazłem się w tych podziemiach. Ale - jak się przed chwilą okazało - była to jedynie iluzja, naiwna szczeniacka autohalucynacja, a ja sądziłem, że działam samodzielnie, zgodnie z własnym, niezależnym planem. W rzeczywistości doprowadzono mnie tutaj. Jako poddany imperium, posiadacz jego paszportu i uczestnik wielu referendum, okazałem się kulą w pewnej interesującej partii bilardu. Teraz pozostało już tylko pchnąć ją po raz ostatni.

- Zbyt ponuro oceniasz sytuację - uśmiechnęła się Gala, kładąc rękę na twoim ramieniu.

- Mam ku temu pewne podstawy. Zgodzisz się, miła, że byłoby dziwne, gdybym właśnie teraz zaczął wygłaszać jakieś zabawne i pełne radości życia teksty. Słyszysz, jak opętańczo sapią te zwierzaki za ścianą? Wiesz, nadal nie mieści mi się w głowie, że czeka mnie pojedynek z nimi. Nie masz jakiegoś miecza albo przynajmniej nożyka do konserw?

- Za wszelką cenę chciałam cię powstrzymać. Ale szybko zrozumiałam, że to beznadziejne. Nigdy nie chciałabym cię zabrać w swoją podróż dookoła świata. Za bardzo lubisz w kobietach różnorodność. Nie mam dla ciebie miecza. Wszystko, co mogłam zrobić, to wyprać twój płaszcz, przybrudzony płaszcz starego włóczęgi, i obdarzyć cię chwilą czułości na pożegnanie.

- Dziękuję, serce moje. Będziesz miała jakieś służbowe nieprzyjemności, kiedy wyjdzie na jaw, że nie zrobiłaś mi tych zasranych zastrzyków?

- Wybiegasz zbyt daleko w przyszłość. Po co te pytania? O jakich służbowych nieprzyjemnościach można mówić, kiedy się żegnamy?

- Masz rację. Ty zawsze masz rację. Przepraszam. Po prostu bardzo bym chciał, żeby wszystko u ciebie było okej. Żeby twój następny mąż nie okazał się nudnym alkoholikiem o słabym charakterze, ale przynajmniej wdzięcznym i umiarkowanym masochistą. Kochałbym go prawie tak samo jak ciebie. Oprócz tego marzę, żebyś zawsze łowiła najbardziej jadowite, ruchliwe i doskonale zmije. Żebyś nie musiała mieszkać w tej pustej ruderze, która rozpada

się w oczach. Gdybym tylko miał pieniądze, kupiłbym ci mały pałacyk w Południowym Tyrolu... Jak to wszystko będzie wyglądało?

- Co mianowicie?

- No, moja śmierć. Wepchną mnie tam siłą?

- Nie pytaj mnie o takie rzeczy.

- Tajemnica służbowa?

- Wszechświatowa. O tym, jak wygląda śmierć, wiedzą tylko ci, którzy przez nią przeszli.

- Interesuje mnie technologia.

- Nie bądź taki okrutny. Widzisz, ciężko mi nie tylko mówić, ale nawet myśleć o tym.

- Przepraszam. Po prostu mnie to zainteresowało. Sądziłem, że mam do tego prawo.

- Tam, w kieszeni płaszcza, jest kasetka z Ołdfielem.

- Lepiej zatrzymaj ją sobie. To nasza muzyka.

Gala pochyliła się nad tobą i znów zaczęliście się całować. Więc tak wygląda pożegnanie - pomyślałeś. - Spośród miliardów kobiet świata, które miałeś do dyspozycji, do sceny finałowej wybrałeś właśnie tę. Coś ci odebrano, von F. Nie tylko życie. Wszystko. Znacznie więcej niż po prostu życie.

- Kiedy one się wreszcie zamkną? - wzdrygnąłeś się, odrywając od jej słonawych ust.

- Kiedy zostaną pożarty?

- To magnetofon - odparła Gala. - Ich tam nie ma.

- Jak to nie ma? Co ty gadasz?

- Naprawdę uwierzyłeś w te bzdury? Śmieszny jesteś! - w półmroku jej oczy lśniły najprawdziwszymi łzami.

- Po co to wszystko? - potarłeś gorące czoło.

- W imię czystości eksperymentu. I tak tego nie zrozumiesz, to zbyt skomplikowane, wielostopniowe. Najpierw przerażą cię perspektywą niechybnej i straszliwej śmierci. Wyjątkowej śmierci. Potem parę odpowiednich zastrzyków. I od razu mięknie. Stajesz się sparaliżowany. I gotów jesteś zgodzić się na wszystko. I zawsze już nosisz w sobie ten strach.

Rozbiła o podłogę dwie bezbarwne ampułki. Potem rozdeptała nogą strzykawkę. Poczuleś, jak niemiłosiernie, nieznośnie i błyskawicznie pokrywasz się potem.

- Oto klucz od twojej klatki - powiedziała. - Zamkniesz mnie od zewnątrz. Masz jeszcze siedem minut. Za siedem minut obudzi się dowódca grupy...

- „Saszko”?

- Może i „Saszko”. Postanowił przespać się pół godzinki, póki nie zrobię co do mnie należy i zastrzyki nie zaczną działać. Będę tu leżała prawie nieprzytomna. Nawet nic nie będę musiała udawać. Mogę im nawet pokazać i zacząć ślady twoich uderzeń. Zamkniesz mnie. Pójdiesz korytarzem w lewo. Pamiętaj: żeby nie wiem ile było zakrętów czy rozgałęzień, zawsze skręcaj w lewo. Potrafisz to zapamiętać?

- I co później, moje serce?

- Później zobaczysz windę. Koło niej będzie spacerował strażnik, ale musisz coś wymyślić, bo to twoja jedyna szansa.

- Co ja mogę wymyślić, miła?

- Cokolwiek. Tą windą możesz dostać się na górę.

- Gdzie na górę, kochana?

- Skąd mogę wiedzieć? Zobaczysz!

- Nie będę mógł szybko biec - powiedziałeś, wkładając płaszcz. - Nie chcę cię zostawiać. Ale muszę. Kiedy się znów zobaczymy?

- Strażnik koło windy ma pistolet. Możemy się już nigdy nie zobaczyć.

- Byłaś dla mnie zbyt dobra - pogładziłeś ją po opuchłym policzku. - Prawdziwa rosyjska kobieta z ciebie. Takie jak ty jechały za dekabrystami na Sybir. Będę pisał do ciebie listy z Ukrainy. Albo z tamtego świata, to zależy od strażnika przy windzie. Ale zobaczysz, że będę o tobie pamiętał, nie tak jak twój zapominałski alkoholik.

- Idź już... Jeżeli cię tu zastaną...

Ale nie pozwalasz jej dokończyć i mocno ją przytulasz. Potem łapiesz swoją ogromną torbę i przy akompaniamencie dolatującego z sąsiedniej klatki nie cichnącego zachłannego skowytu przekręcasz klucz w zamku...

J eżeli, von R, wszystko dobrze pojąłeś i dokładnie zapamiętałeś, jeżeli jeszcze nie utopiłeś w alkoholu resztek swojego mózgu i nie otepiełeś kompletnie od gorączki, to cały czas powinieneś skręcać w lewo. A to oznacza, że przez jakiś labirynt zmierzasz w stronę zagadkowego centrum. Przypomina to antyczny meander. Jednak ta informacja na nic ci się nie zda, von R, i tak nie wiesz, co to takiego.

Czy to grzecznie, przyjaciele, czy to szlachetnie, czy to po ludzku w takiej chwili, kiedy ledwie uratowałem się od zagłady, straciłem ukochaną kobietę i gnam gdzieś w nieznane, żeby - i to jest najbardziej prawdopodobne - dostać kulę w łeb, czy to humanitarne, przyjaciele, żeby w takiej chwili zarzucać mi pijaństwo, nieznaną antycznych realiów? Pozwólcie mi przynajmniej wygrzebać się stąd - wtedy możecie pytać o cokolwiek, jak wyglądała, powiedzmy, tarcza Achillesa albo ile okrętów i pod jakimi nazwami wyprawili

Grecy na Troję. Ale na razie dajcie mi spokój z tymi Grekami, bo oto tam, na samym końcu korytarza, strażnik w cywilu przechadza się przed drzwiami windy. I muszę coś wymyślić, żeby on dla świętego spokoju nie tylko nie nafa-szerował mnie gustownie ołowiem, ale żeby jeszcze można było zrobić z tej windy użytek. Jaka szkoda, że nie ma teraz przy mnie tej nieszczęsnej Astrid - ona tak przekonująco umiała radzić sobie ze wszystkimi możliwymi strażnikami, portierami, oficerami, wartownikami, bileterami i całą tą hołotą, która przeszkadza ludziom swobodnie przemieszczać się z miejsca na miejsce! Przy Astrid mogłem już tylko udawać zarozumiałego zagranicznego cymbała, który z wyniosłą miną ni w ząb nie pojmuje otaczającej go sowieckiej rzeczywistości. Teraz się tak, rzecz jasna, nie uda. Bo ja nie mam szczęścia do strażników. Jeśli na przykład zapomnę w pokoju swojej przepustki, nie jestem godzien wejść nawet do własnego akademika.

Strażnik nie miał jednak zamiaru chwycić za broń. Przyjaźnie pomachał do ciebie. Po czym rzucił niespodziewanie:

- Słysz, Władik, wot zdorowo, czto typriszozł Postój za mienia dwie minuty, ajapossat' schożu... Wy duł czietyrie piwa, przedstawljajesz? Puzyr' czut' nie razorwałsia...

Chciałeś z początku zaprzeczyć: jaki to ja dla ciebie Władik, dupo wołowa, jestem poetą z Ukrainy, ale w porę pojąłeś, że to twoja szansa na ocalenie.

- Dawaj, cheszy - powiedziałeś krótko.

I pomyślałeś: „Źle ze mną, jeżeli już robię się podobny do kagiebisty”.

Kiedy tylko się odwrócił, żeby pójść do ubikacji, naciśnąłeś guzik windy. Ruszając, winda głucho zadudniła i to był błąd. Gwałtownie obejrzał się i w chwili, gdy wskakiwałeś do otwartej windy, najwyraźniej dotarło do niego, że w rzeczywistości nie jesteś żadnym Wiadikiem, ale być może naprawdę ukraińskim poetą.

- Stojat'1 - wrzasnął i musiałeś szarpnąć do siebie pierwszą lepszą dźwignię, jaką ujrzaleś w kabinie windy.

Niemiłosiernie wolno drzwi znów się zasunęły i wtedy właśnie strażnik zdążył oddać kilka strzałów. Na szczęście drzwi okazały się kuloodporne. Solidny czołgowy pancerz z czasów „wszystko dla frontu i dla zwycięstwa”. I winda na szczęście ruszyła. Przez chwilę słyszałeś wycie jakiejś syreny, potem krzyki, odgłosy bieganiny w korytarzach. Wszystko dochodziło z góry, dopóki całkiem nie ucichło. Jechałeś zatem nie tam, gdzie należało. Jechałeś w dół, w jeszcze głębsze głębiny, na dno piekieł. Czy wygrzebiesz się stamtąd kiedykolwiek, von F.?

Winda wlokła siew nieskończoność, zdążyłeś dostrzec kałużę krwi na podłodze (nawet tutaj kogoś ukatrupili!), jak również odczytać kilka wydrapanych na ścianach napisów,

wśród których jeden odznaczał się swoistym poczuciem humoru: „WSZYSTKO DO PIZDY. Bat’ko Machno”.

W końcu winda stanęła. Bez wątplenia tutaj też musiał być strażnik. I jeśli to nie kretyni, to - samo przez się zrozumiałe - już zdążyli go poinformować o tym, że jedziesz z góry. A więc, uwaga, drzwi się otwierają!

Drzwi faktycznie się rozsunęły i kolejny tajniak, ujrzawszy cię w kabinie, rozpląnął się w uśmiechu:

- Nu, czio, Władik - przemówił - wzięli etowo chiera?

- Wdryzg rozmazali - potwierdziłeś, wskazując głową krwawą kałużę pod nogami.

Strażnik wesoło zarechotał, wypuszczając cię z kabiny.

- Ty wo skol’ko smieniajeszisia?- spytałeś, żeby zapytać o cokolwiek.

Ale tego robić nie należało, bo raptem on również zauważył, że nie jesteś żadnym Władikiem. Może twoje pytanie było absurdalne albo zadziało jeszcze coś innego, na przykład zawodowa pamięć do twarzy. W każdym razie nie pozostawało mu nic innego, jak tylko zabić cię, bo jego pistolet był dawno zarepetowany. Bez uprzedzenia zaczął więc strzelać, przykładając ci niemal lufę do ciała. Zobaczyłeś, jak twój szarokawowy, dopiero dzisiaj wyprany (żegnaj, Galu) płaszcz nieubłaganie pokrywa się wielkimi czerwonymi plamami. Upadłeś na podłogę i ostatkiem sił próbowałeś gdzieś pełznąć, zostawiając za sobą czerwoną smugę krwi i wypatroszonych bebechów, ale strażnik strzelał dalej; tak, wciąż jeszcze strzelał, wciąż i wciąż, gdzieś w dole brzucha poczułeś niesamowity ból, i wówczas pomyślałeś, że ten epizod zupełnie ci nie wyszedł, trzeba więc zacząć go jeszcze raz od początku.

Zatem znowu miałeś na sobie czysty płaszcz, znów jechałeś windą i znów przygotowywałeś się na spotkanie ze strażnikiem. Wreszcie drzwi się otworzyły - i znajomy ci tajniak, ujrzawszy cię w kabinie, rozpląnął się w uśmiechu - Nu, czio, Władik - przemówił - wzięli etowo chiera?

- Uhu - mruknąłeś niewyraźnie i starając się nie pytać, o której kończy zmianę, przeszedłeś obok niego w stronę korytarza.

- A ja uże w diesiat’ smieniajus’1 - krzyknął ci w plecy szczęśliwy strażnik.

Ale ty szedłeś, kulejąc na jedną nogę, nie oglądając się, korytarzem, którego pokryte lustrami ściany zdawały się niespiesznie kroczyć wraz z tobą. W każdym lustrze kuśtykałeś ty. A na samym końcu korytarza znajdowały się jakieś niezwykle drzwi - tak ogromnych, ciężkich, masywnych drzwi jeszcze nigdy nie widziałeś. Były wprost nieziemskie. Przed takimi wrotami mógłby się przechadzać, pobrzękując pękiem kluczy, święty Piotr. Zamiast

niego przed drzwiami przechadzał się następny tajniak, z wieku i powagi co najmniej pułkownik.

- Zdarowa, drugi - powitałeś go, podchodząc całkiem blisko. - Uznajasz mienia, Władika?

- Kajok ty w pizdu Władik1. - oburzył się pułkownik. - Władik uże wtoruju niedieliu w Karabdchie miny stawit. Wsio rawno - prachadi, mnie adin chrien - s po-niedielnika na piensiju, i w grobu ja wsio widall Nie przyszło ci nawet do głowy, żeby mu podziękować, naparłeś ramieniem na owe nieprawdopodobne drzwi, które uchyliły się, i...

Znalazłeś się w gigantycznej sali, wielkiej jak Plac Czerwony, oświetlonej niezliczoną ilością ogromnych żyrandoli. Kubaturą i liczbą obecnych ludzi sala mogła się równać chyba tylko z barem piwnym przy Fonwizina, tym samym, który dzisiaj rano wprowadził cię w takie zdumienie. Jaskrawe oświetlenie boleśnie raziło twoje odwykłe od światła i w dodatku chore oczy. Ale zdołałeś zauważyć, że wzdłuż całej sali, tworząc jakby aleje, ciągną się 157

długie, co najmniej dwustumetrowe stoły, wszystkie nakryte obrusami z chińskiego jedwabiu, na których stoi mnóstwo muzealnej wartości sreber, kryształów i porcelany, a także fajansu, a na tych srebrach i kryształach, na tej porcelanie i fajansach było takie mnóstwo napojów i jedzenia, że zdawało się, że wróciły prehistoryczne czasy uwielbiającego radości życia zapominalskiego marszałka. Całe obecne w sali wielotysięczne towarzystwo piło, bawiło się, upijało, żarło, bratało się, mlaskało, coś wygłaszało, niektórzy już śpiewali, inni znów rzygali, tak że twojego pojawienia się nikt chyba nie zauważył, zresztą czyż można dostrzec, powiedzmy, na Placu Czerwonym jedną ludzką istotę, samotną, bezbronną i niepotrzebną jednostkę? Das ist unmöglich, mogliby powiedzieć nasi sąsiedzi Niemcy.

To tu, to tam snuły się pysznie ubrane, wysokopierśne dziewczyny w rosyjskich sarafanach i stroikach na głowie - najwidoczniej kelnerki, bo każda z nich trzymała w białych dłoniach jakąś tacę pełną wszelakiego dobra. Na prymitywnym podium pośrodku sali ulokował się zespół z bałajkami - na oko z półtorej setki chłopca, a tęga ciotuchna o mongoloidalnych rysach z warkoczem po sam tyłek niewiarygodnie piskliwym głosem zawodziła:

Wyszła, wyszła dziewczonoczka W sad wyszniewaj wodu brat' A za nieju kazaczen'ka Wiediet łoszad' napawat'1

Ściany, a ściślej mówiąc, infernalne granice tego podziemnego placu zdobyły pedantycznie rozstawione sztandary wyłącznie w dwóch rodzajach i w czterech kolorach - czerwonym i czarno-żółto-białym. Oprócz flag dostrzegłeś także ogromne jaskrawoczerwone płótno, na którym rozbłyskami czarnych, żółtych i białych żarówek regularnie co chwilę

pojawiła się: „KOGDA OTIECZESTWO WBIEDIE - NIE MOŻEM MY SIDIET’ WUZDIE1”, choć aż prosiło się o zupełnie inny rym.

Dłuższą chwilę błądziłeś po tych przestrzeniach, przyglądając się stołom i publiczności.

A muszę wam wyznać, przyjaciele, że jestem jednym z tych introwertycznych typów, które w tłumie uchodzą prawie niezauważone. Często sprawiało mi to dojmującą przykrość, zwłaszcza na różnych wymyślnych spędach czy pijatykach w licznym acz niekoniecznie znanym towarzystwie. Czasem musiałem trzy albo cztery razy powtarzać „dzień dobry” czy coś w tym rodzaju, aż wreszcie, już prawie wrzeszcząc, zwracałem ku sobie czyjeś zdumione, pełne współczucia spojrzenie. Skutek był taki, że na resztę imprezy wolałem wcisnąć się gdzieś w kąt i po cichutku bawić się we własnym towarzystwie, to znaczy dużo pić i palić. Później znalazłem na to niezły sposób - należało przyprowadzać ze sobą jakąś olśniewająco efektowną damę o wysmukłych kształtach, „furię o nogach jak struny”, jak powiada Neborak. Dawało to fantastyczny efekt: już od samego progu wszyscy wołali: „O, patrzcie, patrzcie, kto przyszedł! Sam von F., wybitnie utalentowany poeta!”. Wszyscy rzucali się nam na spotkanie, zaczęli wypytywać, co aktualnie mam na warsztacie, jakie plany na przyszłość i otaczali pilną uwagą, wprowadzając w samo serce towarzystwa. Ja jednak za każdym razem zdawałem sobie sprawę, że sprawiam to nie tyle ja sam, co moja kolejna towarzyszka.

Lecz tym razem nie zwróciłbym ani odrobinę niczyjej uwagi, nawet gdybym przyprowadził ze sobą z dziesięć smukłych i na dodatek całkiem nagich tygrysię. Wszyscy obecni wpadli bowiem w prawdziwą euforię, oślepli na wszystko, co nie było trunkami i jadłem. Tak doniosła, niezbędna do życia i śmiertelnie ważna była Sprawa, w imię której wszyscy tu chlali.

Krażyłeś zatem pomiędzy stołami, rozpoznając gdzieniegdzie znajome ci z gazet lub telewizji, i dlatego szczególnie antypatyczne, mordy niektórych deputowanych, pisarzy oraz innej ideologicznej swołoczy. Jedni żłopali koniaki, inni łyżkami wpychali w siebie kawior, ale to wszystko nie wywoływało w tobie słusznego oburzenia, czy bodaj zazdrości. Najbardziej interesowało cię tylko, jak by się stąd wyrwać, znaleźć się wreszcie na powierzchni jeszcze może istniejącej Moskwy. Przecież ten szalony dzień musiał się jakoś skończyć! I kiedy zniemacka zza któregoś stołu niczym z pasa startowego poderwała się ku tobie czerwona i wielka jak miednica gęba twojego kolegi z roku, rosyjskiego poety Jeżewikina, kiedy ta miednica zgodnie z dawnym zwyczajem, który nie bardzo tolerowałeś, obśliniła cię braterskimi pocałunkami, poczułeś raczej radość niż obrzydzenie. Zionąc wódką i wieprzowym sznycem, Jeżewikin zawołał:



- I ty tutaj, braciszku! Cieszę się, że jesteś wśród naszych! Wiedziałem, że Ukraina będzie z nami! Mimo wszystko jesteście Słowianie, kurwa jego mać!

Równocześnie barczysty Jeżewikin bezceremonialnie zmiotł pod stół jakiegoś prawosławnego przyglupa, który drzemał z głową w ziemniaczanym puree, i zaproponował ci zwolnione w ten sposób miejsce.

- Otto von E, mój przyjaciel, zachodnioukraiński poeta i dobry chłopak - przedstawił cię siedzącym dookoła drabom, z których jeden miał na sobie chyba mundur sztabkapitana armii carskiej, drugi kozacką kubankę na głowie, kilku innych nie wyróżniało się niczym szczególnym, prócz tego, że byli w czarnych koszulach i bardzo pijani.

Przed tobą zadźwięczał ogromny kielich z wiedeńskiego kryształu, napełniony po brzegi żółtą cytrynowką.

- Za Ruś Kijowską! - wykrzyknął Jeżewikin i ktoś tam nawet zaklaskał, usłyszawszy ten historycznie uzasadniony toast.

Przebiegłeś w myśli wszystkie poprzednie warstwy swego pionowego przekroju. Jeżeli cię pamięć nie myli, cytrynowką powinna być szósta. A znając siebie dobrze, wiedziałeś, że siódma oznacza nieuchronnego pawia i - prawdopodobnie - oczyszczenie.

- No i jak ci się widzi ta bitwa o Rosję? - zapytał Jeżewikin, przełykając gorzałę i sięgając widelcem po trochę przypalony od spodu schab.

- Prawdę mówiąc, spóźniłem się na początek - odpowiedziałeś wymijająco, wyławiając z jakiejś miśnieńskiej porcelany malutkiego, za to grubego ogórka. - Co się tu właściwie dzieje?

- Widzisz, dzisiaj odbył się wielki zjazd wszystkich sił patriotycznych - zaczął opowieść Jeżewikin. - Przecież kraj stacza się w przepaść, w mordę jego mać, a my jesteście rozbici na jakieś partyjki, grupki, nurciki. O, tę wczoraj dmuchałem - oświadczył, odprowadzając ciepłym spojrzeniem dziewczynę w sarafanie, która przepląnęła obok, rozchlapując półśłodki szampan.

- I do czego doszliście? - zainteresowałeś się, szukając następnego ogórka.

- Do zjednoczenia! - oznajmił triumfalnie Jeżewikin. - Teraz zgnieciemy wszystkich. Powsiemiesno! Słuchaj, ona ma takie cycki, że obiema rękami nie obejmiesz! - I na dowód, że nie da rady, rozpostarł swoje niedźwiedzie łapy.

- Niet-s, gaspada-sl - walnął pięścią w talerz sztabkapitan. - Żadnych zjednoczeń! Z kim-s? Z tym-s wred-nym-s nasieniem-s?! Wyprąsam-s sobie-s! Duchowość, duchowość, prawosławie, monarchia, duchowość, monarchia, prawosławie, stanowisk umiłowanie, uwielbienie, pożądliwość, rąk błędzenie.

Trochę się zaplątał. Dlatego też zamilkł na chwilę.

- Nikołaj Pałkin - przedstawił się głośno i wy dobył spod stołu tomik poezji Rozpuściła warkocz brzoza.

- Dziękuję, już mam - zapewniłeś.

- I jak? - utkwiał w tobie świdrujące spojrzenie białogwardzisty.

I - Duchowość! - odpowiedziałeś. - Prawosławie, monarchia, duchowość, narodowość, partyjność... Samo-dzierżawie, braci miłowanie, herbatypicie...

- Pokorna mądrość! - zawołała kubanka.

- Świątyni budowanie! - dodał sztabkapitan Pałkin, rozdziobując nie słuchającym ręki widelcem górę chytrej sałatki, faktycznie w kształcie pseudobizantyjskiej budowli kultowej.

- Sprawa jest jasna, trzeba odbudować świątynię - zgodził się z tą głęboką myślą Jeżewikin. - Tylu wszędzie tych Żydów, energoterapeutów się namnożyło, a do tego jeszcze narkomanów, pedałów, lesbijek... Nekrofilów, zoofilów...

- Grafomanów - dorzuciłeś.

- Rokerów, brokerów, dilerów - zabulgotała kubanka.

- Co krok pornografię sprzedają - nie wytrzymał Pałkin.

- A wy co powiecie, ojczulku? - zwrócił się Jeżewikin do zwalistego duchownego, który siedział nadęty nieopodal.

- Bładstwo wsio eto - odpowiedział pop, ten sam zresztą, którego widziałeś dzisiaj w barze piwnym na Fonwizina.

Jeżewikin nachylił się do ciebie i gorliwie - aczkolwiek niezbyt podniecająco - śliniąc ci ucho, powiedział:

- Wystaw sobie, odstawilem trzy numerki i leżę jak w transie, a ona do mnie: „Jeszcze!”. Namysłilem się i układam ją sobie...

- Całe nasze nieszczęście, gaspada-s, polega na tym, że zagubiliśmy naszą słowiańską jedność, tak-s - podsumowywał tymczasem Nikołaj Pałkin.

- ...i kiedy już kończę - wtłaczał ci dalej do ucha Jeżewikin - ona powiada do mnie: „Wiesz, teraz już tylko naszym będę dawała!”. To była walutowa cholera, za dolary się puszczała suczka!

- To nie była kelnerka? - zdziwiłeś się.

- Gdzie tam! Zapamiętaj sobie: wszystkie te baby w sarafanach to walutowe dziwki. Specjalną dyrektywą KC ściągnęli je dzisiaj do obsługi bankietu. Trzeba było płacić zielonymi, jak za normalną robotę. Za to możemy je obrabiać ku chwale ojczyzny!

- A co, KC rządzi walutowymi prostytutkami?

- KC rządzi wszystkim - z przekonaniem oświadczył Jeżewikin. - Właśnie dlatego stąd nie wychodzę, braciszku! Choć tego całego bolszewizmu mam już potąd. Tak samo jak ty, jak ten tutaj. Kością w gardle mi staje!

- Wsiech rasstrielat'1. - zawołał nagle sztabkapitan Nikołaj Pałkin i zsunął się pod stół obok jakiegoś pochrapującego przygłupa w rosyjskiej haftowanej koszuli.

- Szalisz1. - odkrzyknął na to kubański Kozak i chwyciwszy pusty kielich, walnął nim o stół aż z dłoni trysnęła krew.

- Uspokój się, bucu - spokojnie przestrzegł go Jeżewikin, niewątpliwy lider towarzystwa. - A wiesz, jak naprawdę nazywa się Gorbaczow? - zapytał, zwracając się do ciebie.

Znowu opanowała cię nieprzeparta chęć, aby się zdrzemnąć, czy bodaj poleżeć. Przed oczami przepływały ci mordy biesiadników, kawałki świniny; krew kubańskiego Kozaka powoli sączyła się między talerzami.

- Jeżewiking - z trudem panowałem nad płaczącym się językiem. - Podaj mi puree z ziemniaków!... Albo nie, nie trzeba. Lepiej posłuchajcie mnie, chłopcy. Tak się złożyło, że znałem w życiu wielu ludzi. Całe mnóstwo. Mnóstwo! Psychicznym i zdrowym. Nafciarzy i drwali, twórców pisanek, nocnych złodziei, sutenerów, wybitnych chirurgów, demiurgów, znałem beatników w pierwszym pokoleniu, masonów z loży Nieśmiertelność-4, bliźniaki jednojajowe, rockersów, bonzów partyjnych, znałem konsumentów haszyszu i funkcjonariuszy organów ochrony trawy, znałem linotypistki, maszynistki i modelki, najwięcej znałem artystek i chałupniczek, jak również nałożnic, znałem nawet kilka podłożnic, przeważnie jednak - niezamożnie. Nie mogę także ukrywać, ba - nawet bym nie śmiał: znałem suflerów, szpicli, su-fistów. Znałem ostatnich hipisów i pierwszych punków. Bywałem w gabinetach ważnych osobistości, popijałem z syfilitykami, spałem w jednym łóżku z chorymi na AIDS. Znałem jednego czarnoskórego Ukraińca rodem z Jamajki, w ogóle Ukraińców znałem najwięcej, chociaż prawie tyle samo przedstawicieli innych narodów. Znałem nawet psychiatrę, który pisał pracę doktorską. Wielu znałem. Całe mnóstwo! Mój przyjaciel - pianista jazzowy - został teraz przewodniczącym demokratycznie wybranej rady miejskiej. Na sesji chowa się za prezydium i włącza walkmana, chętnie porównuje się do Havla. Rzewne jaja! Prócz tego znam jeszcze nieskończoną liczbę innych osób. Byłem na wozie i pod wozem, wiele doświadczyłem i wiele przeżyłem... Za totalitaryzmu pracowałem jako korektor, za posttotalitaryzmu moje erekcje stały się częstsze. Nic mnie już nie zadziwi, na niczym nie dam się zagiąć... Ale w życiu nie widziałem takich nieprzeciętnych kutasów jak

wy, przyjaciele! Jak tak na was patrzę, ogarnia mnie po prostu zdumienie, jestem załutwiony! Chylę czoła! Jeżewikin, mam dość waszego towarzystwa! Jak można stąd wyjść, hę?

- Gdzie? - spytał tępo Jeżewikin.

- Do domu. To znaczy mam na myśli - do akademika.

- Do domu? - Jeżewikin aż zatrząsł się ze śmiechu. - Tu jest nasz dom. Tu jest nasze podziemne serce. Tutaj teraz jest Rosja - jedyna i niepodzielna. I nie wyjdziemy stąd, dopóki tam, na górze, nasze czołgi nie wgniotą w ziemię ostatniego naszego wroga. A wówczas wyjdziemy na światło nowej Rosji, starej Rosji, z jasnymi ikonami i świętymi regaliami w ręku...

- A to ci przechrzta sobaczy - ozwał się ojczulek, patrząc na nieco semicki nos zakrwawionego kubańskiego Kozaka.

- Tak że nigdzie stąd nie wyjdiesz, bratku - zakończył Jeżewikin, nalewając jeszcze po lufie.

- I długo to jeszcze potrwa? - nalegał.

- Już niedługo - uspokoił Jeżewikin. - Rozkazy już wydano. Pozostało tylko wykonać.

Walnął jeszcze stopięćdziesiątkę i nagle pojął, że tym bardziej trzeba stąd zwiewać. Ale jak? I dokąd?

- Poczekaj tu na mnie, dobra? - mrugnął porozumiewawczo Jeżewikin i pobiegł przez bezkresną salę tropem swej niedawnej kochanki w sarafanie.

Tymczasem panusia na scenie skończyła swoją okropną romancę i przy akompaniamencie niemrawych oklasków podskoczył ku niej jakiś oficjel z wielką lśniącą tacą. Na tacy leżało w pełnej krasie i wspaniałości smażone prosię z czymś apetycznym w ryju. Nie wypuszczając tacy z rąk, oficjel w lansadach zbliżył się do mikrofonu. Orkiestra przycięła jakąś patriotyczną introdukcję, mongoloidalna śpiewaczka odpłynęła na bok i skłoniła się w pas.

- Towarzysze! - zaczął oficjel.

Na sali wszczął się gwałt i rwetes, ponieważ znaczna część obecnych żądała, aby zwracano się do nich per gas-pada.

- Rodacy! - wykręcił się sianem mówca, niezaprzeczalny mistrz w sztuce koncyliacji.

- Dzisiaj zaprawdę wszyscy zebraliśmy się w tej sali! Niełatwa była nasza droga, a jednak przyszliliśmy! Albowiem zrozumieliśmy wreszcie świętą prawdę, zaprawdę zrozumieliśmy i doszliśmy do wspólnego wniosku: kraj wymaga ratunku! Trzeba ratować kraj!

- Ratować kraj trzeba! - poparł go ktoś z sali.

- Żaden Batuchan, Napoleon czy Mazepa nie plądrował tak jeszcze, zaprawdę, naszej świętej ziemi, naszej ziemi zaprawdę świętej, zaprawdę nie plądrował tak, jak dzisiaj... - mówca zmarszczył spocone czoło, jakby z wysiłkiem szukał na gwałt odpowiednio zabójczego słowa, ale nie znalazłszy, zaokrąglił śpiewnie - jak dzisiaj!

Uskrzydlały go historyczne paralele. Przemawiał z coraz większą namiętnością i ogniem, rozstawiając niewidzialne wykrzykniki jak słupy płonące wzdłuż traktu Włodzimiersko - Sybirskiego.

- My wierne potomki naszych świętych, zaprawdę, przodków! Duch Jerzego Zwycięzcy jest w naszych sercach! Trzeba poukręcać parszywe łby! Chwała tym, co jednoczą nasze ziemie! Bo Rosja jest wszędzie tam, gdzie my! A my jesteśmy wszędzie! My to ona! Ona jest wszystkim! Nie damy Rosji! Damy im popalić! Wszystkim pokażemy takiego!

Mówiąc to, wyciągnął z prosięgo ryja łaskę chrzanu, dumnie i groźnie wznosząc ją w górę, dokonując cudów ekwilibrystyki, by nie upuścić dość ciężkiej tacy.

Chrzan wywołał burzę oklasków. Biła z niego jakaś święta moc - jakaś siła sakralna, wojownicza, państwo-wotwórcza istota Świętej Rusi, coś jakby duch Iwana Ka-lity, Piotra Pierwszego, może nawet marszałka Achromie-jewa. Brawa ucichły dopiero gdy mówca wetknął z powrotem święty korzeń w ryj prosięcia ofiarnego.

- Przyjaciele! - ciągnął, zniżając nieco głos. - Wielka i wspaniała jest nasza sztuka. Zaprawdę czysta, zaprawdę święta. Cały świat drży przed naszą pieśnią! Drży i płacze, boi się i nienawidzi, cierpi i kocha. Ale na próżno żywi nadzieję, że Rosja zapomni swoją pieśń! Swoją świętą pieśń. Niedoczekanie!

Pogroził uwolnioną od tacy pięścią jakimś zamorskim oponentom, co nie kochają rosyjskiej pieśni. A potem z gracją zakończył:

- I dlatego pozwólcie, że w waszym imieniu powitam na tym zaprawdę świętym soborze wielką rosyjską śpiewaczkę, naszą matkę i siostrę, duszę naszą nieogarnioną, niezrównaną i świętą artystkę ludową Martę Suki-nę i zgodnie z prastarym zwyczajem wręcę jej tego piezzonego łabędzia!

„Dlaczego łabędzia?! Jakiego łabędzia?!” - chciałeś zawołać, von R, ale i tak nikt by nie usłyszał w huraganie oklasków odbijających się echem od sklepionych podziemi. Marta Sukina, rozplywając się w mongolskim uśmiechu, przyjęła pozłacaną tacę, kłaniając się głęboko. Orkiestra zagrała jakiś dziarski kawałek.

- Wsiech rasstrielat'1 - warknął spod stołu sztabkapitan.

Przechrzczony kubański Kozak szlochał gorzko, rozmazując krew po salaterkach.

W tej chwili pojawił się Jezewikin i poinformował:

- Załatwione! Umówiłem się! Zaraz będę ją posuwał. Tam, przy wyjściu, pod mauzoleum, są takie ukryte nisze... Ciasne, ale spróbuję zarzucić nogi na ramiona. Ciebie też umówiłem, braciszku. Będzie z koleżanką, Swietką. Cycki ma nie mniejsze niż moja, a może i lepsze... O braciach to ja nigdy nie zapominam!

Zatarł energicznie dłonie.

- Strzelimy jeszcze setę i naprzód!

Smażone prosię wzbilo się z lotniska tacy i szybując między przeogromnymi żyrandolami, wywoływało szalony entuzjazm. Niektórzy próbowali trafić w nie butelką. Marta Sukina przy akompaniamencie bałajek piskliwie śpiewała pieśń o walonkach. Latające nieszczęsne prosię rzeczywiście przypominało trochę łabędzia. Bił od niego taki blask, że chwilami miałeś wrażenie, że to jakiś dwugłowy orzeł.

Tym razem Jeżewikin nalał jakiejś ciemnej nalewki. Udało ci się wytrąbić ją, wychlać, wyłopać. Duszkiem. Ale po chwili przypomniałeś sobie, że to już siódma warstwa.

- Najważniejsze, pamiętaj - Jeżewikin udzielał ci ostatnich pouczeń, wyciągając cię za kołnierz zza stołu i wciskając ci w rękę uchwyty twojej bądź co bądź torby - one pod sarafanami nic nie mają! Jasne? Tak że od razu - tam!

I bezlitośnie pociągnął cię, tak jak powiedział - „tam”.

JYlasz przed sobą dwie wielkie jak arbuzy, doskonałe w formie i socjalistyczne w treści damskie piersi. Nigdy jeszcze nie przydarzyło ci się coś takiego. Chyba że na okładce jakiegoś czasopisma. Albo w filmach, które, niestety, nie ty reżyserowałeś i nie ty byłeś ich scenarzystą. Wielkie białe wzgórza, które powoli unoszą się i opadają tuż przed twoim nosem, a ich właścicielka dmucha ci w oczy tytoniowym dymem. Zdajesz sobie sprawę, że trzeba jakoś zabrać się do tego bogactwa, tym bardziej że w sąsiedniej niszy atak Jeżewikina dobywa już z jego bogdanki dość niedwuznaczne odgłosy. Ale tobie jakoś nie idzie. Czy odezwało się sumienie? Czy po prostu alkohol i gorączka zrobiły swoje i wszystko, co potrafisz, to oblizywać zdrewniałym, martwym językiem twarde, gorzkawe sutki? A może to poczucie obywatelskiego obowiązku nie pozwala ci zapomnieć się w rozpustnym akcie, żądając, byś - porzuciwszy te błogosławione wzgórza - biegł dokądś, niesamowitym falsetem obwieszczając światu: „Demokracja w niebezpieczeństwie!”.

Jak się okazuje, sprawa jest znacznie bardziej prozaiczna. Jest ci po prostu niedobrze, von F., i w każdej chwili możesz wymalować tę falującą fasadę hotelowej kurtyzanki rześistym kolorowym pawiem, którego paleta odcieni jest łatwa do przewidzenia. Albowiem mieszczą się w tobie wszelkie niezbędne składniki.

- Co z tobą, narąbałeś się? - dolatuje cię współczujący szept.

- Bardzo was kocham - odpowiadasz.
- Chcesz, to ci pomasuję.
- Nie, miła. Zaraz wszystko będzie... - z trudem wstrzymujesz potężny wewnętrzny spazm.
- Może chcesz od tyłu? - pada propozycja.
- Tylko nie to - błagasz, bo faktycznie przyzwyczałeś się już do jej piersi.
- Jak nie możesz, to powiedz! - zaczyna się denerwować.
- Bua - powiadasz na to.
- Co?
- Wwe - kończysz swoją myśl.
- Zaraz ci postawię - obiecuje i skończywszy papierosa, pochyla głowę ku tobie.
- Ue - próbujesz ją ostrzec.

Ale ona już wpija się w ciebie i zaczyna wyprawiać z twoimi wargami jakieś cuda, jakby chciała wyssać z ciebie duszę, a wraz z nią wszystko, co masz w środku; wreszcie siłą odrywasz ją od siebie i łapiąc torbę, nagle jakby o wiele cięższą, jak wystrzelony pocisk pędzisz gdzieś, zapominając nawet o bólu w kolanie.

I znowu rozświetlona sala, pełno światła, kalejdoskop twarzy i ciał, a mówiąc ściślej - fizjonomii i kadłubów, kogoś potrącasz, coś się przewraca, ale nic nie może cię powstrzymać, mijasz jedne, drugie, trzecie drzwi, a potem widzisz nareszcie zbawcze słowo „TOALETA” i wpadasz tam, niczym pijany anarchista w szturmie na Pałac Zimowy.

To nie kibelek, ale, jak się okazało, coś w rodzaju artystycznej garderoby z kupą wszelakiego śmiecia i innych rekwizytów. Ale pod olbrzymim, wielkości całej ściany lustrem bieleje mimo wszystko muszla umywalki i nagła erupcja wyrzuca z ciebie cały ten dzień, wszystkie jego chemiczne elementy wraz z organicznymi płynami, całą tę Moskwę. Tryskasz jak fontanna, w pełnym poświęcenia natchnieniu, niepohamowanie i radośnie, a wszystkie twoje skurczowo-ekstazy ruchy przypominają jazzowego saksofonistę u szczytu olśniewającej improwizacji... Następnie odkręcasz kurki obu kranów i długo się myjesz. Zrobiło się tak lekko i przytulnie, jak nigdy. Od czasu do czasu spoglądasz w lustro - rysy twarzy odzyskują symetrię, kropelki potu rozkwitają na niej zwycięsko, cera nabiera normalnego odcienia. Jednak gęba nadal jest dość nieprzyjemna. Cała świadomość narodowa poszła w wąsy. A te przekrwione oczy A nos, który zazwyczaj jest ledwie widoczny, teraz też cały w pretensjach - wyostrzył się, rozblęsnął, istny Narcyz. Dajesz mu prztyczka, żeby sobie nie myślał, i nagle słyszysz z tyłu łagodny starczy dyszkant:

- Czto, kasatik, struganuł małost'?

Z kąta patrzy na ciebie malutki cichy dziadek. Siwiuteńki jak gołąbek. Oczywiście siedział tam przez cały czas, kiedy puszczałeś pawia.

- Minieralki popiej', rodimyj, minierałka oczienno po-mogajet - powiada.
- Już jakby mi lżej - wzdychasz ciężko.
- Iii łózkú mioduprimi - kak rukoj symiet...
- To nic, wujaszku, jestem wytrzymały - próbujesz nawet się wyszczerzyć.
- Wódkę z czerwoniutkim chlałeś, gałubczik?
- I nie tylko, tatku. Wszystkie kolory tęczy. Rajdu-gil - wyjaśniasz.
- Nielzja tak, bolieznaj. Trzeba się oszczędzać.
- Co mi tam, stryjkú! Raz się żyje...
- Cierpisz, biedaku?
- Jak wszyscy, starcze.
- To się pomódl, ulży.

- Do kogo mam się modlić? Do którego Boga, tatku? Tylu ich nad nami i każdy twierdzi, że jest jedyny, każdy chce, żeby tylko do niego się modlić. Nie ma jedynowładztwa w niebiesiech. Bogowie kłócą się o strefy wpływów. A na nas się skrupia. Panowie się biją, a chłopom łby pękają!

Z takimi starymi ludźmi najlepiej rozmawiać językiem przysłów. To ich przekonuje.

- Wiele zła się w tobie nagromadziło, łaskowj.
- Bo ze wszystkimi chciałem żyć w zgodzie. A pokazało się, że wszyscy ze wszystkimi się kłócą. Jeszcze mnie na świecie nie było, a losy świata były już przesądzone: same kłótnie i wojny. A wyście kto?
- Ot, człowiek maleńki - wyczerpująco informuje stary.
- Więc to o was piszą klasycy? - O mnie, kochaneńki, o mnie.
- ! I nie ciężko wam tak żyć, z taką niesławą? Wszyscy o was wszystko wiedzą...
- A ja do Boga się modlę. I pomaga.
- A do którego się modlicie - tego rosyjskiego, brodatego, czy może do hinduskiego, sześciorekiego?
- A do tego, za którym prawda stoi. Prawdę każdy duszą wyczuwa.
- Niestety, wujku, prawdy za nic nie dojdiesz. Każdy ma swoją. Prawda jest jak dyszel. Jest nawet taka gazeta, czytaliście może?
- Wiele, wiele zła jest w tobie, najmilszy.



- Bo ja, wujaszku, w niedługim swoim życiu i wyrzekałem się, i zdradzałem, i cudzołożyłem, i gniewałem się, i pałę zalewałem, i kłamałem, i przeklinałem, i ulegałem pokusom, i sobą się chełpiłem... Ot, chyba tylko nie zabijałem.

- Do świątyni chodzić trzeba, do Boga się modlić. On wszystko przebacza.

- Cóż to za Bóg, starcze, który przebacza tylko tym, co chodzą do cerkwi? To żandarm, nie Bóg! W żandarma nie mogę wierzyć.

- Wy, ludzie uczeni, byle co sobie wymyślacie - współczująco pokiwał głową dziadek.  
- Żeby tylko jakoś się wyłgać! A tak naprawdę - to tylko duszy lenistwo i martwota. Nie chce dusza zbawienia! A serca wasze są ociężałe od obżarstwa, pijaństwa i trosk doczesnych.

- Może ty i prawdę mówisz, stary - odparłeś po krótkim, przygnębiającym milczeniu. -  
Może od jutra zacznę się modlić, do cerkwi chodzić. Żeby tylko jakoś się stąd wydostać. Na górę! Bo tutaj przecież piekło, tatku! Nie czujesz tego? I co ty, taki dobry i mądry, robisz w tym piekle?

- Wachtiory my - poinfromował stary.

- A, w takim razie pewnie wiesz, jak się stąd wydostać. Powiedz!

- Co ja tam wiem, nieszczęsny? Ja człowiek maleńki. Wiem tylko, że tam - wskazał w kierunku sali - piją i żrą, a tam - wskazał jakieś drzwi na lewo od lustra - nieboszczyki radzą...

- Jakie znów, do diabła, nieboszczyki?

- A takie. Sami ważni. Sinpozjum jakieś.

- Sympozjum dla nieboszczyków? Pięknie!

- Wejście tylko za przepustką, kotku. Chcesz wejść, posłuchać?

- Ja już nigdzie nie chcę iść, starcze! Nawet do umar-laków! Mam dosyć na dzisiaj. Muszę się jakoś wydrzeć na wolność. Na wolności jest deszcz, samochody, dziewczyny. Lampy, parasole. Widzisz, strytku, czasem poeci faktycznie muszą zejść pod ziemię, powiedzmy, że w celach twórczych. Niektórzy w poszukiwaniu swych kochanek. Na przykład Orfeusz. Albo Dante. Ale tylko na chwilę. Tylko po to, żeby zaraz wyrwać się i w wyszukanych tercynach wymodnić jakąś rzewną historię. Wystarczająco długo już tu bawiłem. Pora zabrać się do swoich tercyn.

- Jak sobie chcesz - wzruszył ramionami stary. Zapadła krótka cisza.

Wtedy znów odwróciłem się twarzą do lustra, przyjaciele, i zobaczyłem, jak tam, w lustrze, mój odbity sobowtór wyszczerza się i mruga do mnie. Pomacałem własną twarz - nic podobnego, żadnego wyszczerzania, żadnych mrugnięć. A tamten w lustrze dalej swoje. Że niby nigdzie już nie ucieknę - scenariusz dnia nie jest ukończony. Finałowy wystrzał jeszcze

się nie rozległ. I nie uda mi się od niego wykręcić. Tak że dzień trzeba przeżyć do końca. Wyczerpać go do dna. Uczciwie i twardo.

W ciszy skapywała do umywalki woda z nie dokręconego przez ciebie kranu.

- Do diabła z tym wszystkim! Posłucham sobie martwych! Jak to w ogóle wygląda, tatusiu?

- Naradzają się najważniejsi. Jak mają dalej żyć.

- Kto, nieboszczyki?

- No nie, żywi. A przecież i bez nich jasne, jak żyć - po bożemu i po ludzku...

- I dużo ich tam jest?

- Kogo?

- No, tych najważniejszych, którzy radzą o wszystkim?

- Razem dusz siedem. To ci naj-naj. A innych - więcej, tych mniej ważnych.

- I jak tam wejść?

- Potrzebna przepustka.

- Od kogo, stryjku? Chyba od szatana, co?

- To ty powiedziałeś! Od generała przepustka. I maska. Dlatego, że wszystko jest ściśle tajne. Nie daj Bóg, żeby się nawzajem rozpoznali! Tak sobie teraz myślę, pewnie przepustki nie masz? No i nie trzeba! Ale maskę załóż koniecznie.

- Ale skądże ją wziąć, dziadku?

Starzec wstał z kąta i niespiesznie poszedł do szaf z rekwizytami. Otworzył jedną.

- Wybieraj, która ci się najbardziej podobała. Pośród niezliczonej mnogości wypełniających szafę masek - karnawałowych, dziecięcych, teatralnych, obrzędowych - poczułeś się z nagłą zagubiony. Co by tu włożyć, do diaska? Może tę długonosą wenecką maskarę? A może noworocznego zajęczka z włochatymi uszami? Albo szczura, żeby już być konsekwentnym i nie wstydzić się własnej natury? Czy też syberyjskiego szamana, by w odpowiednim momencie rozplątać się na fali ekstazy? Albo buddyjskiego mnicha? Albo pośmiertną maskę Jesie-nina? Czy może karykaturę Hitlera? Breżniewa? Królowej angielskiej? Papieża? Ajatollaha Chomeiniego?

Nie. Spośród mnóstwa masek wybrałaś starą jak instytucja cyrku, kosmopolityczną i na swój sposób bezosobową maskę rudego błazna. Tradycyjnego, krzykliwego pajaca w za szerokich, kraciastych spodniach z ukośną szlejką, który głośno szlocha, gdy go grzmocą kijem po plecach, tryskając daleko komicznymi, wciąż świeżymi fontannami łez.

W następnym korytarzu, przed wejściem do SALI KONFERENCYJNEJ (tak, tak, właśnie: sali konferencyjnej!), natknąłeś się na telefon. Trafiała się niepowtarzalna okazja,

żeby pogadać z Cyrylem. Uprzedzić, że prawdopodobnie się spóźnisz. I w ogóle - ostrzec cały świat przed podziemnym niebezpieczeństwem. Niech tam na górze coś robią! Niech przynajmniej się jednoczą i wychodzą na place ze sztandarami!

Ale podniósłszy słuchawkę, skumałeś, że telefon jest wyłącznie do użytku wewnętrznego. Nie było na nim nawet tarczy z cyframi. Tymczasem w słuchawce zabrzmiał czyjś służbisty głos:

- Dieżumyj.

- Jak sprawy, dieżumyj? - rzuciłeś maksymalnie pewnym siebie tonem.

- Wszystko w porządku, towarzyszu... A z kim ja?...

- W porządku, powiadasz? - zrobiłeś pauzę, konieczną w sam raz po to, żeby dieżumyj poczuł, jaki jest okropnie małeńki, po czym, mimo woli przypominając sobie odległe czasy dzieciństwa i słodko-trwożne zabawy w telefon, warknąłeś wściekle:

- Cóż to, przesraliście sprawę, wyrodki?! Myślicie, że o niczym nie wiem?! Czemu nie meldujecie o ucieczce zatrzymanego? Kto was, bałwany, przyjmował do służby? Pomyśleć tylko, jakiś zakichany pismak, a wszystkich załatwił!... To mają być zawodowcy!

- Szukamy, towarzyszu... - ratował sytuację nieszczęsny dieżumyj.

- Własnych łbów szukajcie, łajzy! A on pewnie już gdzieś po Moskwie spaceruje. Odszukać natychmiast i do mnie! Do mnie osobiście! Czy wy choć zdajecie sobie sprawę, o jaką stawkę idzie gra? Czy bodaj to pojmujecie, cymbały?!

- Rozumiemy, towarzyszu...

- Nic nie rozumiecie, jeśli go dotychczas nie złapaliście! Zakonotujcie sobie: jeżeli nie dostarczycie mi go żywym czy martwym, albo i martwym, i żywym, i nie narodzonym, w poniedziałek cały oddział jak jeden mąż - nach Kambach] Skórę z kałdunów zedrzenie na skałach! Może zmądrzejecie, jak do was zaczną pruć z ce-kaemów i walić z dzia! Jasne?

- Jasne, towarzyszu... A z kim ja?

- Sam Bóg do ciebie mówi, ofermo! Trzeba umieć rozpoznać, jasne? Jakieś pytania?

- Szczury.

- Co z nimi?

- Zaczynają pożerać się nawzajem. Niszczą kable rządowej telekomunikacji. Są coraz bardziej wściekle. Boimy się, że może to trwać za długo. Co rozkażecie?

- Rozkazuję wypuszczać!

- Ze wszystkich sektorów?

I - Ze wszystkich bez wyjątku! Niech sobie pohasają...

- Hy-hy-hy - zafalował głos dieżurnego.

- Dość żartów! Przekażcie dowódcy grupy, że go własnoręcznie wepchnę do klatki ze szczurami, jeśli w ciągu godziny nie dostarczycie mi tego wierszoklety! Jasne?

- Przekażę bezwarunkowo - z radosną gotowością zapewnił dieżurnyj.

- Co pół godziny informujcie o postępach operacji! Jasne?

- Jasne, towarzyszu... Jakiej operacji?

- Srakiej! Operacji aresztowania, zakuty łbie!

Z wściekłością rzuciłeś słuchawką. Skąd się bierze tyle tego zuchwalstwa? Spojrzałeś na swoje odbicie na czarnej gładzi aparatu. Istny błazen - rude jak lisia kita kudły, niesymetryczne placki łysiny, czerwona bulwa zamiast nosa. W sam raz, żeby iść na sympozjum umarłaków na temat naszej przyszłości. Które, nawiasem mówiąc, odbywa się właśnie za tymi drzwiami.

JLJrzwi zdecydowałeś się pchnąć nogą, tak będzie niewątpliwie bardziej elegancko. Ale nikt w SALI KONFERENCYJNEJ nie zwrócił uwagi na twój wybryk. Wszedłeś - nikomu niepotrzebne wcielenie błazeństwa w długim płaszczu. Cała pozagrobowa publika w maskach wsłuchiwała się właśnie w jakiś referat, wygłaszany z usmarowanej odchodami, podświetlonej z dołu trybuny. Przemawiał jakiś dziarski jegomość incognito, który zgodnie ze starym gangsterskim zwyczajem naciągnął na głowę czarną nylonową pończochę z jednym tylko wycięciem - na usta.

Na sali panował półmrok. Fotele ustawione były amfi-teatralnie i chyba obracały się z wolna wokół trybuny i również oświetlonego stołu prezydialnego. Ściany sali także się obracały, tyle że w odwrotnym kierunku, aby obecnym przypadkiem nie zakręciło się w głowie. Na tych obrotowych ścianach co chwilę pojawiały się jak w chińskim teatrze cieni obrazy rozmaitych niezwykłych obiektów. Przepływały jakieś ruiny, szubienice i czołgi, startowały sztuczne satelity, sunęły dywizje kombajnów przypominające stada prehistorycznych mastodontów. Zalaływało trochę zgnilizną, trochę koniakiem.

Tymczasem z ust prelegenta, widocznych tylko jako otwór w czarnej pończosze, wylatywały w ruchomą przestrzeń sali ostre zębate frazy. Szło to mniej więcej tak:

- Musimy przyznać, że znaleźliśmy się na krawędzi katastrofy. Powtarzam: na krawędzi. Czy mamy szansę jej zapobiec? Czy można jeszcze uratować nasze wielkie dziedzictwo? Ile na to potrzeba wysiłku, ognia, krwi, żelaza? Oto krąg palących problemów. Minęły te leniwe czasy, kiedy mogliśmy sobie pozwolić na ustępstwa, miękki kurs, amnestie, odprężenie i rozwolnienie. Teraz nie mamy alternatywy. To znaczy jeszcze mamy, ale jest to alternatywa ostateczna: być albo nie być. Będzie Wielkie Państwo albo nie. Będzie Wielkie Państwo czy zapanuje Wielki Chaos, będzie Hierarchia czy zapanuje Anarchia. Naszym

wzniosłym ideom wrogowie przeciwstawili gwizdy i wrzaski. Wszystko się rozlatuje. Drżą w posadach świątynie, trzeszczą w spojeniach czołgi. Armia nie jest już zdolna realizować idei naszych praszczurów: ona tylko udaje. Brzydzi się zabijaniem. To już nie armia - to zbieranina pederastów i pacyfistów, co zresztą na jedno wychodzi. Musimy przyznać: dzisiaj nie mamy armii. Nie mamy! Czy znaczy to jednak, że katastrofa jest nieunikniona? Nie!

Przysiadłeś na wolnym fotelu blisko przejścia i zacząłeś wirować wraz z całym amfiteatrem. Jak to dobrze, że zdążyłeś przedtem puścić pawia! Mogłeś teraz skupić się na czym innym. Po sali pełzały złowieszcze cienie: odrąbane łby, wyrwane języki, iglice jakichś pompatycznych budowli, wycelowane rakiety. Pograżona w mroku publiczność

ność, różne Dziadki Mrozy, piraci, Indianie, oprycznicy, muchomory, rozbójnicy, alkoholicy oraz inne baśniowe istoty z napięciem słuchali mówcy. Najwięcej widziało się jednak rozmaitej zwierzyny: z trąbami, ryjami, pyskami, ogonami i racicami. Czasami czułeś się jak na świątecznym balu maskowym dla przedszkolaków. Albo w szkole dla upośledzonych umysłowo.

Prezydium zgromadzenia siedziało po prawej stronie trybuny. Liczyło siedem osób. Rozpoznałeś wszystkich.

Pierwszy rzucał się w oczy wysoki, kościsty drab w masce Iwana Groźnego. Raz po raz, w miarę jak Czarna Pończocha wystrzeliwał kolejne, ostre jak gwoździe oskarżenia, potrząsał swoją tatarską bródką i brudnymi kudłami. Minę miał taką, jakby przed chwilą zabił własnego syna.

Następny był osobnik, który widocznie postanowił wyglądać jak towarzysz Dzierżyński. Bródkę miał równie capią jak „Iwan Groźny”. Paradoksalnie, od pomnikowego Feliksa-Don Kichota różnił się tym, że był tłuściutki i niziutki - ot, podrzędny aktor kabaretowy nie pierwszej świeżości.

Obok „Dzierżyńskiego” mógł siedzieć tylko „Lenin”. Tak też było. Jednak i tutaj nie obeszło się bez pewnych akcentów komicznych. Rzecz w tym, że „Iljicz” zamiast typowego, znanego ze wszystkich podręczników kaszkiecika, mającego przybliżyć jego image masom robotniczo-chłopskim, miał na głowie koronę Imperium Rosyjskiego w całym jej bizantyjskim zadęciu, tyle że wykonaną z papier-mache. Poza tym korona w niczym nie ustępowała prawdziwej.

Dalej był „Minin-i-Pożarski”. Dwugłowy typ w stroju stylizowanym na siedemnaste stulecie częściowo siedział w fotelu, a częściowo stał obok, obejmując ramieniem swą siedzącą połowę. Nie wiadomo, czego było w nim więcej - wojewody czy kupca, szlachcica czy mieszczanina.

Kolejny przebieraniec, „Generalissimus Suworow” był - jak w życiu - chorobliwie ruchliwy i niecierpliwy. Miało się wrażenie, że siedzi na rozgrzanej do białości płycie kuchennej albo na gwoździach, które wbijał mówca w czarnej pończosze. Przez cały czas zacierał wyglądające jak dwa kawały niedbale wytoczonego drewna ręce i przerywał prelegentowi nedorzecznymi pytaniami.

Niewątpliwą perełką w składzie prezydium była tęga dama o wyglądzie carycy Katarzyny Drugiej. Jej krwiste, tłuste cielsko ubrane było w coś pomiędzy rokokową balową suknią a zwykłym secesyjnym szlafrokiem. W zasadzie może by i uszła ta improwizowana „Katarzyna Druga”, gdyby tak się nie pocila. Zajeżdżały zwłaszcza stopy. Miały one, zdaje się, szczególną właściwość - puchły. Były to zapewne skutki burzliwej pałacowej młodości.

Ostatnie w tym łańcuchu wielkich było indywiduum ze szklanym okiem. Mógł to być zresztą nawet prawdziwy Anatolij Iwanowicz, ucharakteryzowany na samego siebie, tak aby nikomu z obecnych nie przyszło do głowy, że to mógł być on. Odnosiło się nawet wrażenie, że to on wszystkim tutaj kieruje. W tym królestwie cieni był bez wątpienia szarą eminencją.

Podświetleni od dołu członkowie prezydium przypominali wielkie karty, wyciągnięte z magicznej talii jakiegoś włóczęgi. Tyle tylko że gra szła o życie. Tak ci się przynajmniej zdawało.

Prelegent w czarnej pończosze robił tymczasem swoje. Ścisłej mówiąc - swoje robiły jego usta.

- Musimy sobie przypomnieć, że w krytycznych momentach zawsze przychodziła nam na ratunek chirurgia. Wielcy mistrzowie Racji Stanu nie wahali się wycinać najbardziej krwawiących organów. Kiedy w grę wchodziła przyszłość, należało ciąć, choćby miało to nie wiadomo ile kosztować. Nasza historia jest historią bezlitosnej chirurgii. Widzieliście, jak po wrzuceniu do piwnicy Domu Ipat-jewa kulili się pod bagnetami egzekutorów car Mikołaj Drugi z całą rodziną? A było to tylko jak wycięcie migdał-ków. Bo Państwo musiało żyć dalej. Chory na hemofilię car już za nim nie nadązał. Obecnie mamy do czynienia z podobnym zjawiskiem. Należy rozciąć to chore ciało od środka! Rozpuścić wszystkich do domu, opuścić kurtynę. Wszystkim damy w prezencie tę - przepraszam za wyrażenie - wymarzoną niepodległość. Nauczymy, jak się wygrywa referenda. Albowiem referendum to idealna metoda manipulowania ludźmi, pozostawianie im złudzeń, że sami decydują o własnym losie. Nauczymy ich miłości do Państwa. Czyli do przemocy, oszustw i korupcji. Pozwolimy im swobodnie skoczyć w przepaść. Zatem pełna, proszę wybaczyć, niepodległość dla republik. Przy tym wszystkim jednak coś niecoś sobie zostawiamy...

- A jak będzie z Alaską? - zakręcił chudym zadkiem „Generalissimus Suworow”.

- Zawsze jesteśmy gotowi stanąć w obronie tamtejszej rosyjskojęzycznej ludności - bez mrugnięcia (a może i mrugnawszy) okiem, dobitnie i wyczerpująco powiedział Czarna Pończocha.

- Ani mi się wazicie zapomnieć o Alasce! - wrzasnął „Suworow”.

- Milczecz! Du scheissener kutas! - zagrzmiała niemieckojęzyczna „Katarzyna Druga”.

Słyszac to, „Lenin” zachichotał złośliwie, podczas gdy „Anatolij Iwanowicz” (Anatolij Iwanowicz?) przywoływał prezydium do porządku.

- Alaska Alaską - wtrącił przenikliwy „Dzierżyński” - ale właśnie przed chwilą wypowiedzieliście interesujące zdanie: „...coś niecoś sobie zostawiamy”. Co należy przez to rozumieć?

- Przyszłość - odpowiedział Czarna Pończocha. - Zachowujemy dla siebie nie tyle rozczłonkowane ciało, ile poszczególne zdolne do funkcjonowania organy. Zachowujemy określone gabinety, komitety, instytucje. Zachowujemy charakterystyczne dla nich struktury pionowe. I wielki naturalny pęd do pączkowania, mnożenia się, reprodukcji. Najzabawniejsze jest to, że te organy (głowy, ręce, nogi, jaja) zaczną nagle działać w interesie niepodległych republik.

- Naphawdę? - zainteresował się „Lenin”.

- W tym właśnie rzecz, że nie - potwierdził jego wątpliwości prelegent. - W rzeczywistości będą one przygotowywały naszą przyszłość. Na czele świeżo upieczonych, pardon, niepodległych rządów pojawią się przez nas aprobowani i przez nas wyznaczeni wykonawcy. Chaos będzie rodził chaos. Tam, gdzie okaże się to niemożliwe dla naszych ludzi, do władzy dojdą zwykle skurwysyny. Albo polityczne kurwy, Włodzimierzu Ilji-czu. Albo w końcu pospolici dranie. Wszystko utonie w szarości. W ohydzie. W podłości. Fala entropii, która rozmyła Wielkie Imperium, rozczłonkuje również niepodległe, przepraszam za wyrażenie, państewka. Wszystko to będzie jak jedna karykatura: owi wyznaczeni przez nas prezydenci, owe kupione przez nas parlamenty. Te przygraniczne konflikty szyitów z sunnitami, katolików z wyznawcami Kryszny, prawosławnych z buddystami. Te heroiczne wysiłki zachodnich bankierów usiłujących nauczyć wolności ludzi szalonych. Te zamieszki głodowe, te bunty i strajki. To uprzemysłowienie świątyn i burdeli. Mnóstwo niepotrzebnych dekretów, konstytucji i deklaracji. I ten totalny śmietnik, a raczej wiele niepodległych śmietników z niedołącznymi marionetkami na czele. Oto nasz program działania. Coraz częściej narody będą spoglądały wstecz. I w swych zakłamanych wizjach zobaczą tylko wielkość dawnego Państwa - kosmicznego, ognistego, tysiącletniego. W porównaniu z nim

coraz gorzej wyglądać będzie owa, proszę wybaczyć, niepodległość. Sama jej idea okaże się na wieki...

- Zaszana - podpowiedział „Iwan Groźny”.

- Dziękuję, właśnie coś podobnego chciałem powiedzieć - zgodził się grzecznie prelegent.

- I wówczas wszyscy oni - mam na myśli narody - znowu zapragną Państwa. Bo przecież wszystko będzie się sypać jak morski piasek. Wszystko będzie się waliło. Zrobi się jedno wielkie zoo! I żadnego wyborul Mam na myśli nie tyle wybór polityczny czy ekonomiczny, ile moralny.

Sala wybuchła burzą oklasków.

- A jak będzie z Polską i Finlandią? - wyskoczył „Suworow”, gdy brawa ucichły.

- Milczecz, stary, głupi kopf! - wściekła się „Katarzyna Druga”.

Ponieważ siedział obok, „Suworow” ucałował jej dłoń. Spoconą, pokrytą piegami i pudrem dłoń najjaśniejszej imperatorowej.

- Wszystko będzie w porządeczku - zapewnił prelegent. - Z Polski zrobimy poligon od morza do morza, a Finlandię zalejemy wódką. Zniesiemy jej ustawę o wychowaniu w trzeźwości jako sprzeczną z prawami człowieka!

Wszyscy ponownie zaklaskali. Chichocząc pod nosem, „Lenin” wyciągnął z kieszonki w kamizelce mechaniczną myszkę i puścił ją, by pobiegała sobie po prezydiálním stole. Potem z głośnym klapnięciem złapał ją i natychmiast skręcił jej kark. Równie dobrze mogła to być żywa myszka.

- Będzie to nasze zmartwychwstanie, ostateczne i na wieki - przemówił znowu Czarna Pończocha, przekrzykując falę oklasków i entuzjazmu. - Odrąbane członki znów zrosną się w całość. Idea, tfu, niepodległości poniesie całkowitą klęskę i ludzie będą ją porównywać do faszyzmu czy nawet zbrodni seksualnych. Zakazany owoc Imperium zasmakuje wszystkim. Miliony ludzi tylko czekają, żeby zrobić z nich niewolników. Żeby kazać im wznosić piramidy, budować kanały, wielkie mury i mosty. Jedynie pod władzą Imperium ludzka jednostka odnajduje sens swojego istnienia. Przecież każde Imperium - to wielki cel. Tysiącletni cel. To podbój świata, to komunizm, to nieśmiertelność mumii w mauzoleach. To blask słońc i przywódców. To wieża, którą wznosi się przez tysiąclecia. To siła armii, palenie czarownic, nieustanna i jednocząca wędrówka ludów. To wielka kopulacja, pochłanianie mniejszych przez większych, słabszych przez silniejszych. To zabytki i mity, rzeki zawrócone do źródeł, triumf psychiatrów, patoanatomów, ornitologów...

- A jak będzie z Francją? - wyskoczył po raz kolejny „Suworow”.



- Capl - zaskrzybiała „Katarzyna Druga”. „Suworow” intymnym ruchem objął ją w talii, co nawet z ostatniego rządu było dobrze widoczne.

- Do Francji przeniesiemy się, aby tam zamieszkać - zapewnił prelegent. - Pięć - i sześciopokojowe mieszkania z loggią w Paryżu, Marsylii i Nicei otrzymają reprezentanci najwyższego gatunku, przede wszystkim uczestnicy dzisiejszego sympozjum.

- A co z Francuzami? - doleciało pośród oklasków z amfiteatru.

- Deportujemy ich na pustynię Gobi - odparł bez wahania Czarna Pończocha. - Może zatrzymamy się przy okazji na chwilę przy problemie deportacji, ponieważ będzie to chyba najważniejszy czynnik naszej wewnętrznej, eee, zewnętrznej polityki.

- Zdhowa myśl! - zatarł ręce „Lenin” i wyciągnawszy z kamizelki białawą twardą rzodkiew, zaczął ją głośno chrupać.

- Tak więc deportacja, jak wam już wiadomo z naszej wielkiej, choć niestety oplutej...

- Zastranej - poprawił „Iwan Groźny”.

- Dziękuję, jakkolwiek niezupełnie o to mi chodziło - skłonił się prelegent. - A więc, jak uczy nasza heroiczna historia, deportacja jest najwspanialszym środkiem na wszelkie problemy narodowościowe. Najważniejsze, żeby przesiedlić Czukczów do doliny Araratu, a Mołdawian na Ziemię Franciszka Józefa, choć bardziej u siebie poczuliby się tam Austriacy. Prócz tego proponujemy również przeprowadzenie kilku bezpośrednich zamian w ramach pewnych gęsto zaludnionych terytoriów; wymieni się zatem: Litwinów z Wietnamczykami, Szwajcarów z Chińczykami, a Węgrów z Ujgurami. Popierając ze wszech miar ideę wielkiego przesiedlenia, osiągniemy efekt zupełnie nowych, hybrydowych narodów i grup etnicznych o tak pokręconych nazwach, że sami będą się ich wstydzić: Rosja-ków, Ukralików, Karelo-Mingrelów, Czerbosłowatów, Rumungołów, Gułgarów, Holenzerów, Szweków, Gredów, Francuzbeków, Białoszwabów, Kurdyfranków, Zyzdobołów oraz Karpatorusinów.

- A jak będzie z Izraelem? - podskoczył jak kawale-rzysta „Suworow”, przewidując chwytając „Katarzynę Drugą” za cyc.

Tym razem matuszka-caryca wręcz oniemiała ze zdumienia niesamowitym wigorem podstarzałego wojaka. Czarna Pończocha znów nie dał się zbić z pantałyku:

- Z Izraelem? Całe jego terytorium obsadzimy arbusami!

- I rzodkiewką, koniecznie rzodkiewką - upierał się „Lenin”.

„Anatolij” zaś „Iwanowicz” z takim zadowoleniem zamrugał swoim sztucznym okiem, że wyglądało jak prawdziwe. Cieszył się bowiem, że nie na darmo zebrał tutaj tych wspaniałych ludzi.

W łóżach i na balkonach rósł entuzjazm. Amfiteatr ogarnęła fala uniesienia. Prelegent rozpoczął huraganowy akord finałowy:

- Wielki Rozpad zostanie powstrzymany! Wielki Chaos przewyciężony! Wielka Symfonia poprowadzi ludzkość w tysiącletni marsz. Stworzymy wokół naszych świętyń obronny wał chaszczy, który wraz z bojową techniką stanie się dla wroga nie do przebycia! Będzie to jedyny akord totalnego posłuszeństwa i... - prelegent zaciął się na chwilę. Ale to wystarczyło, żeby „Minin-i-Pożarski”, który dotychczas sprawiał wrażenie nieżywego, postawił na dwa głosy pytanie:

- A kto, a kto stanie na czele?

- Naród! - odpalił z przekonaniem Czarna Pończocha i wszyscy zarechotali.

Poczułeś, że znowu ci gorzej, von F. Bezustanne wirowanie ścian, łóż i balkonów, te procesje mamutów, ogony komet, poobcinane gigantyczne genitalia rzucane z projektora w przestrzeń nad twoją głową, ten hałas czyniony przez zwierzopodobne maski - wszystko to wgniatało cię w fotel, pozbawiało woli i rozumu. Zdawało ci się, że twoja głowa, na siłę przykręcona do ramion, oderwie się za chwilę i potoczy się pod nogi prezydium, po raz ostatni pokrywając wszystko czarną pianą bezsilnych przekleństw. I kiedy ktoś ze słuchaczy przysiadł się do ciebie i po przyjacielsku klepnął po kolanie, uznałeś, że nawet to, jak cała reszta, jest wyłącznie halucynacją. Jednak do twego ucha sączył się już znajomy, bezbarwny głos:

- No i jak, Ottonie Wilhelmowiczu? Jak wam się to wszystko, kurwa mać, podoba?

Był to „Saszko”. W przeciwieństwie do reszty był bez maski. Najwyraźniej nie odczuwał potrzeby konspiracji. Jediną zmianą w jego wyglądzie był cienki argentyński wąsik, ale ten co chwila odklejał się i obwisał jak makaron. „Saszko” chwiał się leciutko i w ogóle miał w oczach jakieś nieregulaminowe błyski.

- Okropnie mi się spodobał twój żart z telefonem - mówił, unosząc wskazujący palec.

- Mocna rzecz! Zdegradowali mnie po tym. Ty się tak na mnie nie patrz, ja, kurwa mać, też Ukrainiec! I trochę sobie wypilem. Może ze smutku, a może z radości - co komu do tego?

A ty się nie odwracaj, nie strugaj wariata, że niby ty to nie ty. Od razu cię poznałem, Ottonie Wilhelmowiczu. Bo tylko ty mogłeś się przebrać za błazna! A co, myślisz, że mało studiowałem twój styl? Wszystkie recenzje na twój temat znam na pamięć] Obrażasz mnie, kurwa mać! Urażony „Saszko” zasapał tak, jak zazwyczaj sapią pijani.

- No, ale z tym telefonem to niezły numer wyciąłeś - zbulgotał po chwili. - Iz tymi szcurami! Kompletny odlot, kurwa mać!

- I co teraz będzie? - zapytał.

- Życie toczy się dalej, braciszku - odpowiedział „Saszko” - Chociaż mnie akurat zdegradowali. Wiesz, stary, teraz jestem kapitanem. A życie trwa dalej, w mordę kopane i nikt na to nic nie poradzi, nawet te palanty, których my tutaj dla picu ochraniaemy. Wybacz, ale trochę się dzisiaj nawaliłem.

- Dzisiaj! - wtórował mu prelegent, który jakoś w żaden sposób nie mógł skończyć. - Dzisiaj! Nasza przyszłość zaczyna się już dzisiaj! Jeżeli bierzemy na siebie odpowiedzialność, jeżeli chcemy ratować Ideę, Państwo, Pion, Strzelistość, jeżeli naprawę chcemy, to zaraz, nie zwlekając ani minuty, powinniśmy...

Ale nie wszystko, co mówił, docierało do zebranych, sala reagowała coraz głośniejsze. Dodatkowo przeszkadzało sapanie „Saszki”.

- Przyszedłeś mnie aresztować? - zapytał.

- Życie toczy się dalej - powtórzył „Saszko”. - Drzewa kwitną, chłopaki uganiają się za dziewczynami... Ale słuchaj, tym telefonem to nas pięknie załatwiłeś! Nieziemski numer!

- Miło mi, że ci się spodobało - wzruszył skromnie ramionami. - Boże, jak mnie boli głowa! Jak boli cała reszta! Czy przynajmniej jest jakieś wyjście?

- „Nie ma warowni bez furtki” - zacytował „Saszko”. - Mam rozkaz cię zabić.

- I wtedy przywrócę ci stopień?

- Być może. Jednak nie to jest najważniejsze. Najważniejsze, żeby cię uśmiercił.

- I to dla mnie jedyny sposób wydostania się stąd?

- Istnieje jeszcze jeden - „Saszko” zrobił chytrą minę i znacząco podkreślił zwisłego wąsa. - Ale ty o mnie źle nie myśl, bracie! Możliwe, że tych kacapów mam w takim samym jak ty... poważaniu!

Tymczasem euforia w prezydium i na sali osiągnęła niesamowite apogeum. Czarna Pończocha wygłaszał końcowe, wirtuozerskie i prorocze frazy:

- Skupiając wszystkie ziemie i wszystkie narody, gromadząc je w jedną całość, wykonamy wolę naszych wielkich ojców! Bo to, co się obecnie dzieje z ich dziedzictwem, sprawia, że przewracają się w samotności swoich grobów-mauzoleów. Oczyma tysięcy patrzy na nas kosmiczna misja Państwa. Mamy w ręku decydujące w wielkiej rozgrywce karty: telefony, stanowiska, agentów, adeptów, złoto, rtęć, anteny, szyfrogramy, czołgi, komputery, ale co najważniejsze - miliony, miliardy ludzi, którzy tylko marzą, by być niewolnikami, którzy dla tego błogosławionego celu gotowi są wyjść na place i ulice, bo największym zaszczytem i największym marzeniem prostego człowieka jest być posłusznym, ofiarnym, dumnym i poniżonym niewolnikiem wielkiego, superpotężnego, piramidalnego, podniebnego Imperium; to Imperium będzie się nieustannie rozprzestrzeniać

na zachód, niszcząc w imię naszych lśniących od złota mumii jego działki i bungalowy, autobusy i budki telefoniczne, cały ten grzesznorozpustny dobrobyt anar-chicznej jednostki ludzkiej...

- Łeb mi pęka - powtórzyłeś, kuląc się pod wpływem owacyjnych ryków. - Cóż za straszliwa elokwencja! Ile słów z dużej litery. Trzeba coś robić. Jakoś ostrzec chłopaków...

II - Ostrzec chłopaków? - poczułeś przepity oddech „Saszki”. - Na nic więcej cię nie stać?

- Widzisz, już od dawna nie pisałem wierszy. Ani jednej linijki. No, ale kto może o tym wiedzieć lepiej od ciebie... Co masz na myśli, żądając ode mnie czegoś więcej?

- Jest jeszcze jedno wyjście. Ale to musi być czyn. Straszny, krwawy czyn. Morze krwi, jasne? Akt terrorystyczny, kurwa mać! Oto, co mam na myśli...

- Nie jestem terrorystą.

- Hal - wybuchnął „Saszko”. - Właśnie tego się spodziewałem] On nie jest terrorystą! On w ogóle jest nikim!...

- Nie mogę zabić człowieka - wyjaśniłeś z poczuciem winy. - Z radością zabiłbym, ale nie mogę...

- Zatem wszystko będzie tak, jak mówił tamten w czarnej pończosze - westchnął z rozczarowaniem „Saszko”. - Całe twoje nieszczęście, Arturku - pozwól, że czasem będę się tak do ciebie zwracał - polega na tym, że zawsze się uchylałeś. Z ekstremalnych sytuacji robiłeś operetkę. I uchodziłeś z życiem, zawsze uchodziłeś z życiem. Jednak tym razem ci się nie uda. Bo nam znudziło się już chodzenie za tobą. W pewnym sensie zaszedłeś za daleko. I wygrzebiesz się stąd tylko za cenę życia.

- Kim jesteś?

- Nikt sam o sobie nie może powiedzieć, kim jest. Ale tę sztuczkę z telefonem toś ty...

- Przestań już z tym swoim telefonem! I nie waż się nazywać mnie tym ohydnyim imieniem!

- Oho! A co się stanie? Nazywałem cię tak i będę nazywał! I nic nie zdasz, bo ty nie potrafisz działać! Tak się boisz grzechów, że grzeszysz, kurwa, co krok!

Koniecznien trzeba coś robić, pomyślałeś.

Naprawdę tak pomyślałem, bo łeb mi pękał; całe prezydium burzliwie świętowało zakończenie przemówienia, jakieś przebrane za czerwonoarmistów w maskach osiłki triumfalnie wносиły z trybuny typa w czarnej pończosze. Strugi fekaliiów i krwi rozlewały się u podnóża trybuny. Migotało w oczach od tych wszystkich knurów, Dziadków Mrozów, piratów, krokodyli, centaurów i komisarzy; „Lenin” podrzucał w górę koronę Imperium

Rosyjskiego z pa-pier-mache, „Iwan Groźny” wyginał się w rozpustnym fokstrocie z grubaskiem „Dzierżyńskim”. Szklane oko „Anatolija Iwanowicza” rzucało zwycięskie błyski i roniło łzy wzruszenia. „Suworow” całował się z dupą „Katarzyny Drugiej”. Tylko „Minin-i-Pożarski” pozostawał niewzruszony, bowiem była to jednak tylko kopia pomnika z Placu Czerwonego, a może i sam pomnik, przywleczony tutaj w niewiadomym celu.

Wtedy pomyślałeś, że w końcu wszystko zależy tylko od ciebie. Że tylko tobie zdarzyła się taka okazja. Że i tak nie ma innego wyjścia na górę. A zresztą czy to musi być konieczne wyjście na górę? Gdziekolwiek, byle dalej stąd! Bo za chwilę głowa ci pęknie.

- Czyn, Arturku, czyn! - zaszeleścił ci do ucha „Saszko”, wypływając własnego wąsa.

- Pomodlisz się za mnie?

W odpowiedzi tylko zarechotał. Trząśł się ze śmiechu, z głową odrzuconą w tył. Sięgnął ręką pod jego rozpiętą marynarkę. Przepocona koszula, fałdy tłuszczu w pasie. Pistolet był na miejscu, tam gdzie go zawsze noszą w filmach.

- Czyżby? - „Saszko” przerwał rechot na śpiewnej półnucie i spojrzał na ciebie z niedowierzaniem.

- Zaraz będziesz miał swój czyn - powiedziałeś, chowając pistolet do obszernej kieszeni płaszcza.

- Wiesz, jak się tym posługiwać?

- Strzelałem kiedyś. Do tarczy. Na kursie oficerów rezerwy - odparłeś i ruszyłeś przejściem między fotelami w dół, bliżej prezydium. Ale przypomniawszy sobie o torbie, zawróciłeś. Wziąłeś ją i znowu pokuśtykałeś.

Wl Szanuję wielką literaturę rosyjską. Humanistyczne =zje. Bogonoszenie, bogoszukanie. Bogooszukanie. ^imo to zrobię, co mam zrobić. To jest - inaczej. - r imię żadnej narodowości. I nie w imię jakiegoś ^o narodu. Wyłącznie we własnym imieniu. Za bar-z=vl głowa boli i trzeba z tym wszystkim skończyć, zze raz: uwaga! Postaram się jak najszybciej... zzemówienie oczywiście nie wyszło. Ale wystrzały ego pistoletu zabrzmiały równo i pewnie. Postano-wykończyć ich wszystkich - metodycznie i kon-=ntnie, kula za kulą, strzał za strzałem, ciało za cia-^wiedząc, że masz niewiele czasu i nie masz prawa zz:.. Strzelałeś zdumiewająco celnie; z balkonów wciąż ^ały straszliwe przekleństwa i jęki. Strzelałeś jak pry-la zajęciach z przygotowania bojowego, wspaniały zztzej bezwzględności, a z balkonów i loggii, ze ścian, 3rych znieruchomił wielki imperialny marsz cieni, ly na przerażone głowy olbrzymie, strategiczne szczu-lydne i zachłanne, wypuszczone przecież na twój?.. Położyłeś trupem całe prezydium, chociaż nie poła ani kropla krwi, tylko przegniłe trociny sypały się strzelonych drewnianych piersi i czaszek i bez-cznie mrugały mechaniczne

oczy. I padali jeden za ~n, zgodnie z kolejnością twoich strzałów - maneki-=: się okazało. Dopiero kiedy poszedłeś bliżej, zrozu-5§, co cię w nich tak przeraziło. Drzeraziło mnie to, że to były symbole, żeli wokół prezydiального stołu - wszyscy, co do go, włącznie z rozlaną „Katarzyną”, ostał się tylko \_ik „Minina-i-Pożarskiego”. Z niektórych sypały się \_e resztki trocin, z innych wyłaziły karaluchy albo \_wały fragmenty sztucznych bebechów. Wszystko dało dość obrzydliwie.

wejrzałeś się. SALĄ KONFERENCYJNĄ zawładnę-zury, błyskawicznie rozszarpując tych, których udało Chcę, aby moja torba była w takiej chwili przy mnie. Chcę, żeby moja dusza była przy mnie. Żeby moja pustka była przy mnie.

Stopnie uciekały ci spod nóg. Sala obracała się, amfiteatr wirował, czasem wolną ręką chwytając za oparcie fotela, za ryj albo za koguci grzebień kolejnego przebierańca. Z balkonów dolatywały okrzyki, ale jakies inne niż dotychczas. Coś się tam działo: jakies zamieszanie, panika, kotłowanina, choć na dole nikt nie zwracał na to uwagi. Zatrzymałeś się. Podniosłeś rękę do góry.

- Uwaga! - powiedziałeś jak mogłeś najgłośniej, ale wydało ci się, że mówisz szeptem.

Jednak niewidoczne mechanizmy zamarły. Tajemnicze osie przestały się obracać. Fotele i balkony zatrzymały się, hamując ze zgrzytem. W sali zapanowała cisza.

Tylko z góry, z balkonów, dolatywały coraz głośniejsze jęki. Ale w półmroku nie było widać, co się tam dzieje. Może udało się wykryć prowokatora i teraz kopią go w żebra. Nie powstrzymało cię to.

- Uwaga! - zacząłeś jeszcze raz, dziwiąc się jednocześnie, że głos może być taki drżący. - Chcę powiedzieć, że bardzo mnie boli głowa. Po prostu miałem dzisiaj głupkowaty dzień... Nie, nie to chciałem rzec...

Prezydium słuchało. Z bliska nie byli już tacy podobni do osób, w które się wcielili. Ujawniało się w nich coś innego, poważniejszego, dalekiego od karykatury. Może były to oczy. A może to wszystko tylko przywidzenie, ty błaznie z czerwoną bulwą zamiast nosa.

- Chcę powiedzieć - zaczęłeś ponownie - że jeszcze nigdy nie musiałem nikogo zabijać. Nawet zwierząt domowych. Tak się już jakoś złożyło. Dlatego proszę wybaczyć, jeżeli zrobię coś nie tak. Ale nie mam innego wyjścia. Robię to również w imię waszego narodu, któremu życzę tylko dobrze...

Ktoś z tyłu wyraźnie zakaszłał, chyba „Saszko”.

- Szanuję wielką literaturę rosyjską. Humanistyczne tradycje. Bogonoszenie, bogoszukanie. Bogooszukanie. Ale mimo to zrobię, co mam zrobić. To jest - inaczej. Nie w imię żadnej narodowości. I nie w imię jakiegoś jednego narodu. Wyłącznie we własnym

imieniu. Za bardzo już głowa boli i trzeba z tym wszystkim skończyć. Jeszcze raz: uwaga! Postaram się jak najszybciej...

Przemówienie oczywiście nie wyszło. Ale wystrzały z twojego pistoletu zabrzmiały równo i pewnie. Postanowiłeś wykończyć ich wszystkich - metodycznie i konsekwentnie, kula za kulą, strzał za strzałem, ciało za ciałem, wiedząc, że masz niewiele czasu i nie masz prawa chybić. Strzelałeś zdumiewająco celnie; z balkonów wciąż dobiegały straszliwe przekleństwa i jęki. Strzelałeś jak prymus na zajęciach z przygotowania bojowego, wspaniały w swojej bezwzględności, a z balkonów i loggii, ze ścian, na których znieruchomiał wielki imperialny marsz cieni, skakały na przerażone głowy olbrzymie, strategiczne szczury, ohydne i zachłanne, wypuszczone przecież na twój rozkaz. Położyłeś trupem całe prezydium, chociaż nie popłynęła ani kropla krwi, tylko przegniłe trociny sypały się z przestrzelonych drewnianych piersi i czaszek i bezdźwięcznie mrugały mechaniczne oczy. I padali jeden za drugim, zgodnie z kolejnością twoich strzałów - manekiny, jak się okazało. Dopiero kiedy poszedłeś bliżej, zrozumiałeś, co cię w nich tak przeraziło.

A przeraziło mnie to, że to były symbole.

Leżeli wokół prezydiального stołu - wszyscy, co do jednego, włącznie z rozlaną „Katarzyną”, ostał się tylko pomnik „Minina-i-Pożarskiego”. Z niektórych sypały się jeszcze resztki trocin, z innych wylaziły karaluchy albo wystawały fragmenty sztucznych bebechów. Wszystko wyglądało dość obrzydliwie.

Rozejrzałeś się. SALĄ KONFERENCYJNĄ zawładnęły szczury, błyskawicznie rozszarpując tych, których udało im się dopaść. W pobliżu drzwi kłębili się przebierańcy, przeszkadzając sobie wzajemnie, szturchając się łokciami i fallusami, szarpiąc szponami, depcząc kopytami, leżli do wyjścia, chociaż żadnego wyjścia nie było, a drzwi okazały się tylko dekoracją. Zauważyłeś, jak jeden ogromny szczur, szczurzy car, hierarcha wielkości porządnego psis-ka, rozrywał jakiegoś nieszczęśnika w czarnej pończosze na głowie. Ale nie potrafiłeś dostrzec, czy był to niedawny prelegent. Bo zamiast ust miał już tylko czarną jamę, z której buchała na schody ciężka i gęsta ciecz.

„Saszko” siedział bez ruchu pośrodku sali. Unosiła się nad nim jakaś nikła aureola czy diabli wiedzą co. Mierzył cię uważnym spojrzeniem majora, którego zdegradowano do stopnia kapitana. A może była w tym spojrzeniu nieziemską miłość. Kim jest ten człowiek? Aniołem stróżem, surowym i wymagającym, trochę pijanym? Może pod cywilnym przebraniem kryją się wilgotne od potu, szorstkie i obolałe skrzydła? Może to wysłaniec Boga - tego samego Boga, o którym zdarzało ci się myśleć źle, ale w którego nigdy nie przestałeś wierzyć? Najwyższy czas przypomnieć sobie o Nim, najwyższy czas.

Pozostawało ci już tylko pozbyć się maski błazna. I skierować pistolet we własną skroń. Przynajmniej z ciebie nie posypią się trociny. Jesteś przecież prawdziwy. Nie jesteś manekinem, Otto. Innego wyjścia stąd nie ma.

Nie uzbrojony anioł z pustą kaburą przy boku już zawisł nad tobą.

Zegnajcie wszyscy, którzy czekaliście na mnie! Napisałem w końcu kilka całkiem dobrych wierszy. I w ogóle nie był ze mnie taki zły chłopak.

Kula przeszła skroń. Dopiero potem usłyszałeś huk wystrzału.

Jrlac Dworca Kijowskiego, Wasza Królewska Miłość, tonął w wodzie. Padający cały dzień deszcz, który nawet teraz nie ustawał ani na chwilę, wywołał wielkie wezbranie wód. Kanały kanalizacyjne kompletnie zabite piaskiem, popiołem, różami, papierem, gołębim pierzem, maskami, martwymi szczurami i innym chłłmem nie przyjmowały już niczego. Wszechświatowy potop stawał się coraz bardziej prawdopodobny. Moskwa przestawała istnieć.

Wydostawszy się z metra, znalazłem się po pas w czarnych deszczowych wodach. Utrzymując równowagę tylko dzięki sile woli i torbie, jakimś cudem dotarłem do dworca. Pamiętałem bowiem, że pociąg numer czterdzieści jeden koło dwunastej w nocy wyrusza z Moskwy.

Do dwunastej brakowało kilku minut. Wyrusza z Moskwy, aby dotrzeć do Kijowa.

Wszystko, co mogłem zaproponować konduktorowi, to nienaturalnie ciężkiego półżywego suma, który nie wiadomo skąd wziął się w mojej torbie i nie wiadomo co w niej robił. Chyba podarowano mi go na jakimś zebraniu przedwyborczym. Tym sposobem otrzymałem swoją regulaminową trzecią półkę (ale Wy i tak nie wiecie, co to takiego, Wasza Wspaniałość) w wagonie ogólnym (takimi przemieszczają się w poszukiwaniu sensu życia dobre trzy czwarte Waszego nieszczęsnego ludu), rozścieliłem na wyżej wspomnianej trzeciej półce płaszcz i ostatkiem sił wepchnąłem swoje biedne, osłabłe ciało w wąziutką szczelinę między półką a sufitem wagonu. Będę tu pewnie leżał aż do Kijowa, kryjąc się przed konduktorami, przemytnikami i strażą graniczną. Tu wreszcie mogłem zasnąć. Stało się to, gdy tylko pociąg ruszył. I tak śpię do tej pory.

Albowiem jestem straszliwie chory, Wasza Jasność. Mam wściekłą gorączkę, od której wargi pokrywają się nad ranem liszajami, i opuchnięte kolano. Pewnie gdzieś tańczyłem i poślizgnąłem się. Mam we krwi mnóstwo alkoholu. Alkoholu jest więcej niż krwi. W dodatku jeszcze mam kulę w czaszce. Nie dalej jak przed godziną skończyłem, jak się zdaje, ze sobą, palnąwszy sobie w łeb z jakiegoś radzieckiego pistoletu, chyba Makarowa. I teraz ten wspaniały pociąg, zatęchły, pełen rozlazłych ludzkich ciał, niesie mnie w dal -



daleko od Moskwy. Bo przecież nie można zasiedzieć się w mieście, w którym skończyłeś ze sobą. Trzeba koniecznie dokądś podążać.

A ja podążam do domu, Wasza Czcigodność. Jest taki kraj, gdzie żyją Wasi poddani. Rozumiem, że Warn, urodzonemu gdzieś w tropikalnej Afryce, w willi Ukraina, przywykłemu do różnych Hiszpanii oraz Szwajcarii, ciężko wyobrazić sobie coś podobnego. Jednak to prawda, Wasza Miłość, taki kraj istnieje. Nie wymyślili go dla Was Wasi doradcy, astrologowie i kapelani. Nawet najbardziej kapryśna, najbardziej szalona (ludzka!) wyobraźnia nie może negować jego realności. On jest do bólu prawdziwy. I nic nie broni go od Wschodu, nawet góry.

Gdyby swego czasu Wielki Rozdawca Map Świata zwrócił się do mnie o radę, teraz wszystko wyglądałoby inaczej. Ale On umieścił nasz kraj właśnie tam, gdzie Mu się spodobało. Dziękujemy i za to.

I za to, że uczynił nas miękkimi i ospałymi, cierpliwymi, leniwymi, dobrymi, że zrobił z nas obojętnych, zazdrosnych i ufnych, chytrych, bojaźliwych i kłótliwych, niedbałych, pokornych i rozkochanych w śpiewie. Mogło być gorzej. Dziewczyny dał nam ładne. I nieładne też nam dał. Poetów dał nam niezrozumiałych, a duchownych bełkotliwych. Króla dał nam dalekiego.

Niekiedy śni się nam Europa. Przychodzimy nocą nad brzeg Dunaju. Przypominają się jakieś ciepłe morza, marmurowe bramy, nagrzane głązy, pnące południowe rośliny, samotne wieże. Ale to nie trwa długo.

Taki właśnie przeważnie jest ten Wasz naród. Innego, Wasza Miłość, nie mamy - ani Wy, ani ja. Kiedyś będzie wielbił i Was, i mnie. A na razie podróżuje w twardych moskiewskich wagonach. Albo śpi na dworcach - mętny, szary, powolny. I nie wiem, co z nim dalej będzie. Mimo wszystko bardzo chciałbym wiedzieć.

Bo ja dziś nie uciekam, lecz wracam. Zły, pusty, w dodatku z kulą w czaszce. Po diabła jestem komuś potrzebny? Też nie wiem. Wiem tylko, że teraz prawie wszyscy tacy jesteśmy. Pozostaje nam tylko przekonanie, nadzieja, którą już sławni przodkowie wieścili, że jakoś to będzie. Najważniejsze to dożyć do jutra. Dociągnąć do stacji Kijów. I nie zlecieć, do ciężkiej cholery, z tej półki, na której kończę swoją nieudaną podróż dookoła świata.

Luty - kwiecień 1992 r., Feldafing I I